



**WYDANIE
SPECJALNE
JUŻ JEST!**

**CO NAPRAWDĘ
CZUJEMY
DO UKRAIŃCÓW**

**NOSOWSKI:
KTO UKRADŁ
KOŚCIÓŁ**

**1989: MUSICAL
O POLSKIEJ
WOLNOŚCI**

4 grudnia 2022 nr 49 (3830) cena 12 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne
www.TygodnikPowszechny.pl

ADAM WAJRAK
**Życie się
odrodzi**



Ekwador - przygoda w Amazonii i rejs jachtem na Galapagos

Ta wycieczka to prawdziwa wyprawa kulturowo-przyrodnicza, podczas której odwiedzimy indiańskie wioski w regionie Otavalo oraz plemię Kichwa zamieszkujące amazońską puszcze. Zatrzymamy się przy zegarze słonecznym na równiku, a na lokalnym targu zakupimy piękne, indiańskie wyroby z rękodzieła. Odbędziemy kilka wycieczek po lesie tropikalnym w Amazonii i zobaczymy np. kolibry. W Andach zamieszkamy w hotelu posiadającym własne źródła termalne. W stolicy kraju Quito zwiedzimy jego historyczną część wpisaną na listę UNESCO ze wspaniałą architekturą kolonialną oraz muzeum Guayasmina ze zbiorami sztuki Indian. Podczas 5-dniowego rejsu po Galapagos na pokładzie luksusowego jachtu, wyczerowanego tylko dla naszej grupy, spotkamy olbrzymie żółwie, uchatki, legwany, pingwiny równikowe, zięby Darwina, głupek i wiele innych endemicznych gatunków zwierząt i ptaków.

12 dni | Wylot z Warszawy 14/03 2023

28.998,-



„Dolce vita” w Toskanii

Fantastyczna podróż kulturowa, podczas której odkryjemy tajniki włoskiego stylu życia i poznamy włoską kulturę, kuchnię, język oraz doskonałe wina.

Program wycieczki: **Dz.1** Wylot z Warszawy do Rzymu. Przyjazd do Chianciano Terme. **Dz. 2** Umbria i magiczne Orvieto. **Dz. 3** Warsztaty kulinarne. Przygotowanie włoskiej pasty. Podstawy jęz. włoskiego i czas wolny. **Dz. 4** Codzienna wycieczka do Sieny wpisanej na listę światowego dziedzictwa UNESCO i spacer szlakiem Via Francigena. **Dz. 5** Asyż – miasto Świętego Franciszka. Wizyta w kościele Św. Franciszka. **Dz. 6** Degustacja win i uroczę popołudnie w San Gimignano. **Dz. 7** Włoski targ i etruskie muzeum. **Dz. 8** Piękne renesansowe miasto Pienza, spacer do Cappella di Viteleta i wizyta w Montalcino. **Dz. 9** Dzień wolny w Chianciano Terme. **Dz.10** Wylot z Rzymu do Warszawy.

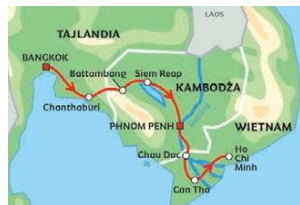
10 dni | Wyloty z Warszawy
01/05, 24/05 2023

4.998,-



Angkor - imperium w głębi dżungli

Wycieczka śladami dziedzictwa kulturowego Khmerów przez Tajlandię, Kambodżę i Wietnam, zwiedzanie m.in. słynnego Angkor Wat oraz rejs rzeką Mekong.



15 dni | Wyloty z Warszawy 07/02, 27/04, 13/07, 21/09 2023

od **10.598,-**

Rejs po Renie: Kolonia, Amsterdam i Bazylea

Wyjątkowy rejs po najciekawszym odcinku Renu, podczas którego zobaczymy wspaniałe zabytki wpisane na listę UNESCO i piękne krajobrazy z winnicami na wzgórzach.



8 dni | Wyloty z Warszawy 28/05, 15/09 2023 | **7.998,-**

Warszawa, ul. Marszałkowska 74 | Katowice, Silesia City Center, ul. Chorzowska 107

Kod reklamy: TP04

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

KS. ADAM

Boniecki: Więcej niż treść

ZAGŁĄDAM Z CIEKAWOŚCI W PIERWSZE ODPOWIEDZI, które nadchodzą na rozpisana niedawno przez „Tygodnik” ankietę czytelniczą, i jestem wdzięczny za każdą z nich. Za to, że tak wiele jest odpowiedzi „kupuję każdy numer” i że według Państwa „Tygodnik” wyróżnia „rzetelność”, „wiarygodność”, „niezależność”, „ważone spojrzenie”, „brak agresji”, „podejmowanie trudnych tematów”. Dziękuję, że co tydzień zapraszają nas Państwo do swoich domów.



Bo wiele odpowiedzi na pytanie, gdzie czytają Państwo „Tygodnik”, brzmi właśnie: w domu. Popołudniami, przy porannej kawie, w fotelu, a nawet w łóżku i wannie. Jedni zostawiają lekturę na weekendy, inni siadają do niej jak najszybciej: „W domu, zaraz po zakupie – »Tygodnik«, dobra kawa i światło lampki. Takie są moje środowe poranki”. „Najczęściej kupuję »Tygodnik« w środę albo czwartek i czytam każdego ranka przed pracą”...

Wielu z Państwa podkreśla, że lubi „Tygodnik” drukowany: „przyjemność papieru”, „gazeta to coś więcej niż treść. To kolory, zapach, szelest kartek”, „Potrafię w skupieniu czytać tylko z papieru”. Pogłoski o śmierci prasy papierowej okazują się chyba jednak przesadzone.

Wielu z Państwa ma prenumeratę „Tygodnika”, niektórzy naprawdę długo („Mam już od 40 lat”!). Bo, jak czytam w odpowiedziach, tak jest wygodniej i cena korzystniejsza. Ale dla części z Państwa cena bywa argumentem przeciw: „łatwiej mi wydać co tydzień mniejszą kwotę”, „Za duży jednorazowy wydatek”, „Niepewność finansowa”...

Tak, czasy są ciężkie, a ceny idą w górę, wiedzą i odczuwają to wszyscy. Także wydawcy prasy, zwłaszcza tacy, jak my, niewielcy i niezależni – którzy nie liczą na dotacje, bo swojej niezależności za żadną cenę nie oddadzą. Ale skok cen papieru, druku i dystrybucji to nie wszystko, kłopot idzie dalej i dotyczy dystrybutorów prasy, znikają punkty sprzedaży. W efekcie, żeby „Tygodnik” dotarł wszędzie tam, gdzie lubią go Państwo kupować, konieczne jest drukowanie dwa, a często nawet trzy razy większej liczby egzemplarzy, niż się sprze-

daje – co jest dotkliwie nie tylko dla naszego wydawnictwa przy obecnej cenie druku i papieru, ale też szkodzi środowisku, bo to przecież marnotrawstwo.

Wiele z tych problemów by się rozwiązało, gdyby większość egzemplarzy „Tygodnika” docierała do Państwa właśnie w prenumeracie. Wiemy jednak, że i z nią bywają kłopoty – bo niewydolna jest poczta. Piszą Państwo w ankiecie: „mam złe doświadczenie z dostawą”, „przychodzi w kratkę”, „otrzymywałbym prawdopodobnie później, niż nabywam w kiosku (środa rano), i istnieje ryzyko, że któryś egzemplarz podczas przesyłania zostałby pomięty lub pobrudzony”...

Rozumiem to – i przecież nic tak nie cieszy redaktora jak Czytelnik, który chce swój egzemplarz dostać jak najszybciej, i dla którego jest on taką wartością, że nie może być pomięty! A jednak namawiam, zwłaszcza tych z Państwa, u których poczta działa znośnie lub którzy do lektury „Tygodnika” zasiadają zwykle np. w weekend, by jednak zaprenumerowali „Tygodnik”.

Prenumerata to dla wydawcy wielka ulga, zwłaszcza w trudnych czasach. Państwo mają pewność, że otrzymają każdy numer, a my, że każdy egzemplarz trafi do Czytelników. Wśród odpowiedzi, dlaczego prenumerujecie, są też i takie: „Chcę Państwa wspierać, bardzo mi zależy na tym, żeby »TP« trwał”. „Żeby regularnie czytać oraz dać wsparcie »TP«”.

Dziękuję wszystkim kupującym „Tygodnik”, w każdy sposób: wybierającym nas na zmianę z innymi tygodnikami, odwiedzającym zaprzyjaźniony salonik prasowy, czytającym nas w internecie i tym wszystkim, którzy piszą nam, że zakup „Tygodnika” to rytuał – za to, że jesteśmy ważni w Waszym codziennym życiu. Jeśli rozważali Państwo prenumeratę, to właśnie teraz, przed nowym rokiem, jest na to najlepszy moment. Wejdźmy razem w ten nowy rok, oby był lepszy. ©®

Ankietę wypełnić można pod adresem powszech.net/ankieta22

**TYGODNIK
POWSZECHNY**

10 obrazów, które trzeba zobaczyć

Są w polskich zbiorach obrazy powszechnie znane, ale nie brakuje wybitnych dzieł europejskich artystek i artystów, o których wiedzą nieliczni. W najbliższym „Włóczykiju kulturalnym” przedstawiamy 10 takich arcydzieł. Ich historie mówią o polskim kolekcjonerstwie oraz o dziejach naszych muzeów.

„Włóczykij kulturalny” już w następnym numerze, od środy 7 grudnia w sprzedaży!



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



20 Sprawnego z orzeczeniem szukam

ANNA GOLUS

Do wyłudzenia dofinansowań z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych przyzwyczailiśmy się dawno. Teraz normą stało się zatrudnianie ich z pozoru legalnie, ale na granicy absurdu i wyzysku.



30 Kto nam ukradł Kościół

ROZMOWA
ZE ZBIGNIEWEM
NOSOWSKIM

W zawaleniu się konstrukcji jest też nadzieja: wtedy nie chodzi już o ładniejszy tynk, ale o zbudowanie czegoś od nowa, od fundamentów.

42 Jak stu żołnierzy PAWEŁ PIENIAŻEK Z OBWODU CHERSOŃSKIEGO (UKRAINA)

W szpitalu polowym nie trzeba czytać wiadomości. Rany pacjentów pokazują, co się dzieje na froncie.



52 Czy to zaboli Putina KRZYSZTOF STORY

Za kilka dni ma wejść w życie częściowe unijne embargo na import ropy naftowej z Rosji. W teorii Kreml straci 90 proc. europejskiego rynku zbytu. A w praktyce?

62 My, naród MARCIN NAPIÓRKOWSKI

*„Zróbmy polskiego »Hamiltona«”.
Najgłupsze trzy słowa, jakie w życiu wypowiedziałem.
Uważaj, czego sobie życzysz, bo może się spełnić...*



76 Najlepsza pora roku ROZMOWA Z ADAMEM WAJRAKIEM

W Puszczy i Arktyce widać, co się dzieje, gdy człowiek odpuszcza. Siadasz na stołku przed chatką na Spitsbergenie i obserwujesz liski, które nic sobie nie robią z twojej obecności. Patrzą przez okno w Teremiskach i widzisz pasącego się żubra.

6 Ukraina: opór mimo wszystko
WOJCIECH KONOŃCZUK

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia

MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
ABP GRZEGORZ RYŚ
PIOTR SIKORA

■ **KRAJ**

20 Sprawnego z orzeczeniem szukam
ANNA GOLUS

24 Mieszkanie luksusem
PIOTR WÓJCIK:
Ceny mieszkań sprawią, że młodzi ludzie będą mieszkali z rodzicami. Urodzi się też mniej dzieci

27 Osiemset tysięcy gniewnych ludzi
MAREK RABIJ:
Polacy idą do sądów po unieważnienie kredytów – złotówkowych

■ **WIARA**

30 Kto nam ukradł Kościół
ROZMOWA
ZE ZBIGNIEWEM NOSOWSKIM

34 Odchodzący
DARIUSZ PIÓRKOWSKI SJ:
Jezus im towarzyszy, słucha, daje czas. A my?

37 W imię Boga
MARTA ZDZIEBORSKA:
W USA rośnie ruch chrześcijańskich nacjonalistów

■ **ŚWIAT**

42 Jak stu żołnierzy
PAWEŁ PIENIAŻEK Z OBWODU
CHERSONSKIEGO (UKRAINA)

46 Bracia na zawsze?
MARTA SZPAŁA Z BELGRADU:
Serbia unika wprowadzenia sankcji na Rosję – i zarazem utrzymuje relacje z Zachodem

TEMAT TYGODNIKA

12 Dziewięć miesięcy później

MAŁGORZATA NOCŃ

Czy rzeczywiście zapomnieliśmy o uchodźcach, którzy uciekali do nas wiosną, a dziś niechętnie patrzymy na „bogatyh Ukraińców” jeżdżących drogiymi samochodami?

■ **FELIETONY** ■

29 TOMASZ STAWISZYŃSKI

39 WOJCIECH BONOWICZ

74 OLGA DRENDĄ **75** PAWEŁ BRAVO

81 JACEK PODSIADŁO

82 STANISŁAW MANCEWICZ

82 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: Adam Wajrak w Arktyce,
kwiecień 2018 r.

FOTOGRAFIA: ADAM WAJRAK

Redaktor prowadzący: MICHAŁ KUŹMIŃSKI

49 Mikołaj zaciska pasa
PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI:
W Wielkiej Brytanii przygotowania do świąt będą dla wielu trudnym czasem

52 Czy to zaboli Putina
KRZYSZTOF STORY

■ **HISTORIA**

54 Jak Finowie z Moskwą wygrali
MARTA PANAS-GOWORSKA
I ANDRZEJ GOWORSKI:
Wojna zimowa trwała sto cztery dni na przełomie 1939 i 1940 r. Dziś pamięć o niej powróciła

■ **NAUKA**

58 Zimowe przeżycia
JUSTYNA KIERAT:
Jak owady radzą sobie z niskimi temperaturami

■ **KULTURA**

62 My, naród
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

66 Inny rodzaj prawdy
ROZMOWA Z MARIĄ KARPIŃSKĄ:
Jeśli istnieje tylko opowieść, jej waga staje się jasna: mit stwarza świat

69 Kraj, który nie wierzy już w nic
JAKUB MAJMUREK
o serialu Adama Curtisa „Rosja 1985-1999: TraumaZone”

72 Zaćmienie serca
ANITA PIOTROWSKA
o filmie Leï MysiŃ „Pięć diabłów”

73 Świadek, uczestnik, kronikarz
LEKTOR o książce
„Andrzej Friszke. Zawód: historyk”

■ **ZMYSŁY**

76 Najlepsza pora roku
ROZMOWA
Z ADAMEM WAJRAKIEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

➔ **Relacje z mundialu: Messi jest wolny**

To nie miała być kolejna impreza, podczas której Messi samodzielnie wyciąga Argentynę z tarapatów – pisze **MICHAŁ OKOŃSKI**
| Czytaj na tygodnikpowszechny.pl/mundial2022

➔ **Wolfgang, Dunstan i diabeł [Podkast Powszechny]**

Czasami święci zawierali pakt z diabłem, aby potem oszukać czarta – opowiada **MAGDALENA ŁANUSZKA** w cyklu „Sztuka powszechnie nieznaną” | www.tygodnikpowszechny.pl/podkast

Anna Łabuszewska: ROSYJSKA RULETKA
Autorski serwis specjalny

WWW.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/ROSYJSKARULETKA

f /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ t /TYGODNIK ■ i /TYGODNIK ■ y YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY



OBRAZ
TYGODNIA

UKRAINA: OPÓR MIMO WSZYSTKO

W historii współczesnych konfliktów nikt na taką skalę nie próbował pokonać przeciwnika, uderzając w jego system energetyczny. Kreml uważa, że w ten sposób wymusi kapitulację Ukrainy.

WOJCIECH KONOŃCZUK

WIELODNIOWE WYŁĄCZENIA PRĄDU, WODY i ciepła stały się normą w większości ukraińskich domów. Celem rosyjskich rakiet, których od początku inwazji Rosja wystrzeliła już ponad 4,7 tys., są przede wszystkim linie i stacje elektroenergetyczne, ale również elektrownie i elektrociepłownie. Od ponad dziewięciu miesięcy wojny Moskwa nie jest w stanie odnieść zwycięstwa na polu boju, postanowiła więc sięgnąć po metody terrorystyczne. Rosjanie w bezpośredni sposób uderzają w ludność cywilną, chcąc wywołać klęskę humanitarną w skali całego kraju. To zaś miałyby doprowadzić do podjęcia przez

władze w Kijowie trudnej decyzji o rozpoczęciu rozmów.

Uderzające jest, jak zmienił się ton kremłowskiej propagandy skierowanej do własnego społeczeństwa. O ile w pierwszych miesiącach agresji akcentowała ona, że siły rosyjskie nie atakują celów cywilnych (co było nieprawdą), o tyle teraz rosyjscy „dziennikarze” z euforią donoszą o kolejnych „sukcesach” w związku z przerwaniem dostaw energii lub ciepła dla milionów mieszkańców Ukrainy. Machina propagandowa systematycznie oswaja Rosjan z przekraczaniem kolejnych czerwonych linii. Niestety wszystko wskazuje na to, że robi to skutecznie.

*Miejski punkt
pomocy z dostępem
do prądu.
Kijów,
24 listopada
2022 r.*

Rosja jest za to całkowicie nieskuteczna w osiągnięciu celów tej wojny. Ukraina pogrąży się w coraz gęstszych ciemnościach i chłdzie, co nie tylko pogłębia ukraińską złość, ale i przekonanie, że alternatywa wobec dalszego oporu jest znacznie gorsza. Po Buczy, Irpieniu, Mariupolu, Chersoniu i wielu innych podobnych miejscach niemal każdy Ukrainiec rozumie, że wojna z Rosją ma charakter egzystencjalny. Wyjątkowy charakter tegorocznych obchodów Wielkiego Głodu, który 90 lat temu przyniósł śmierć około 3,5 mln osób, pokazuje, że historia tym razem okazuje się wyjątkowo bliska.

Prezydent Zelenski ostrzega, że najgorsze przed Ukrainą. Wprawdzie energetycy, kolejni bohaterowie tej wojny, dokonują cudów w szybkości napraw uszkodzonych linii energetycznych, ale nie wiadomo, jak długo będą w stanie usuwać kolejne, coraz poważniejsze zniszczenia. Zachód, w tym Polska, dostarczą niezbędny sprzęt, transformatory i generatory prądu, ale wciąż nie wiadomo, w jakim stopniu to wystarczy. W historii współczesnych konfliktów nikt na taką skalę nie próbował bowiem pokonać przeciwnika, uderzając w jego system energetyczny.

Kreml wydaje się zaskoczony, że dotychczasowe ataki wciąż nie przynoszą skutku, gdyż Kijów niezmiennie odrzuca możliwość negocjacji. W odpowiedzi Rosjanie wysuwają wniosek, że trzeba „uderzyć” jeszcze mocniej. Moskwa liczy też, że wielu Ukraińców zechce przeziwać w państwach UE, co wywoła kolejną falę uchodźców. Jest to scenariusz, który trzeba poważnie brać pod uwagę, choć na razie na granicy unijno-ukraińskiej nie widać specjalnie wzmożonego ruchu. Niektórzy merowie ukraińskich miast, gdzie sytuacja jest najtrudniejsza, otwarcie wzywają już mieszkańców, aby wyjeżdżali.

Wojnę rosyjsko-ukraińską wygra ten, kto okaże się bardziej konsekwentny i wytrzymały. Ukraina od dawna nie ma złudzeń i od Rosji spodziewa się najgorszego. Zelenski mówi wprost: „dopóki Rosjanie mają rakiety, dopóty się nie uspokoją”. Ale zarazem odpowiada Kremlowi: możemy rozmawiać, ale najpierw wycofajcie się z naszej ziemi, ukarście zbrodniarzy i wypłaćcie reparacje. Ukraińcy w ogromnej większości myślą to samo. Nie mają też wątpliwości, że w końcu tę wojnę wygra. Bez odpowiedzi pozostaje tylko pytanie, jaka będzie cena zwycięstwa. ©

PIOTR ŁUBIŃSKI,
EKSPERT PRAWA MIĘDZYNARODOWEGO:

Każdy taki atak trzeba nagłaśniać

MARCIN ŻYŁA: Czy naloty na infrastrukturę cywilną to zbrodnie wojenne?

PIOTR ŁUBIŃSKI: Tak. Rosemary DiCarlo, podsekretarz generalna ONZ, ogłosiła już, że ataki, których celem jest ludność cywilna, są naruszeniem prawa humanitarnego, i wezwała Rosję do ich zakończenia.

Kreml twierdzi, że celem nalotów nie są cywile, lecz potencjał obronny Ukrainy.

Państwa samodzielnie interpretują prawa i zwyczaje wojny. Rosja faktycznie uznaje system energetyczny za równy systemowi dowodzenia czy arsenałowi – jako cel wojskowy. Podczas inwazji na Irak w 1991 r. także USA wyłączyły tam energię elektryczną, jednak tylko na krótko. Były potem za to krytykowane, podczas kampanii NATO w Jugosławii już tego nie powtórzono. Także skali i kontekstu pogodowego tamtych nalotów nie da się porównać z rosyjskimi.

Kiedy ataki na dobra cywilne są uprawnione?

Życie bez prądu

„CHLEBA NIE DOWIEŻLI, piekarnia we Lwowie nie pracuje!” – Mychajło przyjmuje tę wiadomość od żony ze spokojem. To nie tylko kwestia charakteru: 46-letni Mychajło, sklepikarz we wsi w ukraińskich Bieszczadach, z natury jest flegmatykiem. Na szczęście tego dnia, 25 listopada, w jego sklepie chleb będzie – z piekarni w Drohobyczu.

Takie sytuacje to nie największy problem Mychajły związany z przerwami w dostawach prądu, spowodowanymi rosyjskimi nalotami na infrastrukturę energetyczną. To, że nie działa kasa fiskalna, że nie można płacić kartą – to drobiazgi. Ale co będzie, jeśli prądu zabraknie przez 12 godzin? Rozmrozą się chłodziarki, zepsuje mięso...

Mychajło chciałby kupić agregat prądotwórczy. W Ukrainie to prawie niemożliwe, podobnie po polskiej stronie granicy: ceny poszły w górę, brakuje urządzeń dobrej ja-

Zgodnie z art. 52 ust. 2 protokołu dodatkowego do konwencji genewskich z 1949 r. „celami wojskowymi są tylko takie, które z powodu swej natury, swego rozmieszczenia, swego przeznaczenia lub wykorzystania wnoszą istotny wkład do działalności wojskowej”. Tymczasem Rosjanie atakują całą infrastrukturę energetyczną. Ich naloty zmierzają do zagłodzenia i terroryzowania ludności, spełniają też przesłanki tzw. ataków bez rozróżnienia, zabronionych przez prawo międzynarodowe. Ich skutek wojskowy jest żaden lub ograniczony.

Uznanie ich za zbrodnie wojenne może mieć praktyczne znaczenie?

Abstrahując od tego, że wierzę, iż uda się stworzyć warunki do pociągnięcia do odpowiedzialności rosyjskich zbrodniarzy wojennych – i tych wydających, i wykonujących rozkazy – takie bestialskie działanie pokazuje światu, że Kreml znów zakłamuje rzeczywistość. A prawo międzynarodowe jest konsensusem z udziałem również takich państw jak Rosja. Okazuje ona pogardę dla porządku, który sama współtworzyła. Dlatego trzeba nagłaśniać każdy pojedynczy atak na elektrownię. ©



ARCHIWUM PRYWATNE

DR PIOTR ŁUBIŃSKI
jest prawnikiem,
wykłada w Instytucie
Nauk o Bezpieczeństwie
Uniwersytetu Pedago-
gicznego w Krakowie.

kości. Agregat przydałby się też do ogrzania domu; kocioł gazowy potrzebuje zasilania. Na szczęście Mychajło postawił kiedyś także piec kaflowe, a w lasach drewna jest dużo. – My nie zamarzniemy – mówi. – Ale wielu ludzi zlikwidowało piec. Teraz pośpiesznie montują burzujki, małe piecyki na węgiel lub drewno. Jakoś sobie poradzimy. Ale co zrobią ludzie w miastach?

A zima daje już o sobie znać. Pada śnieg, znów wysiada prąd. Jadąc z pomocą dla ukraińskich żołnierzy przekazaną przez czytelników „Tygodnika”, mijamy wsie pogrążone w ciemnościach. Jedyne światełka to latarki telefonów, którymi oświetlają sobie drogę piesi. Im dalej na wschód, tym więcej śniegu. W podkijowskiej Buczy temperatura mierzalna spada trochę poniżej zera. Odczuwalna jest o kilka stopni niższa.

© WOJCIECH PIĘCIAK z Chyrowa i Kijowa

Więcej:
tygodnikpowszechny.pl/atak-na-ukraine

Stare diesle znikną z Krakowa

23 LISTOPADA krakowscy radni przegłosowali wprowadzenie w całym mieście Strefy Czystego Transportu – to pierwsze takie rozwiązanie w Polsce. Będzie wprowadzane w dwóch etapach: od 1 lipca 2024 r. obejmie zaledwie 2 proc. najstarszych aut. Surowsze wymagania wejdą w życie dwa lata później. Od 1 lipca 2026 r. z ulic Krakowa znikną benzynówki sprzed 2000 r. i diesle sprzed 2010 r. (o ile nie spełniają normy Euro 5). Dzisiaj to ponad 21 proc. zarejestrowanych w mieście aut, które są odpowiedzialne za 80 proc. pyłów i połowę tlenków azotu produkowanych przez ruch samochodowy.

Radni musieli znaleźć balans między ekologią a ekonomią, uchwała zawiera wiele kompromisów (starych aut nie będą musieli wymieniać np. mieszkańcy ponad siedemdziesięcioletni), ale wprowadzenie strefy było koniecznością. Na krakowskich Alejach Trzech Wieszczów w zeszłym roku było aż 105 „smogowych” dni – najwięcej w całym kraju. Teraz najważniejsza jest skuteczność nowych przepisów (za ich złamanie grozi 500 zł mandatu) oraz zaoferowanie mieszkańcom alternatywy – sprawnej komunikacji. Krakowska strefa jest ważna w skali całego kraju, bo to na jej podstawie podobne decyzje będą podejmować inne polskie miasta.

© P K S

Terapia szokowa

CIERPIĄCY PSYCHICZNIE pacjenci są zagrożeni – alarmują w mediach społecznościowych psychoterapeuci po tym, jak Ministerstwo Zdrowia ogłosiło projekt rozporządzenia dopisującego psychoterapię do listy tzw. zawodów mających zastosowanie w ochronie zdrowia. By pracować w tej profesji w systemie publicznym, trzeba będzie mieć tytuł magistra medycyny, pielęgniarstwa, psychologii, pedagogiki, socjologii lub resocjalizacji, a następnie przejść kształcenie podyplomowe. Chodzi – jak deklaruje resort zdrowia – o ograniczenie dopływu do zawodu osób przypadkowych, ale też stworzenie wysoko wyspecjalizowanej kadry.

Psychoterapeuci – choć w większości zgodni, że ich zawód wymaga ustawowych uregulowań – odpowiadają jednak, że kadra wyszkolona jest, bo już dziś osoby wykonujące ten zawód przechodzą kosztowne i długotrwałe kursy. Tymczasem, argumentują, nowe przepisy mogą spowodować odpływ psychoterapeutów z publicznego sektora, co wydłuży już i tak długie kolejki po wsparcie. Jeśli rząd nie posłucha tych głosów, kontrowersyjne rozporządzenie może wejść w życie już w grudniu.

© P PW

KRAJ W SKRÓCIE

ŚLUB

Wiceminister rozwoju i technologii Olga Semenjuk wyszła za mąż za wiceministra finansów Piotra Patkowskiego, a smutnym potwierdzeniem polaryzacji niszczącej nasze życie publiczne jest fala sztychów, jaka spotkała państwa młodych w mediach społecznościowych.

MECZ

Szczęśliwie łączy nas piłka. „W Małomąjcu, w siedzibie koła Gospodyń Wiejskich (Wspaniałych!) Polska wygrała z Arabią Saudyjską 2:0! Brawo! Gratulujemy i dziękujemy Biało-Czerwonemu!!!” – napisał prezydent RP, a w liczbie przymiotników przebił go jeszcze premier. Donald Tusk był powściągliwszy: „Bo w życiu trzeba mieć szczęście. Szczęsnego znaczy” – skomentował.



TWITTER.COM / ANDRZEJ DUDA

RÓŻNICA

Szef MON Mariusz Błaszczak najpierw „z satysfakcją” przyjął niemiecką propozycję przekazania Polsce systemu ochrony przeciwlotniczej Patriot, ale po interwencji Jarosława Kaczyńskiego uznał, że rakiety powinny jednak trafić na Ukrainę. „Jeśli Niemcy nie zgodzą się, to trzeba tę ochronę przyjąć u nas” – zawyrokował ostatecznie prezydent Duda.

TELEFON

Prezydent – dodajmy – nie ma ostatnio najlepszych chwil: do sieci trafiło nagranie rosyjskiego satyryka, z którym Andrzej Duda odbył siedmiominutową rozmowę telefoniczną, przekonany, że ma do czynienia z Emmanuelem Macronem.

Tenis: przemoc i odwaga



EWELENA BURDA

ZA ZAMKNIĘTYMI DRZWIAMI KANTORKA, OBOK kortu: sprawy przemocy w polskim tenisie wychodzą na światło dzienne. Katarzyna Kotula, posłanka Lewicy, w rozmowie z Januszem Schwertnerem i Jackiem Harłukowiczem z Onetu opowiedziała, jak była molestowana seksualnie przez prezesa Polskiego Związku Tenisowego Mirosława Skrzypczyńskiego w czasach, gdy on był trenerem, a ona nastoletnią zawodniczką klubu Energetyk Gryfino.

Kilka dni po publikacji rzecznik PZT ogłosił, że Skrzypczyński złożył rezygnację z funkcji prezesa. Zmiana w strukturach okazała się pozorna, bo Skrzypczyński pozostał członkiem zarządu. PZT ogłosił też powołanie niezależnej od związku komisji. Postępowanie wyjaśniające w sprawie tych wydarzeń wszczyna Prokuratura Okręgowa w Szczecinie.

Debata o przemocy w sporcie nabiera mocy: oprócz najważniejszych głosów pokrzywdzonych, ważne są też pochodzące ze środowiska tenisowego, na czele z tymi od Igi Świątek i Huberta Hurkacza. Katarzyna Kotula podkreśla, że swoją historię chce zaważczyć o systemowe zmiany, by sprawy takie jak jej się nie przedawniały – poszkodowani często dopiero po latach potrafią o nich mówić.

© P EWELENA BURDA

Co piąty Polak uważa, że biedni są leniwi

NIEMAL 2,5 MLN obywateli Polski żyje w budynkach, w których przecieka dach, okna są nieszczelne, a na ścianach widać wilgoć. 2 mln nie ma bezpośredniego dostępu do łazienki i toalety. Duża grupa spośród tych osób zalicza się do 1,6 mln Polaków (w tej liczbie ponad 300 tys. stanowią dzieci), którzy żyją w skrajnym ubóstwie. Takie dane płyną z Raportu o Biedzie 2022, przygotowywanego co roku przez Szlachetną Päckę, organizację charytatywną, która oprócz niesienia pomocy pełni też od lat rolę instytucji analizującej zjawisko ubóstwa w Polsce.

Jednym z elementów nowego raportu są wyniki ogólnopolskich badań, z których wynika, że 15 proc. Polaków uważa, iż bieda to wybór lub wynik lenistwa (22 proc.). Z kolei ponad jedna trzecia z nas sądzi, że jeśli ktoś pracuje, to musi mu starczać na życie.

© P K E S



IVAN ROMANO / GETTY IMAGES

LAWINY Z BŁOTA I KAMIENI spowodowane intensywnymi opadami deszczu nawiedziły w minioną sobotę włoską wyspę Ischia. W porcie Casamicciola osuwająca się ziemia burzyła budynki i spychała samochody do morza. Ewakuowano blisko 200 osób, 12 uznaje się za zaginione, zginęła co najmniej jedna osoba. Do sprzątania po kataklizmie (na zdjęciu) zgłosiły się dziesiątki wolontariuszy. Podobne zdarzenie miało miejsce na Ischii w listopadzie 2009 r. Mieszkańcy oskarżają władze, że od tamtej pory nie poczyniono żadnych prac zabezpieczających. ©P JT

Chińczycy zmęczeni polityką „zero covid”

MAREK RABJ



KOCHAM TEN KRAJ, ALE NIE KOCHAM tego rządu. Chciałbym swobodnie wychodzić na ulicę, ale nie mogę. Nasza polityka wobec covidu to gra i nie ma oparcia w nauce ani rzeczywistości” – skarżył się dziennikarzowi agencji Reutersa jeden z mieszkańców Szanghaju, gdzie w miniony weekend doszło do gwałtownych protestów przeciw drakońskim regulacjom antyepidemicznym obowiązującym nadal w Chinach. Demonstracje wybuchły też w innych metropoliach. Ich uczestnicy domagają się porzucenia polityki „zero covid”, która zmusza m.in. do wykonywania testu przed każdym wyjściem z domu.

Protesty zaczęły się w Urumczy, stolicy prowincji Sinciang, gdzie 24 listopada w pożarze budynku mieszkalnego zginęło 10 osób. Lokalne władze ocenzurowały informacje o tragedii, co podsycało spekulacje, że to covidowe restrykcje utrudniły ewakuację i akcję gaśniczą. Nazajutrz w mieście doszło do pierwszych demonstracji i zamieszek. Policja zdławiła je brutalnie, ale w sobotę protesty rozlały się

już na miasta najlepiej rozwiniętego i najludniejszego regionu na wschodzie kraju. W centrum Szanghaju służby starły się z setkami demonstrantów, z których część trzymała białe kartki – symbol protestu przeciw ograniczaniu wolności słowa. Demonstracje odbyły się także na kampusie elitarnego uniwersytetu Tsinghua w Pekinie, a w dzielnicy Chaoyang mieszkańcy wieczorem zapalili na ulicach znicze ku czci ofiar pożaru w Urumczy; tłum skandował również hasła domagające się uwolnienia aresztowanych uczestników demonstracji w Szanghaju.

Protesty odnotowano także w Kantonie, Wuhan i Nankinie. W Czungdu, stolicy prowincji Syczuan na południowym zachodzie Chin, demonstrujący połączyli postulaty zniesienia polityki „zero covid” z krytyką ostatnich zmian w statucie Komunistycznej Partii Chin, z której ekipa Xi Jinpinga usunęła niedawno limit dwóch kadencji na stanowisku sekretarza generalnego. „Nie chcemy cesarzy” – skandował tłum. ©P

Więcej szpiegów na Północy

JESZCZE NIE SĄ W NATO, ale Rosja już je tak traktuje: Szwecja i Finlandia informowały w minionych dniach o wzmożonej aktywności służb specjalnych Kremla na swoim terytorium. Za zamkniętymi drzwiami sądu w Sztokholmie rozpoczął się właśnie proces braci oskarżonych o szpiegowanie na rzecz Rosji przez 10 lat. Aresztowano ich przed rokiem. Mieszkający w Uppsali Peyman i Payam Kia mieli m.in. dostęp do listy pracowników szwedzkiego kontrwywiadu – według ekspertów Rosja w ostatnich latach koncentruje się na pozyskiwaniu tzw. źródeł osobowych. Z kolei 22 listopada, podczas spektakularnej obławy z użyciem dwóch śmigłowców Black Hawk, zatrzymano na przedmieściach Sztokholmu ponad 60-letniego mężczyznę podejrzanego o współpracę z rosyjskim wywiadem wojskowym GRU. Prokuratura nie informuje o sprawie szczegółowo, wiadomo jednak, że w śledztwie ma brać udział amerykańska FBI.

To tylko ostatnie dwie z kilkunastu informacji o walce z podejrzanymi o szpiegostwo na rzecz Rosji, które napłynęły w tym roku z państw nordyckich i bałtyckich (miesiąc temu pod podobnymi zarzutami zatrzymano w Norwegii wykładowcę akademickiego). Do konfrontacji z rosyjskim wywiadem szykują się zwłaszcza Szwecja i Finlandia, które w przyszłym roku wejdą do NATO. Wysoko postawiony urzędnik fińskiego MSZ opowiedział o nowych zasadach bezpieczeństwa, które wprowadzane są w administracji rządowej. „Nikt nie ma prawa dostępu do informacji, które nie dotyczą jego zadań. Nikt nie ma dostępu do wszystkich danych i do wszystkich pomieszczeń. To nie brak zaufania do ludzi, raczej sposób zarządzania ryzykiem” – mówił nadawcy publicznemu YLE. W październiku opozycyjna chadecka Partia Koalicji Narodowej zaproponowała ograniczenie możliwości sprawowania funkcji ważnych z punktu widzenia bezpieczeństwa (np. w policji) do osób urodzonych w Finlandii.

Szwedzka służba bezpieczeństwa szacuje, że ok. jednej trzeciej pracowników rosyjskiej ambasady i konsulatów (w sumie kilkanaście osób) to oficerowie wywiadu. Prowadzeni przez nich agenci szpiegują również w zakładach przemysłowych. W 2021 r. skazano mężczyznę, który wykradł poufne informacje z firmy motoryzacyjnej Scania. ©P MARCIN ŻYŁA

Dymisja za mobbing, ale czy tylko?

PAPIEŻ ODWOŁAŁ zarząd Caritas Internationalis, koordynujący pracę ponad 200 organizacji charytatywnych na świecie. Powodem były „uchybenia w zarządzaniu”, ale – zapewnia komunikat – nie chodzi o nadużycia finansowe czy seksualne. Przeprowadzona kontrola wykazała, że sekretarz generalny, Aloysius John, zastraszał i upokarzał swoich podwładnych. Jednak pracę wraz z nim traci także prezydent zarządu, kard. Antonio Tagle, oraz skarbnik. Czy tylko za brak reakcji na nadużycia? Czy też – jak twierdzą zwolennicy teorii spiskowych – chodzi o uderzenie w filipińskiego kardynała, uważanego za głównego kandydata do sukcesji na tronie Piotrowym?

Nic na to nie wskazuje. Kard. Tagle, jako jedyny z odwołanych, ma pomagać zarządowi komisarycznemu w dalszej pracy. Być może obejmie też szefostwo ważnej dykasterii. Zdaje się, że papież nie tylko chce zapobiec nadużyciom, ale przy okazji dokonać głębszych zmian w instytucji i poprawić jej efektywność. Z raportu Caritas za 2021 r. wynika, że ponad połowę jej wydatków stanowią koszty administracyjne. A Franciszek często powtarza, że większość zbieranych środków ma trafić do potrzebujących.

Dymisja zarządu nie ma wpływu na prace biur krajowych Caritasu. W maju 2023 r. walne zgromadzenie wybierze nowe władze CI i zatwierdzi zmieniony statut. ©© EDWARD AUGUSTYN

Rewizja w ławrze

SŁUŻBA BEZPIECZEŃSTWA Ukrainy przeprowadziła bezprecedensową rewizję w ławrze Kijowsko-Pieczerskiej i 350 innych obiektach należących do Ukraińskiej Cerkwi Prawosławnej Patriarchatu Moskiewskiego (UCP PM). Znalaziono prorosyjskie wydawnictwa i duże sumy pieniędzy o nieznanym pochodzeniu. Przesłuchano 850 osób, zatrzymano kilkadziesiąt osób z fałszywymi dokumentami lub rosyjskimi paszportami.

Hierarchowie UCP PM zajmują od początku wojny w Ukrainie ostrożne stanowisko. Choć synod podkreślił autonomię ukraińskiej Cerkwi, to nie podjął decyzji o zerwaniu więzi z Patriarchatem Moskwy. Zdaniem strony ukraińskiej ławra pozostaje ośrodkiem wspierającym prorosyjskie lobby w ukraińskiej Cerkwi. Rewizja w tym sanktuarium stanowi przełamanie tabu jej nietykalności. Rosyjska Cerkiew Prawosławna nazwała akcje ukraińskich służb „bezwzględny wtargnięciem w sprawy Cerkwi”, a rzecznik prasowy Kremla oskarżył Kijów o to, że „prowadzi wojnę z rosyjską Cerkwią”. © ANNA ŁABUSZEWSKA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

LIST

„Dziś widzę was na Chrystusowym krzyżu; was, którzy cierpicie z powodu terroru, rozpętanego przez tę agresję” – napisał Franciszek w liście do narodu ukraińskiego. Zapewnia w nim o nieustannej modlitwie, podziwie i bliskości względem cierpiących Ukraińców.

BEZDOMNY

Papież i jego jałmużnik kard. Konrad Krajewski modlili się za bezdomnego, który zmarł w pobliżu kolumnady Berniniego na placu św. Piotra. Dzień wcześniej chory na cukrzycę Burkhard S. odmówił wolontariuszom przyjęcia pomocy.



ANTHONY KWAN / EAST NEWS

PROCES

90-letni kardynał Joseph Zen (na zdjęciu) został skazany na grzywnę 512 dolarów za niezarejestrowanie funduszu przeznaczonego na pomoc prawną dla aresztowanych uczestników protestów w obronie demokracji w Hongkongu.

AKCJA

Po raz szósty biskupi włączyli się do akcji policji „Świeć Przykładem”. Rzecznik episkopatu ks. Leszek Gęsiak SJ wezwał do noszenia po zmroku odblasków, przypominając, że największej nieszczęśliwych wypadków ma miejsce w listopadzie i w grudniu.



DZIENNIKARZE I AUTORZY „TYGODNIKA”

co tydzień są gośćmi Grzegorza Chlasty w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia www.rdc.pl
Warszawa 101 FM
Ostrów Maz. 87,6 FM
Radom 89,1 FM
Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM
Siedlce 103,4 FM

Przypadek ks. Surgenta



ARTUR SPORNIAK

TO PIERWSZY PRZYPADEK DUCHOWNEGO WYkorzystującego seksualnie małoletnich, który pracował w archidiecezji krakowskiej za czasów Karola Wojtyły. Piotr Litka wraz z Tomaszem Krzyżakiem na łamach „Rzeczpospolitej” opisali historię ks. Eugeniusza Surgenta zmarłego w 2008 r. Tekst drobniawo odtwarza drogę duchownego od święceń w 1957 r. – na ile pozwala osiem tomów akt SB z IPN, gdyż kuria krakowska odmówiła dostępu do teczek personalnej księdza.

Surgentowi udowodniono skrzywdzenie sześciu chłopców, za co otrzymał trzy lata więzienia (z czego odsiedział rok), ale ofiar – jak piszą autorzy – jest znacznie więcej. W ciągu pierwszych 14 lat kapłaństwa duchowny przeszedł przez aż osiem placówek duszpasterskich. To niespotykana częstotliwość przenosin. Ostatnia kończy się wyrokiem. Z teczek SB wiadomo jednak, że podczas pobytu na przedostatniej placówce skargę na Surgenta składa matka skrzywdzonego chłopca. Po stronie kościelnej sprawa kończy się jedynie listowną reprimendą od biskupa diecezji lubaczowskiej, gdzie Surgent był inkardynowany (choć został wyświęcony i pracował w archidiecezji krakowskiej). Wówczas to zostaje zwerbowany przez SB na tajnego współpracownika.

Gdy przestępstwa kapłana wychodzą na jaw, kuria krakowska zgodnie z ówczesnym kodeksem prawa kanonicznego (z 1917 r.) zwalnia go z pracy w diecezji. Ale co najmniej od 1979 r. odnaleźć go można w diecezji kościańsko-kołobrzesckiej, gdzie znowu wędruje po parafiach. Czy Karol Wojtyła był zaangażowany w te przenosiny i czy nowy biskup znał historię ks. Surgenta?

Tego się nie dowiemy, póki nie zostaną otwarte archiwa kościelne. Ale już po tym pierwszym przypadku widać, że postępowanie z krzywdzicielami dzieci w archidiecezji krakowskiej w latach 60. i 70. ubiegłego wieku nie odbiegało od tego, co działo się gdzie indziej: pedofile przenoszono byli z miejsca na miejsce, łatwo i wierzono w ich nawrócenie, karano mało skutecznie albo odstępowano od kary, gdy sprawca odbył wyrok świecki (co zalecał kodeks z 1917 r.). I przede wszystkim nie zwracano uwagi na ofiary.

Dlatego dobrze się stało, że koordynator episkopatu ds. ochrony dzieci i młodzieży, jezuita ks. Adam Żak, już zaapelował i o otwarcie archiwów, i o aktywne szukanie ofiar z tamtych czasów. ©©

KULTURA W SKRÓCIE

LAUR KONRADA

Jakub Skrzywanek zdobył główną nagrodę XXI Ogólnopolskiego Festiwalu Sztuki Reżyserskiej „Interpretacje” w Katowicach. Wyróżniono go za reżyserię spektaklu „Śmierć Jana Pawła II”, przygotowanego w Teatrze Polskim w Poznaniu. Nasza recenzja na stronie powszech.net/smiercp2.

EUROPEJSKIE WYRÓŻNIENIE

Paweł Mykietyn został laureatem Europejskiej Nagrody Filmowej za muzykę do „IO” w reżyserii Jerzego Skolimowskiego. Gala wręczenia statuetek odbędzie się 10 grudnia w Reykjavíku.

NAGRODA PUBLICZNOŚCI

„Lombard” Łukasza Kowalskiego został Wydarzeniem 28. Festiwalu Form Dokumentalnych NURT 2022. Obraz otrzymał także ufundowaną przez prezydenta Kielc nagrodę publiczności.

POECI WOLNOŚCI

Sześcioro poetów wraz z tłumaczami znalazło się w finale Nagrody Literackiej Miasta Gdańska Europejski Poeta Wolności 2024. Są to: Mirela Iwanowa (Bułgaria) i jej tłumaczka Magdalena Pytlak, Darko Cvijetić (Chorwacja) z tłumaczem Miłoszem Walińskim, Monika Herceg (Chorwacja) z tłumaczką Aleksandrą Wojtaszek, Anja Erämaja (Finlandia) oraz Katarzyna Szał, Arvis Vīguls (Łotwa) i Piotr Ruciński, a także Miriam Van hee (Niderlandy) i jej tłumacz Jerzy Koch. Laureatów poznamy wiosną 2024 r. w Gdańsku.



Pierwsze
Radio
Informacyjne

DZIENNIKARZE

I AUTORZY „TYGODNIKA” co tydzień goszczą w programie „Światopogląd” Agnieszki Lichnerowicz w radiu Tok FM. Słuchaj od wtorku do piątku o godzinie 15.00. Zapraszamy! 95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław 96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź 97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań www.tokfm.pl



NASA

ARTEMIDA 1 DOTARŁA NAD KSIĘŻYC. Misja ma przetestować wszystkie systemy – ogromną rakietę SLS, dostarczanie energii, wody i powietrza, a także tarczę chroniącą kapsułę podczas powrotu przez ziemską atmosferę – od których zależeć będzie życie przyszłych astronautów. Na pokładzie kapsuły są manekiny wyposażone w czujniki. Ludzie mają polecieć wokół Księżyca w 2024 r., a w 2025 lub 2026 r. zostawią odciski stóp w tamtejszym pyłu. Potem Amerykanie, Europejczycy i Japończycy mają wspólnie zbudować pierwszą statą księżycową bazę. Najpierw jednak misja Artemis 1 musi zakończyć się sukcesem. Planowo kapsuła ma wodować w wybrzeży Kalifornii 11 grudnia. © MICHAŁ GIKOWSKI

Wojna w obiektywie na festiwalu Photo Is:Rael

IZRAELSKI FESTIWAL staje się jedną z najważniejszych tego typu imprez na świecie. W dziesiątej odsłonie głównym tematem jest hasło „Akcja”. Tropy prowadzące do odczytania tej koncepcji przechodzą przez takie zagadnienia jak światowe migracje, coraz bardziej płynna koncepcja płci, kwestie akceptacji osób LGBT czy katastrofa klimatyczna. Zniknął temat pandemii, zastąpiła go wojna w Ukrainie, pokazana przez związane z nią emocje i historie ludzi drastycznie wyrwanych ze swojego środowiska. Temat ten reprezentują m.in. dwie ekspozycje związane z Polską.

Jedną z największych pod względem liczby prac jest wystawa Justyny Mielnikiewicz „Ukraina przez to przechodzi”. Jej bohaterami są ludzie mierzący się z codziennością przeżywaną w cieniu wojny. Drugą ekspozycją, w której wątek polski wybrzmiewa donośnie, jest wystawa „In Their Own Words” izraelskiej artystki Michal Chelbin, uznawanej za jedną z najważniejszych fotografek w Izraelu. W marcu tego roku Chelbin przyjechała do Warszawy, gdzie sfotografowała dziesięć rodzin dzielących swoje domy z uchodźcami z Ukrainy. Przedstawiła delikatną tkaninę, która powstaje pomiędzy początkowo obcymi sobie ludźmi. Produkcja tego projektu możliwa była dzięki wsparciu Instytutu Polskiego w Tel Awiwie, we współpracy z Instytutem Adama Mickiewicza w Polsce. © JACEK TARAN Więcej: powszech.net/israel

Zakażony lider

TOXOPLASMA GONDII jest rozpowszechnionym pasożytem infekującym komórki zwierząt stałocieplnych, ale jego ostatecznym żywicielem są kotowate – tylko u nich ten pierwotniak może się rozmnażać. Już wcześniej ustalono, że toxoplasma może dotrzeć do mózgu i zmieniać zachowanie żywiciela. Np. za-infekowane szczury chętniej eksplorują teren i rzadziej boją się kotów, co naraża je na pożarcie, a pasożytowi ułatwia zdobycie nowego gospodarza i reprodukcję. Kolejny intrygujący efekt zakażenia zaobserwowali właśnie Connor J. Meyer i współpracownicy.

Badacze przeanalizowali próbki krwi i historie życiowe wilków żyjących w Parku Narodowym Yellowstone. Ich terytoria częściowo nachodzą na siedliska pum, od których można się zarazić toxoplasmą. Okazało się, że zakażone wilki wielokrotnie częściej porzucają rodzime stada i zakładają własne, a także zostają przywódcami – dzięki czemu same mogą się rozmnażać. Są więc bardziej skłonne do podejmowania ryzyka, a podążające za takim liderem stado, jak sądzą badacze, mniej obawia się spotkań z pumami, co otwiera pasożytowi nowe możliwości reprodukcji. © ŁK

DZIEWIĘĆ MIESIĘCY PÓŹNIEJ

Czy rzeczywiście zapomnieliśmy o uchodźcach, którzy uciekali do nas wiosną, a dziś niechętnie patrzymy na „bogatych Ukraińców” jeżdżących drogimi samochodami?

MAŁGORZATA NOCŃ



ILU UKRAIŃCÓW JEST OBECNIE W POLSCE? Odpowiedź jest trudna, jeśli nie niemożliwa. Według Unii Metropolii Polskich wiosną mieszkało u nas 3,85 mln uchodźców zza Dniepru, co stanowiło 8 proc. ogółu ludności kraju. Niektórzy przyjeżdżali do Polski tylko na chwilę i wyruszali w dalszą drogę na zachód Europy, niektórzy przeczekali tu kilka miesięcy i wrócili do ojczyzny.

Od tego czasu sytuacja się jednak zmieniła: wielu Ukraińców opuściło nasz kraj, inni – zdecydowali się pozostać tu na stałe. Dziewięć miesięcy po ponownej rosyjskiej inwazji na Ukrainę, która wywołała największą w historii współczesnej Polski falę spontanicznej pomocy, coraz częściej słychać zaś pytanie: „Czy nie jesteśmy tą pomocą zmęczeni?”.

Na to właśnie miałyby wskazywać niektóre ogłaszane ostatnio publikacje. Na pogorszenie stosunku Polaków do Ukraińców mogłaby także wpłynąć niedawna

eksplozja ukraińskiej rakiety w Przewodowie. Tego jednak nie potwierdzają na razie żadne sondaże.

Moi rozmówcy przestrzegają przed ciąganiem pochopnych wniosków. W rozważaniach na temat tego, jak Polacy odbierają uchodźców z Ukrainy, mogą oczywiście pomóc sondaże opinii publicznej. Ale także – opowieści samych Ukraińców.

„Powinnaś się już przyzwyczaić”

Oksana przyjechała do Polski w pierwszych dniach marca. Do jej miasteczka, leżącego w środkowej Ukrainie, wojna dotarła już nocą 24 lutego.

Z Oksaną rozmawiam regularnie, ostatni raz kilka dni temu. Nie potrafi wypowiedzieć zdania bez słów: „Gdyby nie Polacy, gdyby nie pani Joanna i nie pan Krzysztof...”. Do opuszczenia kraju namówiła ją matka. „My z tatą jesteśmy już starzy, możemy tu zostać. Ale ty musisz ratować córkę” – powiedziała. Oksana z nastoletnią Olgą stanęły na krakowskim dworcu kolejowym z jedną walizką ubrań. Koleżanka z Ukrainy, która kilka lat temu przyjechała do Krakowa za pracą, powiedziała jej: „Znam Polaków, którzy nie odmówią ci pomocy”. Tak Oksana trafiła pod opiekę młodego małżeństwa, Joanny i Krzysztofa.

– Ludzie, którzy mnie i moją córkę widzieli po raz pierwszy na oczy, oddali nam największy pokój w mieszkaniu, które wynajmują studentom. Do tej pory nie pobierają od nas opłat. Pomogli mi znaleźć pracę i dodatkowe zlecenia, które ułatwiają mi spicie budżetu. Dzięki nim stanęłam na nogi – mówi Oksana. Olga dostała się na studia, w weekendy wspólnie z mamą uczy się języka polskiego.

Jeśli Oksana chce się na coś pożalić, mówi: „Polacy nie do końca rozumieją, czym jest wojna, znają ją tylko z telewizji”. W telefonie nie wyłączyła powiadomień o alarmach bombowych. Kiedy słyszy, że jej miasteczko jest pod ostrzałem, natychmiast dzwoni do rodziców.

– Kiedyś przyszedłam do pracy spóźniona i rozedrgana. Od progu przepraszałam koleżanki, tłumacząc im, że moi bliscy nie dają znaku życia. Usłyszałam: „Oksanka, ale wojna trwa tak długo, że powinnaś się już do niej przyzwyczaić”.

*Demonstracja solidarności
po ataku rosyjskich rakiet na miasta
ukraińskie. Rynek Główny w Krakowie,
10 października 2022 r.*

Także Lubie pomogli nieznajomi Polacy. Kiedy z córką wysiadła z przepełnionego pociągu na warszawskim dworcu, młody mężczyzna zapytał, czy potrzebuje pomocy w znalezieniu noclegu. Wraz z żoną udzielił im gościnę i pomógł dostać pierwszą pracę (opieka nad dziećmi i sprzątanie mieszkań). Luba skończyła dwa kierunki studiów, w Ukrainie pracowała na wysokim stanowisku w branży przemysłowej.

– W Polsce jestem sprzątaczką i nianią, ale jestem wdzięczna za każdą pracę – mówi. – Wojna każdego emigranta stawia pod ścianą. Nie zastanawiam się nad tym, czym się zajmuję, doceniam fakt, że moje dziecko jest bezpieczne.

Tę opinię podziela wiele Ukrainek – bo to przede wszystkim kobiety przybyły do Polski. Nawet lekarcom zdarza się sprzątać mieszkania. Do swoich stałych klientów zabierają stetoskop. Kiedy już umyją okna, podłogi, wyczyszczą toalety, w progu osłuchują dzieci.

Mniej pieniędzy

Opowieści Oksany i Olgi są spójne z wynikami badań prowadzonych pod merytoryczną opieką prof. Michała Bilewicza, kierownika Centrum Badań nad Uprzedzeniami UW. Polski Sondaż Uprzedzeń – bo o nim mowa – realizowany był cyklicznie od 2009 r. W 2014 r. wybuchła wojna na wschodzie Ukrainy. W tym okresie w Polsce pojawili się pierwsi uchodźcy – z Donbasu i Krymu. Szacuje się, że przed wybuchem „wielkiej wojny” w lutym 2022 r. ich liczba wynosiła ok. 2 mln. Wtedy właśnie polskie ulice zaczęły „mówić” po rosyjsku i ukraińsku.

– W Polakach zaczęła dokonywać się istotna zmiana – zaznacza prof. Bilewicz. – Ukraińcy powoli przestawali być dla nas „zbrodniarzami z Wołynia”. Stali się sąsiadami, znajomymi z pracy, rodzicami uczniów uczęszczających z naszymi dziećmi do tego samego przedszkola czy szkoły. W badaniach obserwowaliśmy, że z każdym rokiem nasz stosunek do przybyszów z Dniepru stawał się coraz pozytywniejszy.

Największy wybuch solidarności wobec Ukraińców obserwowaliśmy wiosną, kiedy Rosja wypowiedziała Kijowowi pełnozakresową wojnę. Aż 15 proc. Polaków zaangażowało się w wolontariat, 6 proc. przyjęło ukraińskie rodziny pod swój dach.



BEATA ZAWRZEL / NURPHOTO / GETTY IMAGES

→ Czy teraz, 9 miesięcy po ponownej inwazji rosyjskiej, rzeczywiście jesteśmy „zmęczeni uchodźcami”? Prof. Bilewicz zapewnia, że w realizowanych przez Centrum badaniach nie daje się zaobserwować nawet subtelna zmiana stosunku Polaków wobec Ukraińców. Zmienia się jedno: Polacy podkreślają, że mają coraz mniej zasobów materialnych pomagających im wspierać uchodźców.

Bez żalu

Odczuła to Olga. Przyjechała do Polski z Chersonia. Uciekała przed bombami z dwiema córkami, dorosłą i nastoletnią. Wkrótce to one musiały zaopiekować się pogrążoną w depresji matką. Olga przestała spać w nocy i nie widziała dalszego sensu życia. Pomogła wizyta u psychiatry, świadczącego za darmo usługi na rzecz uchodźców, i leki antydepresyjne. W marcu Olga codziennie dzwoniła do męża. W każdej rozmowie

mówiła o wsparciu, które otrzymuje od Polaków. Tym materialnym i symbolicznym. Opowiadała o ukraińskich flagach wywieszonych w prywatnych mieszkaniach i na budynkach użyteczności publicznej.

Pierwsze mieszkanie Olga i jej córki otrzymały od Polaków nieodpłatnie, z zastrzeżeniem, że mogą zatrzymać się w nim tylko na trzy miesiące. Młodsza córka Olgi została przyjęta do prywatnego liceum (czesne opłacili rodzice uczniów, skompletowali też dla dziewczyny wyprawkę). Starsza znalazła pracę w restauracji. Przepracowała miesiąc jako kelnerka, zwolniono ją dzień przed wypłatą. Nie zobaczyła ani złotówki. Olga zatrudniła się w piekarni. Praca na zmiany, bardzo ciężka i niskopłatna.

Olga: – Najtrudniejszy moment przyszedł, kiedy musiałyśmy same się o siebie zatroszczyć: znaleźć mieszkanie, zapłacić za jego wynajem, opłacić rachunki z wła-

snej kieszeni. Były chwile, gdy myślałam, że sobie nie poradzimy. Ale rozumiałyśmy, że musimy stać się samowystarczalne, nie miałyśmy żalu do Polaków, nikt przecież nie mógł utrzymywać nas miesiącami.

Olga nie zmieniła zdania o Polakach, choć jej córka została oszukana. Podkreśla, że nie można wyciągać ogólnych wniosków na podstawie jednej smutnej historii.

Sondaże przeprowadzane przez Instytut Badań Rynkowych i Społecznych co kwartał potwierdzają: duża część Polaków nie jest w stanie dłużej nieść materialnej pomocy Ukraińcom. W czerwcowych badaniach ankietowani twierdzili, że są tym już „wyczerpani emocjonalnie i finansowo”. Dotykają ich przecież inflacja i masowe zwolnienia.

– W naszych sondażach daje się odnotować pewien dualizm – zaznacza Marcin Duma, prezes IBRIS. – Aż 80 proc. ankietowanych deklaruje, że są gotowi wciąż ponosić pewne straty na rzecz zwycięstwa Ukrainy i nie chcą, by Kijów zawarł pokój z Moskwą kosztem ustępstw terytorialnych. Ale jednocześnie 63 proc. z nas podkreśla, że Polska udziela pomocy uchodźcom w zbyt szerokim zakresie.

Duma zaznacza, że poglądy Polaków różnią się od opinii wyrażanych w zachodniej Europie, gdzie społeczeństwa są częściej zdania (w ok. 50 proc.), że Ukraina powinna zawrzeć z Rosją pokój, nawet za cenę cesji terytorialnych.

Dane zbliżone do pochodzących z ankiet Polskiego Sondażu Uprzedzeń i IBRIS-u prezentuje CBOS. W badaniu z października 76 proc. respondentów uznało, że należy wspierać uchodźców z Ukrainy.

Dobry los, dobry człowiek

Niektórzy Polacy nie wyobrażają sobie powrotu do kraju „ich Ukrainek” – jak nazywają kobiety, którym pomogli w początkowej fazie wojny. Tak jest w przypadku pani Anny, która spontanicznie wsparła całą grupę uchodźczyń. Oddała im swój niezamieszany dom. Dziś Anna jest właścicielką bardzo dobrze prosperującego salonu kosmetycznego.

– Zdaję sobie sprawę, że moja opowieść to historia sukcesu – zaznacza Ilona, która znalazła się w grupie kobiet wspieranych przez Annę. Ilona, wraz z córką i siostrzeńcem, przyjechała do Polski w pierwszych dniach wojny, kiedy na jej

Zimą przybędzie uchodźców, choć już głównie nie w Polsce

STATYSTYKI są rekordowe: od końca lutego państwa Unii Europejskiej objęły tymczasową ochroną niecałe 5 mln uchodźców z Ukrainy; najwięcej w Polsce (1,5 mln) i Niemczech (1 mln). Do 2024 r. mają oni dostęp do rynku pracy, ochrony zdrowia i edukacji. Po masowych wyjazdach na przełomie wiosny i lata ruch na zachodnich granicach Ukrainy zmalał, jednak od października – początku intensywnych rosyjskich bombardowań infrastruktury cywilnej – wskaźniki znów idą w górę. Na przejściu w węgierskim Záhony notuje się dziesięciokrotnie więcej przekroczeń niż we wrześniu; rząd Słowacji szykuje się nawet na 700 tys. osób (głównie podróżujących tranzytem) w ciągu trzech

zimowych miesięcy; Światowa Organizacja Zdrowia ostrzega, że zimą swoje domy opuści 2-3 mln Ukraińców, choć większość prawdopodobnie pozostanie w kraju.

DOŚWIADCZENIA z przeszłości pokazują, że okresem największego ruchu uchodźców jest zawsze czas tuż po wybuchu konfliktu. Jednak od dekad nie mieliśmy do czynienia z wojną tej skali toczoną w strefie klimatu umiarkowanego, podczas mroźnej, siarczystej zimy. Anitta Hipper, unijna komisarsz ds. wewnętrznych, zapewnia, że Wspólnota „jest przygotowana na każdy scenariusz”. Ale system jest już przeciążony. Czeski minister spraw wewnętrznych zapowiedział w ostat-

ni weekend, że ze względu na brak mieszkań i obciążenie ochrony zdrowia kraj ten jest w stanie zapewnić ochronę nie więcej niż kilkudziesięciu tysiącom nowych uchodźców (jak dotąd Czechy przyjęły najwięcej Ukraińców w przeliczeniu na mieszkańca). Polska na razie nie zgłasza takich zastrzeżeń.

SCENARIUSZ najbardziej prawdopodobny zakłada, że zimą w Ukrainie znacząco wzrośnie liczba tzw. uchodźców wewnętrznych (obecnie jest ich 7 mln); niektóre państwa Unii, np. Polska i Finlandia, z myślą o nich finansowały już budowę tymczasowych domów. Ruch na granicach zewnętrznych Ukrainy znacząco się zwiększy, nie osiągnie jednak takiej skali jak wiosną. Choć to – ostatecznie – zależy od rosyjskich bombardowań i dalszych kroków Putina.

© P ŻYM

rodzinny Krzywy Róg spadły bomby. Zamieszkała w Skawinie pod Krakowem w domu pani Anny. Zajęli jeden pokój.

– Przypomniali mi się czasy radzieckie, bo żyliśmy jak w mieszkaniu komunalnym, dzieląc łazienkę i kuchnię z obcymi ludźmi. Ale pomoc, która została nam udzielona, okazała się nieoceniona – opowiada Ilona.

Któregoś dnia pani Anna w rozmowie z Iloną wspomniała, że posiada w samym centrum miasta duże pomieszczenie. Lokal służył za skład niepotrzebnych rzeczy. Ilona, która z zawodu jest kosmetyczką, odparła: „Wspaniale, stworzymy w nim salon”. Remont trwał miesiąc. Pani Anna znalazła fundusze na zakup niezbędnego sprzętu. Salon prosperuje bardzo dobrze, pracują w nim wyłącznie Ukrainki. W planach jest otwarcie drugiego lokalu.

Teraz Ilona nie narzeka na brak pieniędzy. Udało jej się wynająć mieszkanie w Krakowie, dzieci nareszcie mają swój pokój. Stać ich na drobne przyjemności, jak wycieczka statkiem po Wiśle czy weekendowy wyjazd za miasto. – Dziękuję losowi, że postawił na mojej drodze panią Anię – mówi Ilona.

Sondaże tak złe, że nieopublikowane?

Oczywiście, nie każda historia ukraińskich uchodźców w Polsce kończy się dobrze. Wielu nie potrafiło odnaleźć się na rynku pracy, znaleźć mieszkania. Woleli (często z dziećmi) wrócić do Ukrainy. Wielu zetknęło się także z nieprzychylnym stosunkiem Polaków, a nawet zostało przez nich oszukanych. W internecie powstały fora, na których ukraińscy uchodźcy wzajemnie przestrzegają się przed nieuczciwymi pracodawcami czy osobami oferującymi wynajem starego mieszkania za wygórowaną cenę. Postów jest dużo.

Nieuczciwych Polaków spotkała np. Świętłana. Przyjechała do Polski ze wschodu Ukrainy. Młoda, bardzo dobrze

Wiosną aż 15 proc.
Polaków zaangażowało się
w wolontariat,
6 proc. przyjęło ukraińskie
rodziny pod swój dach.

sytuowana rodzina obiecała jej pracę w charakterze pomocy domowej. Jej zatrudnienie miało polegać na wykonywaniu „drobnych prac”, a zmieniło się w harówkę. Kazano jej ciężko pracować fizycznie, płacono jedynie część uzgodnionego wynagrodzenia. Podobnie było w jednej z miejscowości na Podhalu. Właściciel agroturystyki obiecywał uchodźcy „zakwaterowanie i dobre zarobki”, tymczasem upchnął kobiety z dziećmi w kilku małych pokojach. Kazał im pracować od świtu do nocy, płacił grosze.

Tyle o oszustach. A czy w szerszym kontekście społecznym faktycznie widać oznaki zmęczenia i zniecierpliwienia obecnością Ukraińców wśród nas? Niektóre media alarmują w ostatnich tygodniach, że zmienia się stosunek Polaków do uchodźców z Ukrainy: zaczynają dominować niechęć i zmęczenie pomaganiem, budzą się antypatia i nastroje antyimigranckie. Wspieramy Ukrainę w jej walce z Rosją (którą definiujemy jako wspólnego wroga), ale jesteśmy „przeciwko Ukraińcom”. Portal OKO.press (powołując się na przeprowadzone przez Związek Ukraińców w Polsce badania opinii wyrażonych w internecie) pisze: „Zbiór inwektyw. Antyukraińskość szerzy się przy milczącym wsparciu rządzących. Polski internet pełen jest negatywnych i stereotypowych wypowiedzi o Ukraińcach, od kilku lat wzrasta też liczba popełnianych wobec nich przestępstw”.

Oliwy do ognia dołała wydana przez „Krytykę Polityczną” publikacja pt. „Po-

lacy za Ukrainą, ale przeciw Ukraińcom. Raport z badań socjologicznych” prof. Przemysława Sadury i redaktora naczelnego „Krytyki” Sławomira Sierakowskiego. Jej tytuł sugeruje, że jest poświęcona naszemu stosunkowi do uchodźców zza wschodniej granicy. Tak jednak nie jest: raport opowiada o Polsce po doświadczeniu pandemii i wojny, tylko jeden rozdział, zatytułowany „Łączy nas niechęć do uchodźców”, dotyczy sygnalizowanego problemu.

Czytamy w nim: „Tym, co połączyło narracje badanych z klasy średniej i z klas ludowych, okazała się silna niechęć spon-tanicznie wyrażana we wszystkich grupach fokusowych wobec Ukraińców. Pobrzmiwa w nich niepokój o utratę pierwszeństwa w dostępie do świadczeń i do usług publicznych (służba zdrowia, edukacja, opieka)”.

Profesor Sadura w radiu Tok FM powiedział nawet: „Nie twierdzę, że znajdujemy się w przededniu eksplozji antyukraińskich nastrojów, ale na pewno widać systematyczną zmianę emocji na gorsze. Są już sondaże tak złe, że zleceniodawcy nie zdecydowali się na ich publikowanie”.

Co będzie dalej

Jest aż tak złe? Moi rozmówcy podkreślają, że odpowiedź na pytanie o stosunek Polaków do uchodźców z Ukrainy jest trudna. Mogą w niej pomóc badania opinii publicznej. Powinny jednak spełniać „wymóg reprezentatywności” – należy je przeprowadzać na odpowiednio dużej grupie badanych, a także systematycznie. Analizując wyniki, socjologzy muszą bowiem porównywać je z wcześniejszymi danymi uzyskanymi w podobnej grupie badanych. Także stawiane respondentom pytanie powinno brzmieć podobnie.

Prof. Michał Bilewicz uważa, że wiele nieporozumień wynika z niezrozumienia przez dziennikarzy mechanizmów badań. – Z jednego z niedawnych sondaży miało wynikać, że młode Polki ↪

Klub „Tygodnika Powszechnego” w Bielsku-Białej świętuje pięciolecie!

Z OKAZJI 5 LAT działalności klubu „Tygodnika” w Bielsku-Białej chcemy podziękować za Wasze zaangażowanie w ważne inicjatywy, obecność w życiu publicznym oraz budowanie przestrzeni do dialogu. Kolejnych owocnych lat!

Redakcja „Tygodnika Powszechnego”

→ nie akceptują mieszkających w naszym kraju Ukrainek. W badaniu wzięła udział grupa reprezentatywna dla Polski, bo licząca tysiąc Polaków, ale niereprezentatywna dla młodych Polek. Sami autorzy badania twierdzą, że Polacy są pozytywnie nastawieni do Ukraińców, niezależnie od płci i wieku – wyjaśnia prof. Bilewicz.

Podobnie jest z raportem przygotowanym przez „Krytykę Polityczną”. Było to badanie jakościowe, opierające się na wywiadach grupowych przeprowadzonych z niewielką grupą ludzi. – Dlatego też na jego podstawie nie możemy wysnuć uogólniającego wniosku, że „Polacy są zmęczeni uchodźcami”. Szczególnie że inne badania, prowadzone na próbach reprezentatywnych, tego nie potwierdzają – dodaje Bilewicz.

W internecie oczywiście można znaleźć wiele niechętnych opinii wygłaszanych pod adresem uchodźców (na nie właśnie powołuje się w swoim raporcie Związek Ukraińców w Polsce). „Dostali już nasze pesele, a teraz może jeszcze im przynajmniej 500+”, „Nie łudźmy się, polska szkoła jest już szkołą ukraińską, katastrofa”, „Mają czas chodzić po galeriach handlowych. Ja się pytam, za co robią te zakupy?” – czytamy anonimowe wpisy.

Zdaniem Marcina Dumy część Polaków zapomniała już o uchodźcach, którzy przybyli do naszego kraju słóczeni w pociągach z kilkoma tobołkami w ręce. Dziś patrzemy na „bogaty Ukraińców”, któ-

W badaniu CBOS
z października
76 proc. respondentów uznało,
że należy nadal wspierać
uchodźców z Ukrainy.

rzy jeżdżą drogimi samochodami i ubierają się w markowych sklepach. Duma uważa, że te opinie, odpowiednio wykorzystane przez niechętnych uchodźcom polityków, rzeczywiście mogą doprowadzić do wybuchu nastrojów antyukraińskich. Polacy mają coraz gorszy dostęp do opieki zdrowotnej, pogarsza się jakość nauczania w publicznych szkołach. Za pewien czas zechcemy, by ktoś poniósł za to odpowiedzialność, i niekoniecznie będą to rządzący. Takie próby są już zresztą podejmowane. Kilka dni temu w Krakowie działacze Młodzieży Wszechpolskiej zerwali spotkanie z ukraińską pisarką Oksaną Zabuzko. Twórczynię nazwano nacjonalistką i wypominano jej sympatię do Bandery. Jestem jednak pewna, że nikt z biorących udział w demonstracji nie przeczytał ani jednej jej książki.

W sondażach zauważa się także, że Polacy niechętnie dzielą się z Ukraińcami swoimi przywilejami.

Prof. Bilewicz podkreśla: – Ponad połowa Polaków uważa, że ukraińskie

dzieci powinny uczyć się w polskich szkołach. Podobne dane dotyczą objęcia uchodźców opieką publicznej ochrony zdrowia. Ale udzielanie ukraińskim rodzinom świadczenia 500 plus i dostęp do bezpłatnych lokali socjalnych popiera jedynie trzecia część polskiego społeczeństwa.

Dr Marta Jaroszewicz z Ośrodka Badań nad Migracjami UW uważa, że sondaże opinii publicznej nie pozwalają postawić tezy, że stosunek Polaków do Ukraińców się pogorszył. Jaroszewicz badała m.in. poziom satysfakcji Ukraińców przebywających w naszym kraju. – Zajmowałam się naukowcami, czyli grupą uprzywilejowaną z racji wykształcenia i statusu materialnego. Ankietowani podkreślali wdzięczność wobec Polaków, zwracali jednak uwagę, że otrzymana pomoc miała charakter krótkoterminowy – mówi.

Zdaniem badaczki, do Polski nie dotrze już kolejna duża grupa uchodźców, podobna do tej, którą obserwowaliśmy na przełomie zimy i wiosny. – Ukraińcy nie podejmują już decyzji o wyjeździe z kraju z dnia na dzień – tłumaczy Jaroszewicz. – Starają się dobrze przygotować do opuszczenia swoich domów. W pierwszej kolejności myślą o tym, aby udać się na zachód kraju, gdzie jest bezpieczniej niż we wschodnich i centralnych jego rejonach. Jeśli decydują się na wyjazd za granicę, zwykle najpierw upewniają się, że znajdą mieszkanie i pierwszą pracę.

© MAŁGORZATA NOCŮN

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego:
Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ,
Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo, Anna Goc,
Marek Kęskrawiec (kierownik),
Małgorzata Nocun, Michał Okoński, Marek Rabij,
Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski,
Anna Łabuszewska, Marcin Żyła,
Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek
(kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski,
Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska,
Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska

Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski,
Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepiolo,
Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik),
Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński
(kierownik), Maciej Müller, Monika Ochędowska, Krzysztof Story
TP Typografia: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś,
Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin,
Sylvia Frolow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska,
Maja Kuczmierska (kierownik), Mateusz Gawron,
Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska,
Piotr Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda,
Hanna Krall, Stanisław Mancewicz, Dorota Masłowska,
Bartosz Minkiewicz, Jacek Podsiadło, Zuzanna Radzik,
Andrzej Stasiuk, Tomasz Stawiszyski

Manager IT: Bartłomiej Swojak
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann,
Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz,
Wojciech Brzeziński, Beata Chomętowska, s. Barbara
Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch,
ks. Andrzej Dragula, Jakub Dymek, Jarosław Flis,
Andrzej Franaszek, ks. Tomasz Halik, ks. Michał Heller,
Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski,
Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński,
Dorota Kosińska, Ryszard Koziół, Karolina Lewicka,
Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk,
Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski,
Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Magdalena
Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech,
Olaf Osica, o. Wacław Osajca, Jacek Podsiadło, Karolina
Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik,
Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek,
abp Grzegorz Ryś, Mariusz Sepiolo, Tadeusz Ślawek,
Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski,
Marcelina Zumer-Brysz

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.

Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes),
Piotr Mucharski (wiceprezes),
Maja Kuczmierska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4
30-314 Kraków, tel. 668 477 039
Redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA



S-NET zapewnia wsparcie
technologiczne dla
„Tygodnika Powszechnego”

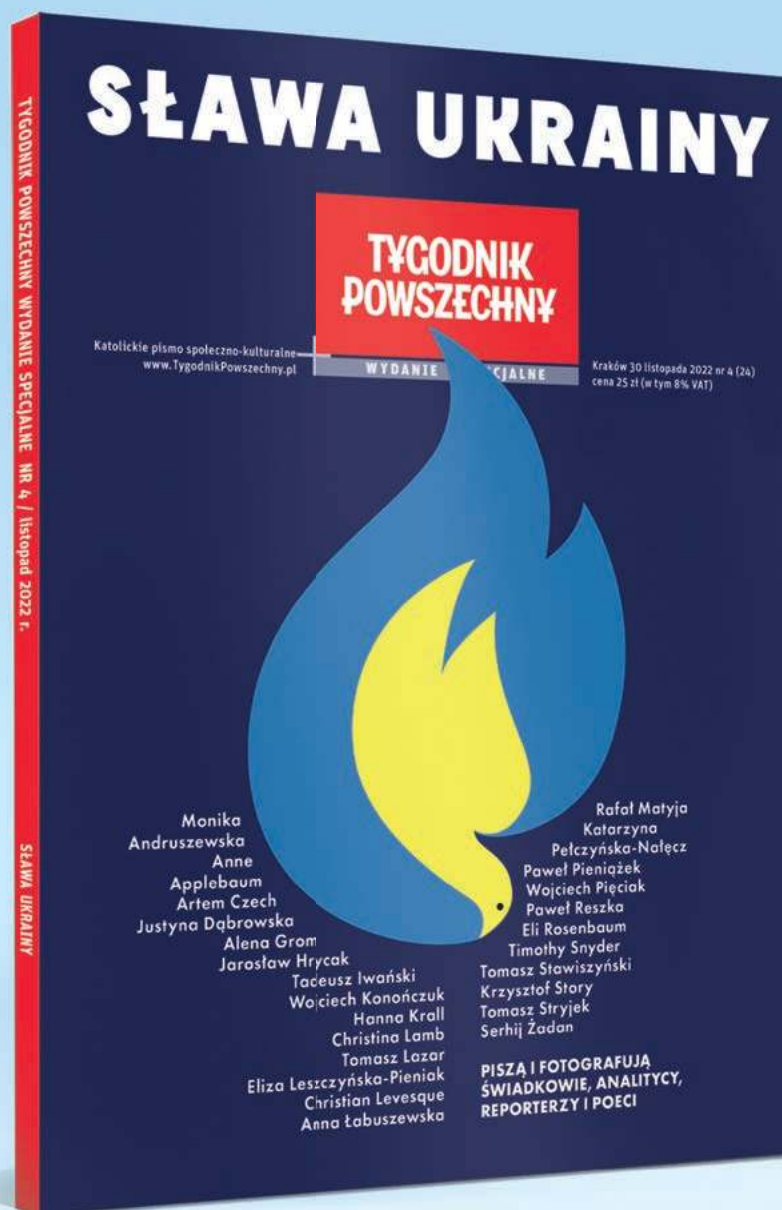
■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYM ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIEDZA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem © mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonych pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Historia walki, oporu, poświęcenia. Solidarności i pomocy.

To także nasza historia.



PREMIERA!

Wydanie specjalnie „Tygodnika Powszechnego” już w sprzedaży.

Szukaj w najlepszych punktach z prasą lub zamów
sвій egzemplarz na zamowienia@TygodnikPowszechny.pl

REKLAMA

WSPÓŁWYDANIE:



DOFINANSOWANIE:

Wydanie sfinansowano z Funduszu Stabilizacyjnego dla Kultury i Edukacji 2022
Federalnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Niemiec
i Goethe-Institut www.goethe.de.



Federal Foreign Office



MAŁGORZATA

Kordowicz: Izaak na polu



ABRAHAM Z IZAAKIEM WESZLI SPOŁEM NA górę Moria, i ich „razem” miało też wymiar symboliczny. Po niedoszłym ofiarowaniu syna „wrócił Abraham do pachotków swoich; i powstali, i poszli razem do Beer-Szeba” (Rdz 22, 19; Cylkow). Wy-

gląda więc na to, że ojciec i syn zeszli już osobno. Rodzina w totalnej rozsypce. Sara – na wieść o tym, co jej ślubny zafundował ich jedynemu dziecku – umarła w Hebronie, tam opłakiwał ją i pochował mąż. Gdzie był wówczas Izaak? Rozstaliśmy się z nim na górze, na której w pewnym sensie pozostał na zawsze. Odnajdujemy go znów tu: „A Ic’hak wracał właśnie z wycieczki do [alternatywnie: z pobytu u] studni Lachaj-Roi, gdyż mieszkał w ziemi południowej” (Rdz 24, 62), czyli na Negewie – w tej samej krainie geograficznej, gdzie umarła matka (Hebron) i gdzie zamieszkiwał teraz ojciec (Beer-Szeva). Nazwę Lachaj-Roi nadała swego czasu Hagar – czyżby to do niej Izaak udał się po pociechę? W każdym razie Abraham zrozumiał, że tylko kobieta jest w stanie wyprowadzić jego potomka z podwójnej traumy. Wysłał więc do miejsca zamieszkania swojej rodziny wiernego sługę, by sprowadził stamtąd żonę dla Izaaka. Karawana wioząca Rebeke była już blisko.

„I wyszedł Jicchak, aby rozważać [hebr. *lasuach*] w polu przed wieczorem i podniósł oczy swe i widział, że oto wielbłądy nadchodzą” – tak przetłumaczył Rdz 24, 63 około roku 1929 krakowski nauczyciel Salomon Spitzer. W tym werse mamy dylemat: co drugi z Praojców robił na polu? *Lasuach* to tzw. *hapax legomenon* – występuje w Biblii hebrajskiej tylko raz. Spitzer był orientalistą, naturalne więc było dla niego wyjście poza hebrajski na teren pokrewnych języków. Podobne słowo po arabsku oznacza „wyjść na dłużej, żeby pomedytować”. U św. Hieronima też czytamy, że Izaak wyszedł „*asad meditandum*”. Czyżby podobnym tropem biegła myśl Daniela Neufelda, który w swoim „Pięcioksięgu Mojżesza dla Żydów-Polaków” (1863) początek naszego wersetu oddał jako: „I wyszedł Jicchak na przechadzkę w polu nad schyłkiem wieczoru”?

W klasycznej „brytyjce” (z roku 1975) „wyszedł Izaak, aby się pomodlić pod wieczór na polu”. W aramejskich targumach *lasuach* jest przełożone jako „modlić się”. Tę wersję potwierdza też Talmud, łącząc ten wers z Ps 102, 1: „Modlitwa strapionego, gdy zwątpił, i przed Bogiem wylewa żal swój [hebr. *sicho*]” (Cylkow). Ze względu na regionalizm krakowski i toczące się wokół niego dyskusje starej i obecnej stolicy w kwestii, kto wychodzi „na pole”, a kto „na dwór”, zwróciłam też uwagę na Biblię warszawsko-praską, gdzie „wyszedł Izaak na dwór, żeby jeszcze coś zrobić na polu”. Badacze postawili też tezę, że *lasuach* wzięło się po prostu z błędu skryby. ©

O. WACŁAW

Oszajca: Jezus zamiast szczepionki



NA PUSTYNI JUDZKIEJ JAN CZCICIEL NAWOŁYWAŁ: „Nawracajcie się (...) wydajcie godny owoc nawrócenia. (...) Ja was chrzczę wodą dla nawrócenia (...) za mną idzie mocniejszy ode mnie. (...) On was chrzczyć będzie Duchem Świętym i ogniem”. Natomiast

w dosłownym przekładzie Jan Chrzciciel mówi tak: „Zmieniacie myślenie (...). Uczyńcie więc owoc godny zamiany myślenia. (...) Ja was zanurzam w wodzie ku zmianie myślenia. (...) On was zanurzy w Duchu Świętym i ogniu”. W „Komentarzu żydowskim do Nowego Testamentu” Jan Chrzciciel nazywa się Jochanan Zanurzyciel.

Mówimy, że Adwent to dobry czas na nawrócenie. Ale co to znaczy? Pamiętamy, nasza mowa nas zdradza, a nasze „usta mówią przeciw to, czym jest przepełnione serce” – słuchając siebie, łatwo dowiemy się, jacy jesteśmy. W Biblii serce myśli, pamięta, wspomina, napomina, knuje podstęp, kocha, nienawidzi, zazdrości, raduje się. W tak rozumianym sercu, czyli w sferze ducha, psychiki, rozgrywa się to wszystko, co w nas jest najpiękniejsze i najpotworniejsze. Można więc zaryzykować twierdzenie, że serce bez rozumu jest ślepe, a rozum bez serca to zbrodniarz. Za przykład weźmy covid. Tak mocno uwierzyliśmy, iż wierzymy w Boga, że aż rozminęliśmy się zarówno z rozumem, jak i z rzeczywistością. Słyszeliśmy przecież, że Ciało Jezusa nie zaraża, namaszczone ręce kapłana nie mogą przenosić zarazków, obostrzenia higieniczne to terror sanitarny i prześladowanie Kościoła, a najskuteczniejszym lekarstwem jest komunika. I aniśmy się spostrzegli, jak wyszliśmy z realnego świata i zaczęliśmy żyć w religijnej fantasmagorii.

Teraz mówimy, że epidemia wyludniła kościoły – to prawda, ale częściowa. W obawie przed tzw. zgorzeniem maluczkich zaparliśmy się rozumowi i nogi nam się rozjechały. Stoimy w rozkroku z mocnym przechyłem w kierunku magii i zabobonu. Co gorsza, dalej brniemy w tym kierunku. Dowód? Sposób przystępowania do Stołu Pańskiego. Na tzw. rękę czy do ust? Odpowiedź biskupów, wielu prezbiterów i świeckich: i tak, i tak, obie formy są ważne. Na nic to, bo bredzenia wszystkowiedzących o sprawach ludzkich i boskich unieważniały wiedzę, wiekowy dorobek rozumnego serca – tego, co nas czyni ludźmi. Rezultat: zamieniliśmy i nadal zamieniamy Jezusa na tabletkę. Godząc się na to, „ośmiesziliśmy Jezusa” i pomogliśmy chorobie w jej niszczycielskim dziele. W tym kontekście można wątpić, czy na wiele się zdały procesje, nabożeństwa, suplikacje. Zmarłym nic po naszym „przepraszam, bo ja myślałem, że...”.

„Jeśli Chrystus jest naszą nadzieją tylko w ziemskim życiu, to jesteśmy bardziej godni pożałowania niż wszyscy ludzie” – mówi Paweł Apostoł. Czyżby Duch Święty miał inne zdanie na ten temat? ©

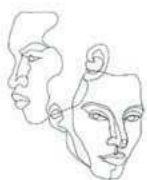
ABP GRZEGORZ

Ryś:

Najbogatsza wdowa

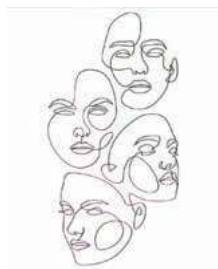
*Ja podnoszę ciebie,
ty podnosisz mnie
i wstajemy razem.*

JOHN GREENLEAF WHITTIER



*Lepiej niż być dobrym
wedle własnych wyobrażeń,
jest obcować z ludźmi,
którzy naprawdę są dobrzy.*

BAJAZID AL-BISTAMI



LITURGIA POPROWADZIŁA NAS W ostatnich tygodniach m.in. na spotkanie z „ubogą wdową” (zob. Łk 21, 1-4).

Wszyscy ją pamiętamy: wrzuciła do świątynnej skarbony dwa pieniążki (dwa lepty). W moim egzemplarzu Biblii na marginesie tego wydarzenia znajduje się odsyłacz do Drugiego Listu do Koryntian (8, 12): „A gotowość [do podzielenia się] uznaje się nie według tego, czego się nie ma, lecz według tego, co się ma”.

Pragnienie dawania ocenia się wedle tego, co ktoś ma, a nie wedle tego, czego nie ma. To jasne: nikt nie daje tego, czego nie posiada (tak mawiał ks. Franciszek Blachnicki). I szaleństwem byłoby tego od kogokolwiek wymagać. Miała dwa lepty – nie mogła wrzucić dziesięciu.

Na pozór dała mało. Jezus jednak widzi jej ofiarę w zupełnie innych kategoriach. Komentując jej czyn, mówi (dosłownie): „wrzuciła całe swoje życie, które posiadała” (Łk 21, 4). Właśnie tak: w greckim tekście Łukasza majątek wdowy jest określony słowem *bios* (*pánta tòn bion*), które najpierw i zwyczajnie oznacza „naturalne, fizyczne życie”, a potem do-

piero – w konsekwencji – „środki do życia”.

A więc: „wrzuciła całe swoje życie”. Tym się różniła od wszystkich pozostałych, którzy do skarbony wrzucali po prostu pieniądze – i to raczej zbywające...

Taka dopiero interpretacja wydobywa pełny sens ze stwierdzenia Blachnickiego: „nikt nie daje tego, czego nie posiada”. Każe nam ona bowiem zobaczyć tę wdowę nie tylko jako przykład ewangelicznej rady ubóstwa, ale także jako wzorzec ludzkiej wolności.

Dała siebie/swoje życie – gdyż posiadała siebie/swoje życie.

Ilu z nas może to o sobie powiedzieć?

Czy ja mogę to powiedzieć? Że posiadam siebie? Że trzymam swoje życie we własnych rękach? Nie że ono mi się „dzieje”? Że mam nad nim kontrolę – ja, i nikt inny/nic innego?

Niesłuchanie bogata była ta wdowa – być może najbogatsza ze wszystkich w świątyni: miała siebie! Była bogata wolnością. Trudno jej nie zazdrościć.

Być może o tym właśnie myślał papież Franciszek, kiedy w orędziu na ostatni Światowy Dzień Ubogich pisał o ubóstwie, które wyzwala. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (4 – 11 XII)

2. niedziela Adwentu: Iz 11, 1-10; Ps 72;

Rz 15, 4-9; Mt 3, 1-12;

Poniedziałek: Iz 35, 1-10;

Ps 85; Łk 5, 17-26;

Wtorek: Iz 40, 1-11; Ps 96;

Mt 18, 12-14;

Środa: Iz 40, 25-31; Ps 103;

Mt 11, 28-30;

Czwartek, uroczystość Niepokalanego

Poczęcia Najświętszej Maryi Panny:

Rdz 3, 9-15; Ps 98; Ef 1, 3-6. 11-12; Łk 1, 26-38;

Piątek: Iz 48, 17-19; Ps 1; Mt 11, 16-19;

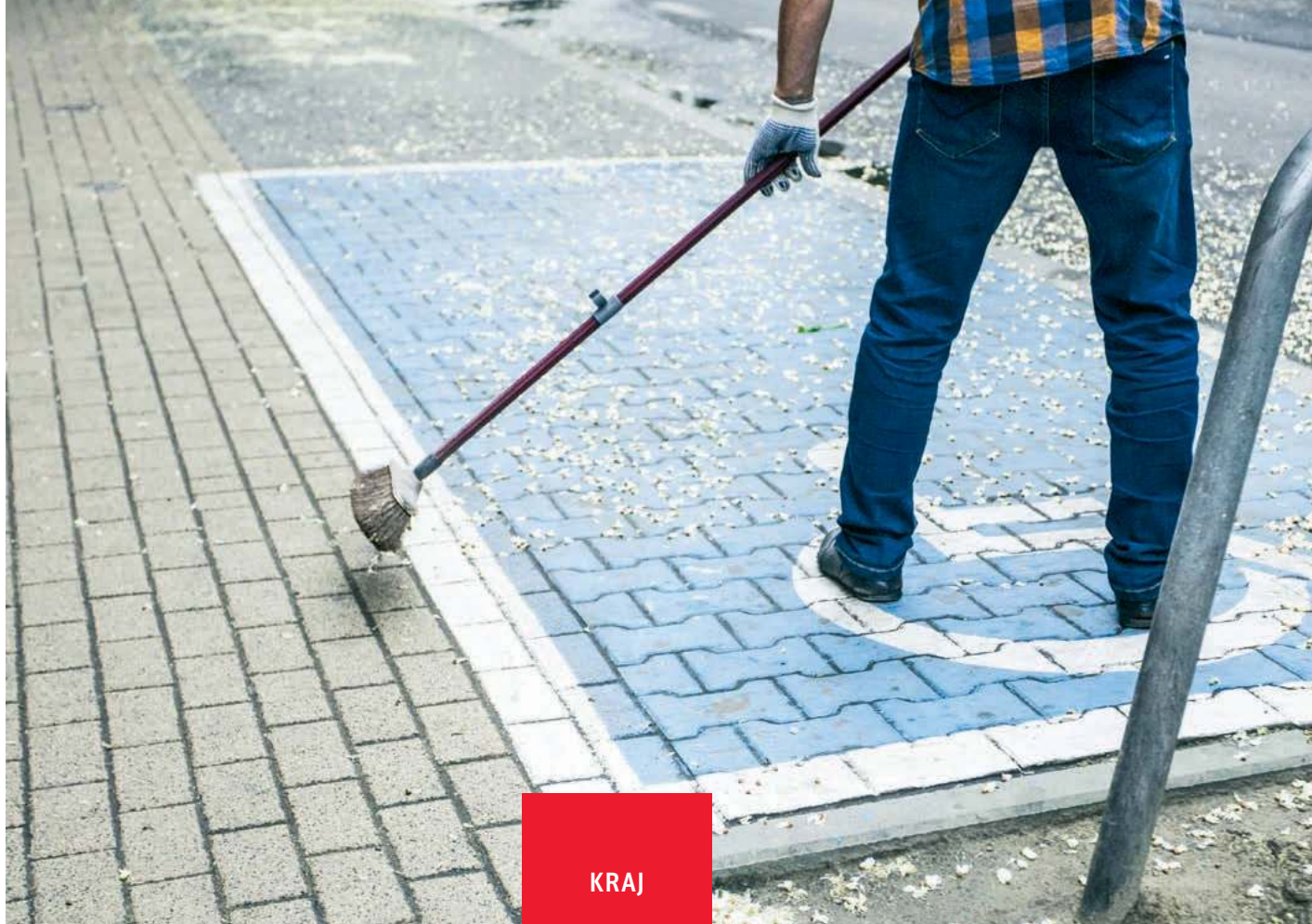
Sobota: Syr 48, 1-4. 9-11;

Ps 80; Mt 17, 10-13;

3. niedziela Adwentu: Iz 35, 1-6a. 10;

Ps 146; Jk 5, 7-10; Mt 11, 2-11.

Wybrał PIOTR SIKORA



KRAJ

SPRAWNEGO Z ORZECZENIEM SZUKAM

Do wyludzenia dofinansowań z Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych przyzwyczailiśmy się dawno. Teraz normą stało się zatrudnianie ich z pozoru legalnie, ale na granicy absurdu i wyzysku.

ANNA GOLUS

STANOWISKO: PRACOWNIK OCHRONY FI-
zycznej. Zakres obowiązków: ochro-
na zakładu. Zmianowość: dwie zmiany.
Liczba godzin pracy w tygodniu: 40. Wy-
nagrodzenie brutto: od 3 010 PLN. Wy-
magania: wykształcenie zasadnicze za-
wodowe, orzeczenie o umiarkowanym
lub znacznym stopniu niepełnospraw-
ności, sprawność fizyczna i umysłowa”.
To treść opublikowanej przez Powiato-

wy Urząd Pracy w Inowrocławiu oferty
w jednej z ponad pięćdziesięciu spółek
Grupy Impel. Czyli trzeba być niepełno-
sprawnym, ale sprawnym.

Warunki pracy chronionej

Impel to nie jedyna firma ochroniarska,
która zatrudnia pracowników ochrony
z umiarkowanym i znacznym stop-
niem niepełnosprawności, czyli – zgod-

nie z przepisami – osoby „niezdolne do
pracy albo zdolne do pracy jedynie w wa-
runkach pracy chronionej” i wymagające
pomocy innych.

– Przyjmujemy tylko kandydatów
z orzeczeniami, najchętniej o stopniu
znacznym – mówi Adam, pracownik in-
nej dużej firmy ochroniarskiej, który sam
porusza się na wózku i ma znaczny sto-
pień niepełnosprawności. – W naszym od-



DAWID TATKIEWICZ / EAST NEWS

Poznań, maj 2018 r.

dziale pracują ludzie niedowidzący, niedo-
słyszający, z różnymi problemami psychicz-
nymi i dysfunkcjami fizycznymi. Nie ma
wprawdzie oficjalnie ochroniarzy na wóz-
kach, ale nie raz zdarzało się, że musiałem
zastępować pracowników ochrony i za-
miast siedmiu godzin w biurze pracować
kilkanaście w ochronie obiektów. Mój re-
kord to praca od szóstej rano do trzeciej
nad ranem, a następnego dnia od ósmej
w biurze.

Adam zgodnie z przepisami nie może
pracować nocą i w godzinach nadliczbo-
wych, a także dłużej niż 7 godzin dzien-
nie i 35 tygodniowo. Tych przepisów nie
stosuje się jednak do osób z niepełno-
sprawnością (OzN) „zatrudnionych przy
pilnowaniu”. One mogą pracować w sys-
temie zmianowym, 12- lub nawet 24-go-
dzinny.

– Warunki były tragiczne – opowiada
Maria, która po wypadku ma problemy
m.in. z chodzeniem i znaczny stopień
niepełnosprawności. – W budce stra-
znika nie było ogrzewania, dopiero na
moją prośbę kierownik przyniósł farelkę.

Zresztą i tak mogłam tam przysiąc tylko
na chwilę, bo moja praca polegała na cią-
głym patrolowaniu budowy. Prawie cały
czas spędzałam na zewnątrz, bez względu
na pogodę. Musiałam też robić obchody
nowo wybudowanego ośmiopiętrowego
budynku: wjeżdżać windą na ostatnie
piętro i schodzić w dół po schodach. Do
tego różne prace sprzątające.

– Ja się nie przemęczałam, bo miałam
zmiany tylko w dzień po osiem godzin
i choć moje stanowisko nazywało się
„pracownik ochrony fizycznej”, praco-
wałam raczej jako portierka w stróżówce
– mówi Sylwia, niepełnosprawna w stop-
niu umiarkowanym z powodu choroby
serca. – Tylko że ta stróżówka znajdo-
wała się w oszklonym wiatrołapie, gdzie
zimą było za zimno, latem za gorąco i bez
przerwy były przeciągi. Nabawiłam się
od tego zapalenia stawów, ale w innych
miejscach chronionych przez tę firmę jest
jeszcze gorzej: pracownicy muszą spędzać
całe doby w blaszanych budach bez ogrze-
wania, wody i toalety.

Cenni pracownicy

Adam, Maria i Sylwia pracują lub pra-
cowali w trzech różnych firmach
ochroniarskich. Każda z nich pobiera
z PFRON-u dofinansowania do wynagro-
dzeń OzN: 1950 zł do pensji pracownika
z orzeczeniem o znacznym stopniu nie-
pełnosprawności, 1200 zł – umiarkowa-
nym i 450 zł – lekkim. Te kwoty zwięk-
szają się, jeśli u kogoś orzeczono chorobę
psychiczną, upośledzenie umysłowe, ca-
łościowe zaburzenia rozwojowe lub epi-
lepsję oraz w przypadku osób niewido-
mych. Tzw. orzeczenie specjalne daje
pracodawcy dodatkowe 1200 zł w przy-
padku osób ze stopniem znacznym,
900 zł – umiarkowanym i 600 zł – lekkim.

Prawo nie określa, na co pracodawca
ma przeznaczać te pieniądze, ale najczę-
ściej są one rekompensatą za skrócony
czas pracy i mniejszą wydajność pracow-
nika. Tyle że czas pracy OzN w ochronie
nie jest skrócony i oczekuje się od nich ta-
kiej samej wydajności jak od sprawnych.
Pracownikom z orzeczeniem o znacznym
i umiarkowanym stopniu przysługuje
wprawdzie 10 dodatkowych dni urlopu
w roku i do 21 dni wolnych na badania,
zabiegi i rehabilitację, ale z realizacją tych
uprawnień bywa różnie.

Np. Maria, ubiegając się o pracę, usły-
szała, że najpierw musi zarejestrować się
jako bezrobotna, by firma mogła korzy-

stać z dofinansowań. A pracujący w biurze
Adam wylicza: – Nie mamy komputera
firmowego, pracuję na własnym laptopie.
Nie mamy czajnika, herbaty ani papieru
toaletowego. Mamy drukarkę, więc mo-
żemy drukować liczne dokumenty, które
pracownicy podpisują *in blanco*. A pod
groźbą podpisują wszystko: puste wnioski
urlopowe, grafiki, wypowiedzenia. Ja też,
np. kolejne umowy o pracę na czas okre-
ślony. Pracuję na tym samym stanowi-
sku od lat, już dawno powinienem mieć
umowę na czas nieokreślony, ale firma
co jakiś czas podsuwa mi umowę z inną
spółką i znów jestem „nowym” pracow-
nikiem. Nigdy nie otrzymałem wynagro-
dzenia za nadgodziny, od roku nie byłem
na urlopie, zarzynam się za najniższą kra-
jową. A mój pracodawca dostaje na mnie
z PFRON-u najwyższe dofinansowanie.

Wystarczy zapłacić

„Branża ochrony to jest sterylny kapita-
lizm: zysk realizowany wszelkimi do-
stępными środkami” – mówił cztery lata
temu Krzysztof Witulski, wieloletni re-
daktor naczelny magazynu „Ochroniarz”,
w wywiadzie dla „Dziennika Polskiego”.
Ubolewał, że najbardziej poszukiwani są
w branży pracownicy ze znacznym stop-
niem niepełnosprawności i orzeczeniami
specjalnymi – i to nie tylko na stanowiska
ochroniarzy niekwalifikowanych, któ-
rzy w praktyce są często portierami, ale
też kwalifikowanych, pracujących z bro-
nią. Krytykował wprowadzone w 2014 r.
zmiany w sposobie nadawania uprawn-
nień kwalifikowanych, do których uzy-
skania kiedyś potrzebna była licencja i eg-
zamin. „Dzisiaj zamiast egzaminów ze-
wnętrznych na policji mamy wewnętrzne
w ośrodku szkoleniowym. Czyli w prak-
tyce wystarczy zapłacić, żeby zdać”.

Aby zostać wpisanym na odpowiednią
listę, trzeba jeszcze przejść badania lekar-
skie i psychologiczne. I tu również zaszyły
zmiany ułatwiające zdobycie uprawnień.

– Wcześniej trzeba było przejść także
specjalistyczne badania okulistyczne,
otolaryngologiczne, psychiatryczne
i neurologiczne – wyjaśnia dr n. med. Da-
riusz Krasnicki, lekarz medycyny pracy.
– Te badania mogły się odbywać wyłącz-
nie w uprawnionych jednostkach, a dzi-
siaj można je wykonać w każdej prywat-
nej. Poza tym osoba ubiegająca się o wpis
na listę kwalifikowanych pracowników
ochrony fizycznej nie musi już być ba-
dana przez laryngologa ani neurologa. ➔

→ Przepisy regulują wyłącznie normy wzroku i psychiatryczne, o całej reszcie decyduje lekarz. Według mnie znaczny stopień niepełnosprawności bez względu na przyczynę oraz upośledzenie umysłowe i choroby psychiczne wykluczają możliwość uzyskania uprawnień. Lekki i umiarkowany stopień z przyczyn innych niż psychiczne i umysłowe to natomiast sprawa indywidualna.

Jeśli lekarz stwierdzi, że osoba badana nie posiada zdolności fizycznej i psychicznej do wykonywania zadań kwalifikowanego pracownika ochrony, przesyła orzeczenie o braku zdolności do komendanta wojewódzkiego policji i taka osoba może się wprawdzie od tego orzeczenia odwołać, ale nie może go zataić. Inaczej jest w przypadku badań ochroniarzy niekwalifikowanych.

– Zdarza się, że niepełnosprawni kandydaci do pracy u nas nie otrzymują zgody od lekarza medycyny pracy – mówi Adam. – Wtedy radzimy im, by poszli do konkretnego lekarza, który z nami współpracuje, i on da im zgodę na 150 procent.

– Nie współpracuję z takimi firmami, ale kiedyś przeprowadzałem badania uczestników kursu na kwalifikowanych pracowników ochrony – mówi Krasnicki. – Uczestnikami były OzN pracujące jako niekwalifikowani ochroniarze. Choć niektóre z nich nie spełniały np. norm wzrokowych, były naciski, by być „elastycznym”. Zapewniano, że te osoby po kursie nadal będą pracować jako „stróże” bez broni, a starają się o uprawnienia, bo firma, w której pracują, potrzebuje więcej wykwalifikowanych pracowników, by stawać do przetargów.

Traktują nas jak śmieci

Firmy ochroniarskie zatrudniające OzN biorą udział w przetargach na ochronę instytucji publicznych i z reguły te przetargi wygrywają. Dzięki dofinansowaniom mogą oferować najniższe ceny – firmy, które nie zatrudniają niepełnosprawnych, nie tylko nie mają szans, ale też finansują własną konkurencję, bo pieniądze PFRON-u pochodzą głównie z obowiązkowych wpłat od przedsiębiorstw, które nie osiągają wymaganego wskaźnika zatrudnienia OzN.

Ta sama sytuacja ma miejsce w branży sprzątania, również zdominowanej przez firmy zatrudniające OzN. Firmy ochroniarskie i sprzątające to zresztą od lat najwięksi beneficjenci dofinansowań do wy-

Zdarza się, że niepełnosprawni kandydaci nie otrzymują zgody na pracę.

Wiele firm ma na to radę.

Kierują ich do „swoich” lekarzy, którzy wypisują zaświadczenia od ręki.

nagrodzeń z Funduszu. Jak podawała fundacja WatchDogPfron, w 2015 r. wśród 100 firm, które otrzymały najwięcej pieniędzy na ten cel, aż 84 stanowiły spółki z tych dwóch branż.

W 2021 r. budżet PFRON-u wynosił ok. 6 mld zł, z czego ponad 3,3 mld zł przeznaczono na dofinansowania do wynagrodzeń. Firmy z sektora ochrony otrzymały ponad 1 mld zł, z sektora sprzątnia – ponad 430 mln zł, a wszystkie pozostałe – nieco ponad 1,8 mld. Tych pierwszych przedsiębiorstw było ledwie 819, tych drugich – 1124, a pozostałych aż 37 773. PFRON dofinansował wynagrodzenia 278 408 osób z niepełnosprawnością, w tym 83 762 pracujących w firmach ochroniarskich i 40 236 – w firmach sprzątających.

Instytucje publiczne i prywatne przedsiębiorstwa, które korzystają z usług tych firm, mogą mieć więc niemal darmową ochronę i sprzątnięcie, bo oszczędzają nie tylko dzięki niskiej cenie tych usług; korzystanie z usług zewnętrznych firm zatrudniających odpowiednio wielu niepełnosprawnych daje bowiem przedsiębiorstwu, które nie osiąga wymaganego wskaźnika zatrudnienia OzN, możliwość zmniejszenia wpłat na PFRON o połowę. Osoby niepełnosprawne natomiast pracują za najniższą krajową, bez żadnej taryfy ulgowej. A jest to w przypadku sprzątnia praca bardzo obciążająca np. kręgosłup.

– Każdego dnia mam do posprzątnia dwadzieścia osiem pomieszczeń biurowych i sześć łazienek – mówi Sylwia, która sprząta w biurowcu państwowej spółki. – Powinnam to zrobić w pięć i pół godziny, ale to niemożliwe nawet dla zdrowego, więc codziennie zostaję tak długo, aż skończę, choć firma nie płaci mi za nadgodziny. To wyzysk. Jakby tego było mało, ludzie pracujący w tym biurowcu często traktują nas jak śmieci.

Tania siła robocza

Państwowa Inspekcja Pracy każdego roku przeprowadza kontrole firm zatrudniających OzN. W 2021 r. nieprawidłowości stwierdzono podczas 76 proc. kontroli zakładów pracy chronionej, 96 proc. kontroli zakładów aktywności zawodowej i 71 proc. kontroli zakładów otwartego rynku pracy. W tych ostatnich najczęściej stwierdzano uchybienia w prawnej ochronie pracy (np. dobowej i tygodniowej normy czasu czy dodatkowego urlopu). Takie nieprawidłowości PIP stwierdza co roku i od lat apeluje o zapewnienie niepełnosprawnym pracownikom realnej ochrony ich zdrowia, np. przez zmianę przepisów, by OzN zatrudnione „przy pilnowaniu” mogły korzystać ze skróconych norm czasu pracy, obowiązujących wszędzie poza ochroną.

Na nieprawidłowości zwraca uwagę również Najwyższa Izba Kontroli: „NIK jest zaniepokojona faktem, że część pracodawców traktuje osoby niepełnosprawne jak tanią siłę roboczą: zatrudniają je na czas uzyskiwania z tego tytułu refundacji i finansowań i zwalniają (...), po czym pozyskują do pracy kolejne osoby skierowane przez urząd”.

Kuriozalny przykład. Przetarg na sprzątnięcie oddziału PIP (!) w Ostrowie Wielkopolskim wygrała ostatnio firma, która zaoferowała 29 520 zł za wykonywanie tej usługi przez cały rok. Z opisu przedmiotu zamówienia można się dowiedzieć, że powierzchnia objęta usługą sprzątnięcia to 462,35 m², w tym pomieszczenia biurowe, pięć łazienek, pomieszczenia techniczne, dwie kuchnie, sala konferencyjna i korytarz. Cała ta przestrzeń ma być sprzątnięta od poniedziałku do piątku w godzinach od 12 do 15, co jest niewykonalne dla jednej osoby, a na zatrudnienie drugiej nie starczy przecież pieniędzy. Wykonawca ma bowiem zapewnić własne przyrządy do sprzątnięcia, środki czystości i artykuły higieniczne (mydła w płynie, papier toaletowy i ręczniki papierowe). A to wszystko za 2460 zł brutto miesięcznie. Inne firmy, które wzięły udział w tym przetargu, oferowały swoje usługi w cenach od 44 427,60 zł do 77 932,80 zł za rok.

Schorzenia szczególnie cenne

– Próbowaliśmy uświadamiać pracodawcom, że niepełnosprawni nadają się nie tylko do prostych prac fizycznych i że opłaca się ich zatrudniać – mówi Ewa, pracownica



ANNA KACZMARZ / DZIENNIK POLSKI / POLSKA PRESS / EAST NEWS

*Sprawa Marcina Dubienieckiego (w środku) o wyłudzenia z PFRON-u.
Sąd Okręgowy w Krakowie, 21 listopada 2018 r.*

jednej z agencji pośrednictwa pracy dla OzN. – Oczywiście żadna praca nie hańbi, ale nie powinno być tak, że dofinansowania wynagrodzeń z PFRON-u płyną głównie do firm ochroniarskich i sprzątających. Wykształcone osoby z niepełnosprawnościami nie mogą znaleźć innej pracy, bo brakuje ofert.

Ewa i jej agencja zachęcają pracodawców, którzy muszą dokonywać wpłat na PFRON (czyli zatrudniających co najmniej 25 osób i nieosiągających 6-procentowego wskaźnika zatrudnienia OzN), do zatrudniania takich osób w celu zmniejszenia lub wyzerowania opłat. Osiągnięcie wskaźnika można znacznie przyspieszyć – zatrudniając niepełnosprawnych z tzw. schorzeniami szczególnymi. Zgodnie z dość absurdalnymi przepisami osoba, u której zdiagnozowano jedno ze „schorzeń szczególnie utrudniających wykonywanie pracy”, liczy się bowiem jak cztery osoby, jeśli ma znaczny stopień niepełnosprawności, lub jak trzy osoby, jeśli ma stopień umiarkowany.

Tych schorzeń jest kilkanaście: choroba Parkinsona, stwardnienie rozsiane, paraplegia, tetraplegia, hemiplegia, ślepotę i niedowidzenie, głuchota i głuchoniemota, nosicielstwo wirusa HIV i choroba AIDS, epilepsja, przewlekłe choroby psychiczne, upośledzenie umysłowe, miastenia i późne powikłania cukrzycy. Osoby z takimi diagnozami są szczególnie poszukiwane przez agencje pośrednictwa pracy świadczące usługi „optymalizacji PFRON”.

– Jestem w bazie kilku agencji i nie mogę znaleźć pracy, bo nie mam orzeczenia specjalnego ani zaświadczenia o schorzeniu szczególnym – mówi Lena. – Z jednej z tych agencji wielokrotnie dzwonię do mnie i namawiano, żebym załatwiła sobie zaświadczenie o schorzeniu szczególnym. Mówili wprost, żebym poszła do innego lekarza w moim mieście albo poszukała jakiegoś specjalisty przyjmującego zdalnie, ale ja nie chcę tego robić, bo to nic nie daje mnie, tylko im.

– Lekarz może wypisać zaświadczenie o schorzeniu szczególnym nie tylko w przypadku tych kilkunastu chorób – przekonuje jednak Ewa. – Nie ma tam np. mowy o diagnozie dziecięcego porażenia mózgowego, a można je podciągnąć pod schorzenie szczególnie. Zachęcamy OzN, które się do nas zgłaszają, do starania się o takie zaświadczenia, bo to pomaga w znalezieniu pracy. Nie można się też dziwić pracodawcom, że mając do wyboru podobnie wykwalifikowane osoby ze schorzeniem i bez, wybiorą te pierwsze.

Obecnie zatrudnienie jednej osoby ze znacznym stopniem i schorzeniem szczególnym zmniejsza wpłatę na PFRON (uzależnioną od przeciętnego wynagrodzenia) o ponad 10 tys. zł miesięcznie. Jeśli pracownik otrzymuje wypłatę niższą od tej kwoty, firma oszczędza, nawet jeśli nie świadczy on żadnej pracy.

– Dotychczas firmy, które się do nas zgłaszały, szukały rzeczywistych pracowników, nie „słupów” – mówi Ewa. – Czasem chciały zatrudniać osoby ze schorze-

niami szczególnymi, by na zasadzie benefitów świadczyły dla innych pracowników rozmaite usługi (np. porady prawne czy psychologiczne). Nie chodziło o fikcyjne etaty, nawet jeśli zatrudnione OzN pozostawały jedynie w stanie gotowości do pracy, bo inni pracownicy nie byli zainteresowani ich usługami. Problem zatrudniania „słupów” ze schorzeniami szczególnymi jest jednak realny. Zdarza się, że osoby z takim schorzeniem i stopniem znacznym bywają zatrudnione jednocześnie w kilku firmach.

Waga czynów

Nie wiadomo, ile pieniędzy w wyniku takich działań omija kasę PFRON-u, ani ile wpływa z niej na dofinansowanie fikcyjnych etatów. Zatrudnianie „słupów” zdarza się bowiem również w firmach pobierających dofinansowania do wynagrodzeń OzN. W takich przypadkach jednak, aby firmie się to opłacało, pracownik musi oddawać jej część swojej wypłaty. NIK podczas kontroli dofinansowań wynagrodzeń z PFRON-u zapytała OzN o propozycje zatrudnienia ich lub przedłużenia dotychczasowego zatrudnienia pod warunkiem przekazywania pracodawcy części pensji. 21,8 proc. miało takie doświadczenia.

O wyłudzenie w ten sposób z Funduszu 14,5 mln zł oskarżono w 2015 r. Marcina Dubienieckiego, byłego męża Marty Kaczyńskiej. Jego proces rozpoczął się w 2018 r. i trwa nadal. Ostatnio zarzuty wyłudzenia w latach 2010-2019 z PFRON-u i ZUS-u 32 mln zł usłyszeli były senator PO Tomasz Misiak i prezydent Konfederacji Lewiatan Maciej Witucki, zasiadający wówczas we władzach spółki Work Service. 14 listopada Sąd Okręgowy we Wrocławiu nie zgodził się na ich aresztowanie, ale zastosował po 200 tys. zł kaucji, dozór policji i zakaz opuszczania kraju.

Patrząc na dane PFRON-u i słuchając niepełnosprawnych pracowników, trudno pozbyć się obawy, że zatrudnianie ich zgodnie z prawem bywa problemem większym niż wyłudzenia. Ponad miliard złotych przelany w ciągu roku na konta firm, w których OzN zamiast 7 godzin dziennie mogą całkiem legalnie pracować po 24 godziny na dobę, każe się zastanawiać, komu służy to prawo.

© ANNA GOLUS

Imiona osób z niepełnosprawnościami zostały zmienione.

Mieszkanie luksusem

PIOTR WÓJCIK

Średnio zarabiający Polak może dziś kupić na kredyt ledwie 30-metrowe mieszkanie. Oznacza to, że wzrośnie i tak już zatrważający odsetek młodych ludzi mieszkających z rodzicami. Urodzi się też mniej dzieci.



RYNEK MIESZKANIOWY SIĘ ZAŁAMAŁ. Uzyskanie kredytu hipotecznego stało się wyczynem, więc deweloperzy ograniczają inwestycje. W niedługej przyszłości budowlanka nie będzie miała zleceń, a sprzedawcy mebli popytu na swoje towary. Fatalna koniunktura w mieszkalnictwie może pogłębić trwające już spowolnienie gospodarcze. Przede wszystkim jednak obecna sytuacja oznacza niemożność zdobycia własnego kąta przez tysiące młodych Polek i Polaków. A to będzie miało znacznie dalej idące skutki.

Już tylko 30 metrów

Bezpośrednią przyczyną kryzysu na rynku mieszkaniowym jest zaostrenie polityki pieniężnej w celu walki z inflacją. Rada Polityki Pieniężnej rozpoczęła ostrą serię podwyżek stóp w październiku zeszłego roku i w ciągu ledwie trzech miesięcy podniosła stopę referencyjną z 0,1 proc. do 1,75 proc. Istotnie ograniczyło to możliwości wzięcia kredytu hipotecznego.

– W badaniu przygotowanym na tegoroczne Forum Ekonomiczne w Karpaczu wspólnie z kolegami z SGH ocenialiśmy tzw. dostępność kredytową mieszkań w Europie Środkowo-Wschodniej. Dostępność kredytowa to wskaźnik pokazujący, ile metrów kwadratowych mieszkania w średniej cenie może na być na kredyt osoba dysponująca przeciętnym dochodem – wyjaśnia dr Adam

Czerniak, kierownik Zakładu Ekonomii Instytucjonalnej i Politycznej w Szkole Głównej Handlowej. – Na koniec 2021 r. dostępność kredytowa w Polsce była najniższa w regionie i wynosiła 60 m kw. Średnia dla regionu wynosiła około 90 metrów, a w niektórych krajach przekraczała sto.

Tak niska dostępność nie była efektem wyłącznie pierwszych podwyżek stóp. Wtedy był to również skutek wysokich cen, które w ostatnich latach rosły szybciej od płac. W tym roku RPP kontynuowała jednak zaostrenie polityki pieniężnej, co przekładało się na dalszą destrukcję zdolności kredytowej w Polsce. Jest to efekt zaplanowany, mający ograniczyć ilość pieniądza na rynku w celu obniżenia inflacji. Jak na razie RPP zatrzymała się ze stopą referencyjną na poziomie 6,75 proc., do którego doszła we wrześniu. W październiku i listopadzie Rada postanowiła jednak nie podwyższać stóp, co doprowadziło do głośnego sporu w jej szeregach. Opozycja wobec Adama Glapińskiego – m.in. prof. Joanna Tyrowicz i Ludwik Kotecki – domaga się kontynuacji podwyżek, gdyż inflacja nie zwalnia.

Równie duży wpływ na spadek zdolności kredytowej w Polsce miały działania Komisji Nadzoru Finansowego, która w marcu tego roku zastrzymała swoją rekomendację. W wyniku tych zmian banki podczas określania zdolności kredytowej klienta powinny zakładać

wzrost stóp aż o 5 pkt. proc. w stosunku do aktualnego poziomu. KNF chciała w ten sposób uniknąć ryzyka pojawienia się fali niespłaconych kredytów, co samo w sobie jest chwalebne. Pytanie tylko, czy przy okazji nie wylała dziecka z kąpielą.

– Nie mamy jeszcze dokładnych danych, jednak szacując na podstawie dynamiki płac, obecnie osoba dysponująca przeciętnym dochodem może otrzymać kredyt na mieszkanie o około połowę mniejsze niż rok temu. Czyli tylko 30-metrowe – mówi dr Czerniak.

Mowa jest tu jednak o dostępności kredytowej na poziomie całego kraju. Tymczasem ceny w poszczególnych rejonach Polski znacznie się różnią. – Średnia dużo pokazuje, ale równocześnie sporo zaciemnia – wyjaśnia ekonomista. – Przykładowo w Warszawie ceny mieszkań są wyższe niż w całym kraju i znacznie przekraczają 10 tys. zł za metr. By kupić na kredyt analogiczne lokum w stolicy, dochód musi być już znacznie wyższy niż średnia krajowa.

Bardzo ważna jest też liczba osób w gospodarstwie domowym. Bezdzielne pary, w których oboje partnerów pracuje, wciąż są w relatywnie niezłej sytuacji. Niestety, posiadanie dzieci w Polsce bardzo ogranicza możliwość nabywania mieszkań, gdyż dochód do dyspozycji jest dzielony na więcej osób. – Jeżeli para zarabia łącznie 12-13 tys. zł brutto, to na przeciętne 60-metrowe mieszkanie



ADAM CHEŁSTOWSKI / FORUM

Plac budowy na alei Solidarności w Warszawie, 24 listopada 2022 r.

– Lokal nieprzeludniony powinien zawierać co najmniej jedno pomieszczenie wspólne, jedno pomieszczenie na parę dorosłą i po jednej izbie na każde kolejne dziecko różnej płci starsze niż 12 lat – wyjaśnia ekonomista.

Wskaźnik ten dla całej UE wynosi 15 proc., jednak w wielu państwach jest ledwie jednocyfrowy – m.in. we Francji, Hiszpanii, Niemczech, Irlandii, ale też na Cyprze i na Malcie. Gorzej niż w Polsce jest tylko w Rumunii, Bułgarii i Łotwie. Ale i to miejsce nie jest pewne, gdyż według danych Biura Informacji Kredytowej wartość przeciętnego kredytu spada, co przy wciąż rosnących cenach oznacza, że Polacy decydują się na zakup mniejszej powierzchni.

Kredyt hipoteczny teoretycznie nie jest jedynym sposobem zdobycia własnego kąta. Alternatywą może być najem. Problem w tym, że wysokość czynszów rośnie obecnie szybciej niż ceny mieszkań. Właściciele, którzy kupili lokale na kredyt, podnoszą stawki, by sfinansować rosnące raty. Często robią to z nadzieją, że przy okazji więcej zarobić, czemu sprzyja rosnący popyt na rynku – mieszkań na wynajem szukają przecież nie tylko Polacy, których bank odprawił z kwitkiem, ale też uchodźcy z Ukrainy. Według analizy Expandera we wrześniu w 17 największych miastach w Polsce czynsze wzrosły – w porównaniu z wrześniem 2021 r. – o 28 proc. W Krakowie niemal o połowę.

– Pomimo wzrostu czynszów najem wciąż jest bardziej atrakcyjny finansowo od kupna mieszkania, gdyż czynsze są niższe od rat kredytów – wyjaśnia dr Czerniak. – Jednak w dużych miastach jest ogromny problem ze znalezieniem nieruchomości na wynajem, a jeśli jakieś są, to w wysokich cenach. Poza tym pamiętajmy, że nie tylko czynsze poszły do góry o kilkadziesiąt procent w ciągu roku, ale też pozostałe koszty, które musimy ponosić: mediów i prądu. W tym momencie możliwości wyprowadzki od rodziców są dla młodych ludzi bardzo ograniczone.

Tymczasem w Polsce na opuszczenie rodzinnego domu czekają zastępy młodych. Dwie trzecie Polek i Polaków w wieku 18-34 lata wciąż mieszka z ro-

dzicami, przez co nie prowadzi prawdziwie dorosłego życia. Dla porównania: w Niemczech młodych dorosłych czekających wciąż na usamodzielnienie jest ledwie 30 proc.

– Będzie to miało szereg implikacji. Chęć posiadania dzieci w dużej mierze zależy od stabilnej sytuacji mieszkaniowej. Ludzie mieszkający kątem u rodziców albo wynajmujący zbyt drogie dla nich mieszkanie, z którego mogą zostać wyrzuceni, bo ktoś inny da lepszą cenę, zwykle nie decydują się na dziecko – uważa ekonomista. – Zmniejszy się też mobilność ludzi, którzy są przywiązani do obecnie użytkowanej nieruchomości. Dużo trudniej będzie im przeprowadzić się do innego miasta za pracę. Fatalnie wpłynie to także na równość szans w Polsce. Wyjazd na studia do dużego ośrodka stał się znacznie bardziej kosztowny. Rodziny biedniejsze zamieszkujące małe miejscowości po prostu nie są w stanie sfinansować edukacji dziecka w wielkim mieście. Ten spadek dostępności do edukacji będzie się odbijał w dłuższym okresie na możliwościach awansu społecznego. Przecież żeby przesunąć się wyżej na drabinie dochodowej, trzeba najpierw zapewnić sobie odpowiednie wykształcenie.

Czy ceny spadną?

Według Biura Informacji Kredytowej w październiku 2022 r. wartość oraz liczba udzielonych kredytów mieszkaniowych spadły o niemal trzy czwarte w stosunku do roku poprzedniego. Banki udzieliły zaledwie 6,7 tys. kredytów hipotecznych, co jest najgorszym wynikiem od 2010 r., gdy trwał poprzedni kryzys, który dotknął w szczególności kraje południa strefy euro. Warto dodać, że rozpoczął się on właśnie na rynku kredytów hipotecznych, tyle że w Stanach Zjednoczonych.

Jedną z konsekwencji paraliżu na rynku kredytów może być spadek cen mieszkań, co akurat byłoby pozytywne. Deweloperzy będą mieli przecież do sprzedania liczne, ukończone właśnie lokale, budowane jeszcze podczas hossy (według GUS od stycznia do października oddali oni do użytku o 2 proc. więcej mieszkań niż w rekordowym 2021 r.). Poza tym część inwestorów, którzy kupili mieszkania licząc na zysk, będzie chciała je upłynnić, by uniknąć kryzysowego spadku cen. Te obniżki nie będą jednak

w Polsce teoretycznie powinno wciąż ją być stać. Jeśli jednak ta para lub małżeństwo ma dzieci, to jej zdolność kredytowa wyliczana przez bank automatycznie się kurczy – twierdzi Adam Czerniak.

– O ile jeszcze w 2016 r. rodzina z dwójką dzieci i dochodem netto na poziomie 8 tys. zł mogła liczyć na kredyt w wysokości 700 tys. zł, to teraz na zaledwie 264 tys. – uzupełnia dr Paula Kukołowicz, analityczka Polskiego Instytutu Ekonomicznego. – Możliwość zaciągnięcia kredytu w wysokości 400 tys. zł jest dziś wręcz rzadkością na rynku kredytów hipotecznych.

Dorośli, ale niesamodzielní

Ta sytuacja będzie trwać, dopóki RPP lub KNF nie zmienią swojej polityki. O jakiej perspektywie czasowej mówimy? Według prognozy NBP inflacja będzie utrzymywać się powyżej celu jeszcze w 2024 r., czyli przez co najmniej dwa najbliższe lata koszt pożyczanego pieniądza będzie nadal wysoki.

– W tym momencie osoby ze średnim dochodem często nie są w stanie zdobyć mieszkania o powierzchni, która odpowiadałaby ich potrzebom – twierdzi Adam Czerniak.

Tymczasem wskaźnik przeludnienia mieszkaniowego w Polsce od lat jest jednym z najwyższych w UE. Według Eurostatu w ubiegłym roku przeszło jedna trzecia Polaków (36,9 proc.) żyła w nadmiernie zagęszczonych lokalach.

→ na tyle głębokie, by wydatnie poprawić sytuację młodych ludzi.

– Po okresie silnych wzrostów w latach 2006-2008 nastąpiły spadki cen mieszkań. Ogółem dla 17 największych miast Polski sięgały one 10-30 proc. – przypomina poprzedni kryzys Paula Kukołowicz. – Podczas obecnego spowolnienia spodziewałbym się jednak mniejszej korekty. Po pierwsze, jak dotąd ani pandemia COVID-19, ani wojna w Ukrainie nie spowodowały pogorszenia sytuacji na rynku pracy. Po drugie, spodziewany w okresie zimowym napływ uchodźców z Ukrainy będzie zwiększać popyt na mieszkania. Po trzecie, wiele ekspertów wskazuje, że wciąż nie mamy w Polsce do czynienia z powstaniem tzw. bańki spekulacyjnej na rynku nieruchomości.

– Jeśli skądś przyjdzie impuls do spadku cen, to na pewno nie będzie to rynek pierwotny. Mamy bowiem do czynienia z drastycznym ograniczeniem nowych inwestycji deweloperskich. Z tego, co słyszę, to ciętych jest średnio dziewięć na dziesięć planowanych inwestycji. Deweloperzy będą więc raczej trzymać ceny i skupiać się na kliencie premium. Klienta masowego i tak obecnie nie stać na skorzystanie z ich oferty – rozwiewa nadzieje Adam Czerniak. – Spadki cen mogą się pojawić na rynku wtórnym, gdyż osoby, które będą przeprowadzać się do wybudowanych niedawno mieszkań, jakieś lokale będą opuszczać. One również trafią na rynek.

Według dr. Czerniaka spadek cen wyniesie około 5-10 proc. Będzie to więc niewielka korekta – według danych Eurostatu tylko w ciągu ostatniego roku mieszkania w Polsce zdrożały o przeszło 12 proc.

Według Eurostatu w ubiegłym roku przeszło jedna trzecia Polaków żyła w nadmiernie zagęszczonych lokalach. **Gorzej jest tylko w Rumunii, Bułgarii i Łotwie.**

Budowlanka hamuje Polskę

Załamanie na rynku kredytów hipotecznych może pogłębić nasze spowolnienie gospodarcze. Według Polskiego Związku Firm Deweloperskich w przyszłym roku deweloperzy rozpoczną budowę co najwyżej 70 tys. mieszkań, czyli o 100 tys. mniej niż w 2021 r. Takie hamowanie wpłynie też na cały szereg branż, które związane są z budownictwem lub wykańczaniem lokali. Pamiętajmy, że już wcześniej w sektor ten uderzyły najpierw dwie fale wzrostu cen materiałów, a następnie zahamowanie inwestycji publicznych z powodu braku unijnych pieniędzy z KPO.

– Gospodarka jest systemem naczyń połączonych. Źródła obecnego spowolnienia, czyli wysokie koszty energii, materiałów i transportu oraz malejący popyt, równocześnie ograniczają aktywność firm działających w różnych branżach – uważa Paula Kukołowicz. – Już w październiku widać było pogorszenie wyników w przemyśle energochłonnym, sektorze chemicznym, produkcji metali oraz energetyce.

Adam Czerniak dodaje, że w tej chwili widać duże problemy w firmach dostarczających materiały do tzw. skurupy

mieszkaniowej, czyli np. stal i cement. – Z ich strony słyszę, że na początku roku pojawiają się przestoje w produkcji. Problemy będą miały także firmy dostarczające glazurę, materiały wykończeniowe, sprzęt RTV i AGD, oświetlenie. Co gorsza, spowolnienie w tym samym czasie dotknie też zagraniczne rynki zbytu, czyli Niemcy czy Hiszpanię. Nasze firmy nie będą więc mogły ratować się eksportem – uważa dr. Czerniak.

Co w takiej sytuacji powinien zrobić rząd? Przede wszystkim gruntownie zmienić swoją filozofię mieszkalnictwa.

– Przez ostatnie dwadzieścia lat państwo wycofało się z aktywnej polityki mieszkaniowej. Samorządy wyprzedawały lokale komunalne, a rząd zadawał się tym, że dopłaca do kredytów. Ten szkodliwy model się wyczerpał, więc musimy przebudować politykę w taki sposób, aby zaczęła ona stymulować budowę tanich mieszkań na wynajem w segmencie społecznym – przekonuje dr. Czerniak.

Natomiast dr. Kukołowicz przypomina, że rozwiązanie problemu dostępności mieszkań należy zacząć od zbadania tego, gdzie ich najbardziej brakuje. Ekspertka PIE wskazuje też, że część mieszkań w Polsce stoi pusta, i to nie tylko na tych obszarach, które się wyludniają. W Warszawie odsetek niezamieszkanymi lokali wynosi aż 20 proc. (wśród nich są też prywatne, niewynajęte mieszkania). Nawet gdyby połowa z nich trafiła na rynek, byłaby to istotna zmiana w dobrym kierunku. Należy więc zachęcić ich właścicieli do wynajmu (dziś boją się trudności przy eksmisji niepłacących lokatorów), dbając równocześnie o prawa najemców. Tak naprawdę powinniśmy to wszystko zrobić przynajmniej dekadę temu.

© PIOTR WÓJCIK

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Gliwicach Wydział I Cywilny pod sygnaturą I Ns 370/22 toczy się postępowanie z wniosku Patryka Malinowskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Sylwii Güttner, c. Waltera i Klary, ur. 19 lutego 1945 r. w Tarnowskich Górach, zm. 12 marca 2022 r. w Zabrze. Ostatnie miejsce zwykłego pobytu spadkodawcy to Knurów (pow. gliwicki). W skład spadku wchodzi odrębna własność lokalu położonego w Knurowie przy ul. Mieszka 19D/17.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od ukazania się ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 137/21 postępowanie z wniosku Alior Bank S.A. o stwierdzenie nabycia spadku po Irenie Marii Antczak, zm. 3 stycznia 2020 r., ostatnio zamieszkałej w Jarocinie. Skład spadku po zmarłej nie jest znany.

Sąd wzywa spadkobierców zmarłej, aby w terminie trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.



TOMASZ JASTRZĘBOWSKI / REPORTER

Po posiedzeniu Rady Polityki Pieniężnej. Drugi z prawej prezes NBP Adam Glapiński. Warszawa, 3 kwietnia 2019 r.

Osiemset tysięcy gniewnych ludzi

MAREK RABIJ

Do sądów wpłynęło ponad sto pozwów o unieważnienie kredytu w złotówkach. Czy to próba wymigania się od zobowiązań, czy raczej wotum nieufności dla bankowych metod rodem z lat 90.?

NIKT NIE POTRAFI TAK DOKŁADNIE POD-liczać niepowstałych jeszcze strat, jak czynią to bankowcy. 83,7 mld zł – tyle zdaniem analityków Santander kosztowałby branżę zwrot odsetek, które sama naliczyła posiadaczom kredytów hipotecznych w oparciu o tzw. wskaźnik WIBOR.

O tym ostatnim głośno zrobiło się kilka dni temu, kiedy sąd w Katowicach przychylił się do wniosku klienta pozywającego ING o unieważnienie umowy kredytu hipotecznego w polskich złotych i do czasu prawomocnego rozstrzygnięcia „odwiborował” mu ratę. Zaskarżone zobowiązanie, jak każdy kredyt, składało się z pożyczonego kapitału powiększo-

nego o niewielką marżę banku oraz części odsetkowej. Udzielając kredytu, bank wyliczył te odsetki właśnie w oparciu o stawkę WIBOR. Jak działa ten wskaźnik i skąd się wziął – o tym dalej. W tej chwili dość wspomnieć, że o wysokości WIBOR-u decydują stopy procentowe NBP, które w chwili zawarcia zaskarżonej umowy były bliskie zera. Kiedy zaczęły gwałtownie rosnąć, w górę poszedł i WIBOR, ciągnąc za sobą ratę wzmiankowanego kredytu aż do 6,7 tys. zł miesięcznie. W ten sposób działa każda pożyczka o zmiennej stopie procentowej.

Rozgoryczony kredytobiorca doszedł jednak do wniosku, że bank nie wytłuma- czył mu dostatecznie związanego z tym

ryzyka, a przy okazji zarzucił również niezgodny z prawem sposób ustalania oprocentowania. Argumentacja skarżącego była na tyle sugestywna, iż sąd tymczasowo zakazał bankowi pobierania części odsetkowej. Dzięki temu w kieszeni kredytobiorcy pozostanie aż 5 tys. zł miesięcznie. Jeśli ostatecznie przegra sprawę, będzie musiał zwrócić bankowi niedopłatę. Jeśli wygra, przez polskie banki może się przewalić tornado, przy którym niedawny kryzys kredytów frankowych okaże się zefirkiem.

„Epoka taniego pieniądza”

Biuro Informacji Kredytowej szacuje, że łączna wartość kredytów hipotecznych zaciągniętych w Polsce przekroczyła już pół biliona złotych, z czego aż 410 mld przypada na zadłużenie ok. 2 mln gospodarstw domowych spłacających hipotekę w rodzimej walucie. Niespełna trzy procent takich kredytobiorców wynegocjowało stałą stopę przez pierwszych 5-7 lat spłaty. Pozostali mają umowy o zmiennej stopie procentowej – co obecnie wygląda na przejaw niefrasobliwości, bo od października 2021 r. Rada Polityki Pieniężnej podniosła stopy aż jedenaście razy, windując je z 0,1 do 6,75 proc.

Wcześniej przez dziewięć lat stopy procentowe w Polsce zmierzały jednak w odwrotnym kierunku. Po podwyżce w maju 2012 r., kiedy stopa referencyjna NBP wzrosła z 4,5 do 4,75 proc., nastąpiła seria czternastu obniżek. Ostatnia, z lipca 2021 r., niemal zbiegła się w czasie z publikacją danych o inflacji, która przekroczyła wtedy 5 proc. – czyli była dwukrotnie wyższa od tzw. celu inflacyjnego NBP, który ma chronić złotego przed utratą wartości powyżej 2,5 proc. rocznie. Wszystko to mogło przekonać polskich kredytobiorców, że „epoka taniego pieniądza”, o której bankowcy tak chętnie opowiadali klientom właściwie od końca kryzysu finansowego z 2009 r., potrwa co najmniej do końca bieżącej dekady. Nawet najostrożniejsi z nich nie zakładali, że inflacyjna maszyna czasu w niespełna rok przeniesie ich w realia z listopada 2002 r. – czyli do stóp procentowych na poziomie 6,75 proc. W efekcie rata przeciętnego kredytu na 300 tys. zł, zaciągniętego na 30 lat z marżą 2,3 proc., wzrosła z początkowych 1,2 do blisko 2,6 tys. zł miesięcznie.

Zmianę w polityce NBP najsilniej odczuli ludzie, którzy pożyczyli na mieszkanie w ostatnich kilkunastu

→ miesiącach przed rozpoczęciem cyklu podwyżek.

Z wyliczeń ekonomisty Rafała Mundrego wynika, że dla ok. 33 proc. wszystkich polskich kredytobiorców podwyżka stóp z października 2021 r. była pierwszą, którą otrzymali w harmonogramie spłat. W pułapce gwałtownie rosnących rat mogło zatem znaleźć się ponad 800 tys. klientów.

Dla ilu z nich będzie to ciężar nie do uniesienia? Jak podaje Komisja Nadzoru Finansowego, statystyczny posiadacz kredytu hipotecznego pod koniec 2020 r. przeznaczał na jego spłatę 29 proc. miesięcznych zarobków. W przypadku 12 proc. kredytobiorców obsługa zobowiązania pochłaniała od 40 do 50 proc. wynagrodzenia, a kolejne 9 proc. co miesiąc musiało wyasygnować na ten cel więcej niż połowę pensji. W kwietniu br. – a więc w czasie, kiedy stopy NBP były o niemal jedną trzecią niższe niż teraz – ponad połowę zarobków w comiesięcznej racie oddawało już 36 proc. posiadaczy kredytu hipotecznego! Część z nich w desperacji szuka teraz sposobu, by uciec spod kredytowego stryczka, i z nadzieją spogląda w stronę prawników reprezentujących wcześniej frankowiczów. Co najmniej stu klientów złożyło już w sądzie pozwy o unieważnienie umowy kredytu.

Spread w owczej skórze

W kredytach frankowych spornym elementem była klauzula indeksacyjna, a mówiąc prościej: to, że banki mogły dość dowolnie ustalać kurs franka do złotego, stosując tzw. *spread*. Takie zapisy w świetle prawa unijnego są niedozwolone, a wyrok TSUE, który jesienią 2019 r. orzekł, że klauzul indeksacyjnych nie wolno bez zgody kredytobiorcy zastąpić innym przelicznikiem walutowym, pozwolił polskim frankowiczom skutecznie unieważniać całe umowy i domagać się zwrotu pieniędzy. Do marca na wokandę wpłynęło ponad 70 tys. pozwów frankowiczów. W aż 96 procentach spraw zapadł wyrok na korzyść kredytobiorcy.

O co mieliby teraz skarżyć banki klienci przekonani, że ich również nabitą w kredyty, tylko złotówkowe? Wraz z umową każdy klient podpisał przecież oświadczenie, że „dokonał wyboru oferty kredytu w złotych opartego na zmiennej stopie procentowej, mając pełną świadomość ryzyka związanego ze zmienną stopą procentową”. Bank nie ma wpływu

Wartość kredytów hipotecznych w Polsce
przekroczyła pół biliona złotych. Aż 410 mld przypada na 2 mln gospodarstw domowych spłacających hipotekę w złotychkach.

na stopy procentowe, którymi władza niepodzielnie bank centralny posiadający konstytucyjnie zagwarantowaną niezależność. Zdaniem prawników jedyna iskierka prawnej nadziei dla kredytobiorców tli się w konstrukcji WIBOR-u.

WIBOR to w uproszczeniu oprocentowanie, na jakie banki umawiają się, pożyczając sobie pieniądze. W czasach, kiedy żyły z obracania gotówką zdeponowaną przez klientów, było to jedno z podstawowych narzędzi branży: bank, któremu w danym dniu brakowało pieniędzy, choćby na bieżącą obsługę odsetek czy na kredyty, zaciągał u kolegów „chwilówkę”. Stawkę WIBOR ustalano każdego dnia, wyciągając średnią ze wszystkich takich transakcji, jedynie po odrzuceniu najdroższej i najtańszej. Kiedy na rynku rosła niepewność i pożyczki bankowe drożały, pozwalało to przerzucić ten koszt na klientów.

WIBOR wciąż ma wpływ na oprocentowanie kredytów, ale jego wysokość nie jest już średnią oprocentowania pożyczek międzybankowych, bo banki *de facto* przestały pożyczać sobie pieniądze. Bywają miesiące, w których na rynku międzybankowym nie dochodzi do ani jednej podobnej transakcji! Nie ma takiej potrzeby. Po upadku banku Lehman Brothers, który zapoczątkował kryzys finansowy z 2009 r., branżę dosłownie zalały miliardy pompowane do światowej gospodarki przez rządy walczące ze skutkami kolejnych kryzysów oraz pandemii. Aby uratować WIBOR, banki umówiły się więc na tzw. kwotowanie, czyli rodzaj ankiety, w której odpowiadają, za ile „byłoby gotowe” pożyczyć konkurentom pieniądze – gdyby ktoś był zainteresowany. Wysokość tego wskaźnika branża kształtuje zatem w niemal tak samo uznaniowy sposób, jak czyniła to wcześniej z tabelami kupna i sprzedaży walut. W efekcie WIBOR rośnie dziś szybciej od stóp procentowych NBP. War-

tość WIBOR 3M to aktualnie 7,34 proc., mimo że główna stopa NBP wzrosła „tylko” do 6,75 proc. Na początku listopada – w oczekiwaniu na kolejną podwyżkę stóp, do której ostatecznie nie doszło – dobijał już do 7,6 proc. Tymczasem w latach 2006-20 – jak wynika z wyliczeń serwisu Subiektywnie o Finansach – średnia różnica między WIBOR 3M a główną stopą procentową NBP wynosiła zaledwie 0,08 punktu procentowego.

Nadchodzi WIRON

Tajemnice kredytowej kuchni nie interesowały klientów, dopóki koszty pożyczek były niskie. Dziś przykuwają uwagę opinii publicznej, budząc wątpliwości, czy banki należy dalej traktować jako instytucje zaufania publicznego, skoro czasami zachowują się jak właściciel podejrzanego komisju samochodowego. Branża od lat 90. ciężko pracowała na ten kryzys zaufania, traktując klientów jak stado baranów do ostrzyżenia. Kryzys opcji walutowych. Afery z polisolokatami. Umowy frankowe, do których z premedytacją wpisywano klauzule zakazane. Lobbying w sprawie bankowego tytułu egzekucyjnego, który banki usiłowały za wszelką cenę dla siebie zachować, choć stanowił relikwiny z epoki, w której były w zasadzie urządzeniami państwowymi. A teraz WIBOR: formalnie legalna część systemu bankowego, w praktyce – wydmuszka po dawnym pożytecznym narzędziu, które przydaje się dziś głównie do ręcznego stylizowania rentowności.

Pod presją mediów i opinii publicznej rząd Mateusza Morawieckiego zapowiedział na początku roku, że polska bankowość będzie sukcesywnie odchodzić od WIBOR-u. Jego miejsce do 2025 r. ma zająć ostatecznie WIRON, czyli koszt pieniądza przy krótkich pożyczkach na jedną noc. Zmiana ta z pewnością doda polskiemu rynkowi kredytowemu nieco elastyczności. Niestety nie sprawi, że banki przestaną być arbitrami w grze, w której same biorą udział.

Przygotowania do tej zmiany można już dostrzec w bankowych tabelach. WIBOR 3M od początku roku – czyli momentu ogłoszenia decyzji o zamiarze tego wskaźnika na WIRON – wzrósł o 4,81 punktu procentowego. WIRON – o 4,91 pkt. proc. Stopa referencyjna NBP w tym samym czasie urosła o 4,5 pkt. proc.

Taka to dobra zmiana.

TOMASZ

Stawiszyński: Lęk przed dysonansem



„X SIĘGNAŁ DNA!” – OZNAJMIŁ NA FACEBOOKU pewien skądinąd deklaratywnie bardzo życzliwy światu człowiek, którego posty poświęcone rozmaitym subtelnościom tzw. kultury wysokiej zdarza mi się niekiedy czytywać. Ów X (nie o per-

sonalia w tym felietonie mi chodzi, a o specyficzny niepersonalny mechanizm, utajam więc je wszystkie, od początku do końca) to znany dziennikarz związany zawodowo i towarzysko z jedną ze stron politycznego sporu, aczkolwiek daleki od myślenia zawsze unisono ze swoim środowiskiem. Wzmiankowane „sięgnięcie dna” polegać miało na jakimś rzekomo urągającym wszelkim kanonom obyczajności i moralności zachowaniu podczas rozmowy z politykiem z tej samej, generalnie rzecz biorąc, strony politycznej barykady. Zasiadając do wysłuchania tej rozmowy, spodziewałem się – na podstawie facebookowych afektów – że dziennikarz się tam co najmniej awanturował, sięgał po argumenty poniżej standardu albo też przystępował co i rusz do jakichś impetycznych ataków na swojego rozmówcę. Okazało się jednak, że owszem, wydarzały się tam impetyczne ataki, popisy arogancji i niewybredne odzywki, ale akurat nie po stronie wywiadującego dziennikarza, lecz... wywiadowanego polityka. Co zatem wywołało taką falę oburzenia? Cóż, rozmowa nie polegała po prostu na przytakiwaniu i współdzieleniu z politykiem emocji oraz obiegowych rozpoznań charakterystycznych dla reprezentowanego przezeń obozu, lecz na inteligentnej, a stanowczej konfrontacji. To najwyraźniej wystarczyło.

Weźmy inną podobną historię, tym razem związaną z pewnym rozległym i nieoczywistym esejem poświęconym jednej z ważnych polskich postaci życia publicznego, która – jak wszystkie ważne polskie postacie życia publicznego – jest przez jednych ślepo nienawidzona, przez innych natomiast ślepo kochana. Autor eseju wykonał znaczny wysiłek, próbując przekroczyć ten prosty dualizm, i nakreślił portret swojego bohatera zdecydowanie bardziej niż ta zero-jedynkowa matryca zniuansowany. Pokazał więc – z przekonującym efektem zarówno literackim, jak i psychologicznym – że mamy tu do czynienia z osobowością, którą wszyscy usiłują wtłoczyć w jakiś gorset, tymczasem ona do żadnych gorsetów nie pasuje, ciągle z każdego się uwalnia i w ogóle nie da się jej w taki prosty sposób zdefiniować. „Fatalny tytuł, tekst niedobry” – skonstatował na Facebooku jeden z wielbicieli bohatera, rozwijając potem myśl mniej więcej w tym kierunku, że zamiast oddać sprawiedliwość wielkości człowieka, tekst zanadto meandruje po rewirach charakterologicznych i koncentruje się na kwestiach zanedbywalnych. Pod postem z tą konstatacją zaroilo się od razu od komentarzy, których autorki i autorzy już w sposób znacznie mniej powściągliwy wyrażali swoje, delikatnie mówiąc, rozczarowanie.

Dlaczego przytaczam te sytuacje, wydawałoby się mało znaczące, bo rozgrywane się w przestrzeni wirtualnych, społecznościowych deliberacji? Z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że społecznościowe deliberacje odzwierciedlają dzisiaj istotne kulturowe procesy czy może raczej uwidoczniają je w powiększeniu niczym mikroskop o wydatnej mocy. Po drugie natomiast dlatego, że oba te posty – a także to, co się pod nimi zadziało – obrazują zjawisko bardzo rozpowszechnione, bez mała wszechobylskie, a mianowicie: lęk przed dysonansem.

Przeglądając się i przysłuchując rozmaitym rozmowom, dyskusjom, reakcjom, wymianom i komentarzom, w mediach społecznościowych i nie tylko, odnoszę wrażenie, że od tekstów czy też innych form narracyjnych nie oczekuje się już dziś, że będą intelektualnie pobudzające i prowokujące. A to znaczy, że będą wytrącać z powziętych wcześniej przekonań, kierować na jakieś inne intelektualne czy światopoglądowe szlaki niż te codziennie wciąż na nowo przemierzane. Słowem, nie oczekuje się dzisiaj od tekstów oraz innych form narracyjnych dysonansu. Przeciwnie, od dysonansu, różnicy zdań, niezgodności przekonań chce się być jak najdalej, a oczekuje się raczej, że inni będą przede wszystkim już posiadane przez nas poglądy potwierdzać. Kto więc ich nie potwierdza, lecz podważa – wystawia się na miazdzącą krytykę.

A przecież to właśnie dysonans – nieoczywistość, kontradycja, zakłócenie ustalonego obrazu świata, wyzwanie rzuczone rozmaitym naszym pewnością, oczywistościom i zadowoleniom – był od zawsze warunkiem *sine qua non* krytycznego myślenia. Gdzie nie ma dysonansu czy raczej gdzie nie traktuje się dysonansu jako szansy, a w każdym razie jako czegoś, co może otworzyć nowe perspektywy – poza tym zaś po prostu obrazuje różnorodność świata oraz poglądów, jakie można na jego temat mieć – otóż gdzie nie ma dysonansu, tam prędzej czy później zaczyna panować kostyczny dogmatyzm.

I właśnie dlatego ten wszechobecny lęk przed dysonansem wydaje mi się jednym z najpoważniejszych współczesnych problemów, których niestety zbyt często nie dostrzegamy. Dlatego między innymi nie dostrzegamy, że dysonans, jaki mogłoby to wywołać, różnymi sposobami – na przykład opisanymi powyżej – natychmiast efektywnie redukujemy.

©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym dla miasta stołecznego Warszawy

w Warszawie pod sygnaturą II Ns 389/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Marii Różańskiej z domu Zalewskiej, ur. 14 sierpnia 1907 r. we Włodzimierzu, zm. 5 lutego 1983 r. w Warszawie, której ostatnie miejsce zwykłego pobytu jest nieznane. W skład spadku wchodzi roszczenie o zwrot nieruchomości pn. „Folwark Wagram litera C”, o powierzchni 278,2180 ha, położonej w gminie Gołębki, pow. łukowski, woj. lubelskie.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu 3 miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominęci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

WIARA

*Zbigniew Nosowski, Otwock, czerwiec 2020 r.*

KTO NAM UKRADŁ KOŚCIÓŁ

ZBIGNIEW NOSOWSKI, REDAKTOR NACZELNY „WIĘZI”:

W zawałeniu się konstrukcji też jest nadzieja:
wtedy nie chodzi już o ładniejszy tynk,
ale zbudowanie czegoś od nowa, od fundamentów.

ZBIGNIEW NOSOWSKI: Uparłeś się jednak, by tematem rozmowy były marzenia o Kościele.

ARTUR SPORNIAK: Tak.

Ala ja już nie marzę. Oddawanie się marzeniom byłoby w obecnej sytuacji pięknoduchostwem. Próbuję natomiast zidentyfikować wyzwania i zadania długiego procesu niezbędnej odnowy. Aczkolwiek ze świadomością, że ona nie ruszy prędko, a jej owoce to kwestia dalekiej przyszłości. Nawet trwający synod o synodalności jest tylko przedbiegiem do niej.

Reforma nie ruszy z wielu powodów. Na przykład przed Soborem Watykańskim II pojawiły się oddolne ruchy – biblijny, ekumeniczny i liturgiczny – które przygotowywały grunt dla głębokich zmian. Teraz podobnych inicjatyw nie widać. Nie ma też teologów, którzy byliby zdolni opracować wielką nową syntezę doktryny chrześcijańskiej z – nieznanymi jeszcze – głównymi ideami nowej epoki dziejów ludzkości, w którą wchodzimy.

Marzenie o Kościele rozumiem jako głębokie pragnienie zmian, które daje nadzieję i jest motorem działań. Czy uda się Kościół zmienić, czy on się zawali?

W zawałeniu się konstrukcji też jest nadzieja: wtedy nie będzie już chodziło o ładniejsze otynkowanie tego, co jest, ale zbudowanie czegoś od nowa – rozpoczynając jednak od fundamentów. Niedawno rozmawiałem z zakonnikiem remontującym swój kościół, który myślał, że uda mu się ograniczyć tylko do prac zewnętrznych. „Okazało się, że musimy się zatroszczyć przede wszystkim o fundamenty” – powiedział. To trafna metafora obecnej sytuacji. Nie da się już zrobić tylko tak, żeby ładnie wyglądało. Jeśli wierzymy naprawdę, to rozpad struktur kościelnych ma sens, choć nie wiemy jeszcze jaki i nie mamy pewności co do drogi, którą idziemy.

Ostatnio ważna stała się dla mnie modlitwa Thomasa Mertona, którą znalazłem w książce wydanej przez Znak jeszcze w latach 60. XX w. On zaczyna od wyznania: „Boże, nie mam pojęcia, dokąd zmierzam. Nie widzę drogi przed sobą. Nie mogę wiedzieć na pewno, gdzie ona się kończy, ani też nie znam tak naprawdę samego siebie. A fakt, że uważam, iż postępuję zgodnie z Twoją wolą, nie oznacza, że tak rzeczywiście jest”.

Ale kończy: „zawsze będę Ci ufał, nawet choćby mi się wydawało, że jestem zagubiony i w cieniu śmierci”. Idę w kierunku, którego nie znam, ale ufam. Taka Abrahamowa modlitwa.

Chciałbym zapytać o sprawę jezuitów...

A to odpowiem ci, o jakim Kościele marzę – o takim, w którym nie będę musiał ani pisać, ani publikować reportaży śledczych.

A ja o takim, przy którym, otwierając rano laptop, nie będę się bał, że przeczytam o kolejnych ofiarach i kolejnej indolencji kościelnych przełożonych. Taki niekończący się koszmarny refren...

Niektórzy mają niski próg wrażliwości i odchodzą z Kościoła. Wielu prawych ludzi tak uczyniło. Rozumiem ich, ale mam zupełnie inaczej. Ja przeżyłem – i przepracowałem – upadek mojego największego duchowego autorytetu, Jeana Vaniera, założyciela wspólnot wokół osób z niepełnośprawnymi. Dlatego już nic nie jest w stanie mnie bardziej rozczarować.

W tym sensie jest mi łatwiej. A będąc zaangażowanym w inicjatywę Zranieni w Kościele mam przeczucie, że jeszcze dna nie sięgnęliśmy. Największy problem miałem ostatnio z przypadkiem francuskiego bp. Michela Santiera, który prowadził rozbiórane spowiedzi. Zbierało mi się na duchowe wymioty, gdy czytałem, że zaspokajał się on w ten sposób, iż będąc założycielem młodzieżowej wspólnoty charyzmatycznej, kazał młodym mężczyznom zdejmować kolejne części ubrania po wyznaniu kolejnych grzechów. I działo się to przed tabernakulum!

Używam tu niemiłej metafory wymiotów, ale myślę, że tak trzeba, aby być szczerym. Kiedyś komentując list bp. Edwarda Janiaka do episkopatu, w którym postponował abp. Wojciecha Polaka za to, że doniósł na niego do nuncjusza, powiedziałem, że szambo wybiło. Ta metafora ciągle jest aktualna.

Co więcej, w gronie tych kilku osób, które zaczęły uprawiać katolickie dziennikarstwo śledcze, wykonujemy coś, co przypomina robotę szambonurka. Niektórym w Kościele wciąż się wydaje, że wystarczy jedynie mocniej docisnąć pokrywę szamba, to wtedy będzie mniej cuchnęło. My natomiast wychodzimy z założenia, że trzeba to szambo porządnie wyczyścić.

Zakładamy też, że gdzieś tam na dnie dostrzemy do takiej nadziei, której już nie da się podważyć. Ale to bolesny i ryzykowny proces, bo gdy czyścimy szambo, to wyciągamy brudy, które mocno śmierdzą – i niektórzy ludzie mogą uciec.

Co się musi wydarzyć, byśmy dotarli do tego dna?

Nie wiem. Być może trzeba dokończyć dyskusję o Janie Pawle II. Dziwiłbym się, gdyby ktoś kiedyś nie odnalazł jakichś materiałów o duchownych wykorzystujących seksualnie dzieci w czasach krakowskiego arcybiskupstwa Karola Wojtyły, o czym on wiedział i jakoś tolerował. To tylko przypuszczenie, rzecz jasna.

Pozytywne jest to, że od dna można się odbić. Czy czekamy na to, aby świadomość tego dna dotarła do kościelnych decydentów?

Dla mnie ważniejsze są procesy, które można uruchamiać bez hierarchów. Wiem, że zwłaszcza od dzisiejszego kierownictwa episkopatu nie doczekam się zmierzenia z rzeczywistością – więc tu już nie mam oczekiwań.

Często mówię o ciemnej nocy Kościoła. Niektórym osobom, mniej obeznanym z tą mistyczną metaforą św. Jana od Krzyża, wydaje się, że to inny sposób mówienia o kryzysie. Tymczasem w odwołaniu do nocy ciemnej jest ukryta nadzieja, że tam się znajdzie Boga w nowy sposób. Może Bóg chce, byśmy odrzucili pewne przywiązania, zwyczajając czy wzorce postępowania. On оголаca Kościół, by zobaćczyć go piękniejszym.

Jako próbę odbicia się od dna odbieram niemiecką Drogę Synodalną.

Po opublikowaniu raportów o wykorzystywaniu dzieci przez duchownych niemieccy biskupi utworzyli ze świeckimi forum dyskusji o kryzysie, które zaproponowało odważne reformy. To jednak wzbudziło lęk w Kościele i opór w Watykanie.

Niemiecki Kościół próbuje w ten sposób wypłynąć na powierzchnię. Droga Synodalna stawia ważne pytania – ale jej odpowiedzi nie dotyczą sedna problemu. Ona zaczyna od przebudowy kościelnych struktur i pewnie skończy na strukturach. Tymczasem problemem jest nie tylko sam Kościół, trzeba zejść także głębiej. Wyczerpała się żywotność chrześcijaństwa. Tego nie uzdrowią reformy strukturalne. ➔

→ Z kolei watykańska odpowiedź na kryzys zaczyna od obietnic i może się skończyć na obietnicach. Synod o synodalności obiecuje, że wszyscy zostaną wysłuchani, a to jest po prostu niemożliwe. Potrzebny byłby proces wszechogarniającej głębokiej odnowy. Na łamach „Więzi” Sebastian Duda zaproponował, by myśleć o nim przez analogię do przebudowy Kościoła po Soborze Trydenckim. Był to okres pozytywnej katolickiej reformy, czyli odpowiedzi na reformację. To powinien być proces bardzo szeroki: egzystencjalny, duchowy, wspólnotowy, liturgiczny, prawny, dyscyplinarny, pastoralny, instytucjonalny, a nawet przynoszący nową estetykę chrześcijańską, otwarty na postawiających – a wszystko doktrynalnie przemyślane na nowo.

Reformy Tridentinum dokonali ówczesni biskupi. Dzisiaj to najbardziej skompromitowany w Kościele urząd, choć wciąż decydujący. Nie wierzę w to, by synod, w którym głosować mogą tylko biskupi, był w stanie dokonać takiej reformy.

Zgoda. Dlatego nie mamy zbyt wielu powodów do optymizmu. Ale możemy podejmować działania bez czekania na zgodę biskupów. Dlatego proponuję raczej rozwijać małe wspólnoty kościelnej wiarygodności niż grupy dyskusyjne o reformie Kościoła. Skupmy się na tym, co pierwotne: na ocaleniu i odradzaniu chrześcijaństwa w sobie i wokół siebie. Z tego może kiedyś wyniknąć także reforma Kościoła.

Powiedziałeś, że trzeba wracać do fundamentów. Sobór Watykański II próbował wrócić do wczesnego chrześcijaństwa, np. w liturgii. Taką sugestię czyni też Marek Kita na łamach najnowszego numeru „Więzi”. Jego zdaniem trzeba powrócić do nowotestamentowej wizji Ecclesii jako „Gminy Zwołanych”. Tylko że protestanci to już zrobili i też przeżywają kryzys, a w naszym Kościele katolickim ostrzega się przed „protestantyzacją”. Jak wracać do korzeni?

Niektórym w Kościele wciąż się wydaje, że wystarczy jedynie mocniej docisnąć pokrywę szamba, to wtedy będzie mniej cuchnęło.

A trzeba to szambo porządnie wyczyścić.

Jestem przekonany, że w dającym się przewidzieć czasie będziemy mieć więcej pytań niż odpowiedzi. Wielu odpowiedzi po prostu nie znam. Nie znam nawet jeszcze dobrze sformułowanych pytań.

Ostatnio postawiłem sobie na półce – jako taki wyraźny trop w myśleniu o przyszłości – książkę „Jezus przez wieki” Jaroslava Pelikana. Ten amerykański historyk chrześcijaństwa pokazuje, że w każdym stuleciu odnajdywano jakiś aspekt postaci Jezusa, który ludzi szczególnie fascynował. Wielkim zadaniem współczesnego Kościoła jest znalezienie aspektu Jezusa, który będzie intrygował ludzi w wieku XXI.

Masz już jakiś pomysł?

Nie. Usiłuję przekonywać siebie i innych, że uznanie własnej bezradności to w perspektywie wiary ważny początek drogi. Jeśli uczciwie mówimy „nie wiem”, jak w tej modlitwie Thomasa Mertona, to zwracamy się bardziej ku Bogu, a nie ku sobie. Szukamy po omacku, trochę na zasadzie „wiódł ślepy kulawego”, ale w perspektywie Ewangelii oznacza to: „moja słabość moją siłą”. Raczej nastawiałbym się na symboliczną długą wędrówkę przez pustynię. Może rzeczywiście aż przez 40 lat?

Co to konkretnie znaczy? Tworzyć enklawy wiary i zapraszać do nich sprawdzonych kapłanów, do których mamy zaufanie?

Na czas pustyni chyba rzeczywiście najlepszym pomysłem są małe wspólnoty, które będą mogły dać ludziom oka-

zję do spotkania z Bogiem w modlitwie i służbie ubogim. Podstawowym lekarstwem na złe doświadczenie Kościoła jest dobre doświadczenie Kościoła. A do tego niezbędna jest wspólnota wokół Eucharystii i ubogich.

Przed myśleniem z nadzieją o małych gorliwych wspólnotach hamują mnie tacy liderzy jak wspomniany Vanier.

A mnie nie hamują, bo ja wciąż idę drogą, którą nam Vanier pokazał, chociaż sam z niej poważnie zboczył. Wspólnota wokół osób z niepełnosprawnościami intelektualnymi jest dla mnie od 40 lat podstawowym doświadczeniem bycia w Kościele i bycia Kościołem. Odpowiedzią na twoje obawy powinna być troska, aby były to wspólnoty zbudowane nie wokół liderów, lecz autentycznie wokół Eucharystii i ubogich. Żeby nie były realizacją czyjejś wizji, lecz sięgały wprost do Ewangelii. Wystarczy spotykać się, by wspólnie czytać Pismo Święte i myśleć o tym, co można razem zrobić dobrego dla innych. Narzekanie nie trzeba przekształcać w działanie!

Kita twierdzi, że „Kościół jako system władzy i kontroli to nie tylko błąd, ale wręcz zdrada Ewangelii”. Trudno to powiedzieć mocniej.

Ktoś nam ukradł Kościół. My się z nim utożsamiamy, chcemy w tej wspólnotie świadomie być, a ty się boisz włączyć rano internet. Problem władzy i biskupstwa jest jedną z najważniejszych kwestii doktrynalnych, które trzeba uporządkować w tym wielkim procesie katolickiej reformacji.

Poza Kościołem niemieckim nie widać wśród biskupów ani w Watykanie chęci rozmowy nawet nie tyle o jakimś rozsądnym podziale władzy, ale choćby o poddaniu jej jakiejś szerszej kontroli i uczynieniu transparentną.

Te zmiany trzeba będzie po prostu wymusić. W tym sensie intuicja Sebastiana Dudy jest słuszna – on się odwołuje do Soboru Trydenckiego, który pewne instytucjonalne zmiany wymuszał, a nie tylko zalecał. Na przykład wprowadzono wtedy



obowiązek mieszkania przez biskupa w diecezji czy seminaria duchowne jako instrument formacji kleru.

Dzisiaj seminaria są problemem, bo izolując kandydatów do kapłaństwa na wiele lat, formują do zachowań klerykalnych.

Ale gdy powstawały w XVI w., były świetną odpowiedzią na ówczesne potrzeby. Nie chodzi o powtarzanie tamtych rozwiązań, tylko procesu, który do ich odnalezienia doprowadził. Trzeba najpierw umieć zdiagnozować obecne potrzeby, zidentyfikować zainteresowanie Jezusem w XXI wieku, lęki, których ludzie doświadczają. Tutaj poszukiwania Tomáša Halíka, które zawarł w książce „Popołudnie chrześcijaństwa”, wydają się ważnym tropem.

Co byś doradził wierzącemu, który w obecnej sytuacji doświadcza pokusy emigracji wewnętrznej albo zamykania się w oblężonej twierdzy – czy schronie przeciwpożarowym, jak to nazywa Kita?

Prowadzę od pół roku podcast „Półprzewodnik po nocy ciemnej”. Nie przewodnik, ale półprzewodnik, bo nie da się napisać przewodnika po krainie, której nie znamy. Pierwszą rozmowę przeprowadziłem z Agnieszką Zakrzewską, która jest instruktorką orientacji przestrzennej w Laskach i uczy osoby niewidome bądź ociemniałe poruszania się w świecie, którego nie widzą. W przypadku ociemniałych jest to dodatkowo trudne, bo oni wcześniej widzieli, więc muszą się na nowo uczyć chodzić. Czyż nie ma tu analogii do naszej sytuacji?

Dla takich osób ważne są zwłaszcza stałe punkty orientacyjne, do których mogą się odwoływać. W trudnym czasie zawirowania potrzebne są stabilne, najprostsze punkty orientacyjne. Gdy zatem pytasz, co robić, odpowiadam: trzymać się sprawdzonych punktów orientacyjnych. Czyli po pierwsze trzeba się modlić – a nie tylko dyskutować o problemach Kościoła. Modlitwa to jedyna czynność, która nas wierzących wyróżnia (wszystko inne, nawet miłość nieprzyjaciół, może się wydarzyć bez motywacji religijnej).

Po drugie: uważnie słuchać – bo gdy nie widzimy świata, przez który idziemy, to większego znaczenia nabiera słuch. Czyli otwierać Biblię i spotykać się z Bogiem, który mówi do mnie poprzez to Słowo.



MACIEJ ZIENKIEWICZ DLA „TP”

ZBIGNIEW NOSOWSKI (ur. 1961) jest redaktorem naczelnym kwartalnika „Więź”. W latach 2001 i 2005 był świeckim audytorem synodu biskupów w Watykanie. W latach 2002-08 konsultor Papieskiej Rady ds. Świeckich. Współtwórca inicjatywy Zranieni w Kościele. Autor reportażu śledczych o ukrywaniu pedofilii w Kościele „Przeczekamy i prosimy o przeczekanie”. 24 listopada odebrał Nagrodę Znaku i Hestii im. ks. Józefa Tischnera za pisarstwo będące kontynuacją tischnerowskiego „myślenia według wartości”.

A po trzecie: szukać wokół siebie okazji do konkretnej służby drugiemu człowiekowi. Bo miłość Boga powinna być spleciona z miłością bliźniego. I ważne, aby to był konkretny angażujący czas i ręce, a nie tylko kolejny przelew na cele dobroczynne. Modlitwa, bliskość ze Słowem przez lekturę Biblii i bycie dla innych to sposób na owo odradzanie chrześcijaństwa w sobie i wokół siebie, to załazek Kościoła.

Ciekawe, że Luter nowy fundament znalazł właśnie w Piśmie Świętym.

Obecne wyzwania Kościoła wydają się porównywalne właśnie z okresem reformacji. Nawiązania do niej same się narzucają.

Może po prostu trzeba przeczekać. Kościół w końcu to Boża sprawa – niech się On martwi!

Formuła „przeczekania”, jak wiesz, kojarzy mi się przede wszystkim z biernością biskupów wobec wykorzystywania seksualnego i zamiataniem problemów pod dywan. O tym pisałem w tekście pt. „Prze-

czekamy i prosimy o przeczekanie”. Ale rozumiem, że masz na myśli przeczekanie w Kościele jako radę dla tych, którzy chcą odchodzić. Owszem, taka decyzja nie powinna być podejmowana zbyt szybko, choć zawsze wielki wpływ mają na nią emocje i słuszny gniew.

Świadomie trwając w Kościele, można znaleźć różne sposoby odpowiedzi na zawód doświadczany ze strony jego decydentów. Ja np. nie daję na tacę na inicjatywy diecezjalne. Mam to szczęście, że mój proboszcz zawsze ogłasza, na co idzie taca. Mam przekonanie, że gdy daję na parafię, to te pieniądze nie są marnowane. Natomiast ofiary składane na rzecz struktur diecezji trafiają w dziurę, o której nic nie wiem. To mój sposób radzenia sobie z pytaniem o wspieranie instytucji. Trzeba umieć rozróżniać.

Kościoty coraz bardziej pustoszeją. W związku z tym zmniejszają się wpływy z tacy. Widmo zapaści finansowej jest coraz bardziej realne. Czy dopiero kryzys finansowy będzie tym „dnem”, które wymusi reformatorskie reakcje polskich hierarchów?

Dla niektórych biskupów być może rzeczywiście budzikiem będzie dopiero kryzys finansowy. Tak jak do niektórych rzeczywistość wykorzystywania seksualnego dociera dopiero wtedy, gdy nie można już uniknąć płacenia odszkodowań.

Pułapką, w którą można wpaść, jest skierowanie całej uwagi na restrukturyzację instytucji. Gdy duże instytucje kościelne zaczną się borykać z problemami kadrowymi, finansowymi, organizacyjnymi – choćby co zrobić z wielkimi domami, jak je utrzymywać – bardzo łatwo ulec pokusie skupienia się na przetrwaniu i popaść w marazm duchowy. Wtedy celem staje się instytucja sama w sobie, np. zbudowanie nowego modelu finansowania. Taki model jest niezbędny, ale nie wolno z niego czynić priorytetu. Kościół nie jest celem sam dla siebie. Franciszek od początku pontyfikatu przed takim myśleniem przestrzega.

Już sam fakt, że obecny synod jest poświęcony synodalności, a więc Kościołowi, a nie jego misji – temu, jak być dzisiaj dla świata czytelnym sakramentem zbawienia – świadczy o tym, że nasza wspólnota jest chora. Jeśli ktoś miał jeszcze wątpliwości, to tematyka synodu jest dowodem.

© Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

Odchodzący

DARIUSZ PIÓRKOWSKI SJ

Jezus im towarzyszy. Słucha, rozmawia, wyjaśnia, daje czas. Nazywa zagubionymi owcami, nie wilkami. A my?

DLACZEGO LUDZIE FORMALNIE LUB NIE-formalnie odchodzą z Kościoła? Nie widzę bowiem zasadniczej różnicy między tymi, którzy składają akt apostazji, a tymi, którzy tylko przynależą do Kościoła, bo zostali w nim ochrzczeni i na tym ich kościelna przygoda się skończyła. Powodów odejść jest pewnie tyle, ilu tych, którzy decydują się na taki krok. Z zainteresowaniem przeczytałem jedną z prób zmierzenia się z tym niełatwym tematem, autorstwa ks. Andrzeja Draguły. W opublikowanym na portalu Więź.pl tekście „Apostaci i Zacheusze” autor nie obwinia wprawdzie jedynie samych odchodzących ani też nie obarcza winą samej wspólnoty Kościoła. Jednak argumentuje, że ostatecznie to osobiście człowiek decyduje bez względu na to, w jakiej sytuacji się znajdzie. „Z Kościoła trzeba chcieć odejść” – pisze. Nie sposób się z tym nie zgodzić.

Niemniej ks. Draguła zdaje się przypisywać ogromne znaczenie świadomej decyzji odchodzących, jakby wszystko zależało od chcenia. Jedni je mają, a inni po prostu nie mają. Uważam, że sprawa jest jednak bardziej skomplikowana. Nawiązując do historii Zacheusza, który wszedł na drzewo, by zobaczyć Jezusa, ks. Draguła stwierdza: „Żeby [w Kościele] zobaczyć świętość, trzeba by się trochę wspiąć, aby popatrzeć ponad grzeszny tłum”. Przykro mi, ale nie wierzę już w moc kaznodziejskich zawołań „trzeba nam” i „chcimy”. Życzyłbym sobie, aby to było takie proste: „Jeśli chcesz zobaczyć, zobaczysz”. W rzeczy samej. Św. Teresa z Lisieux też odpowiedziała kiedyś zmartwionej współsiostrze, która obawiała się pośmiertnej wizyty w czyśćcu, iż wszystko zależy od chcenia. Sama nie miała zamiaru tam się wybierać i orzekła, że „jeśli siostra chce tam pójść, to pójdzie, a jeśli nie chce, to nie pójdzie”. Proste. Lecz niewiele osób



w Kościele idzie drogą św. Teresy. Tak, większość to „tłum”. Tylko garstka spośród nich to także Zacheusze, którzy mają odwagę wspiąć się ponad innych. Nie zawsze się nie widzi, bo się nie chce widzieć.

Nie wystarczy chcieć

Św. Tomasz z Akwinu dzieli się pewną pozorną oczywistością: „Ludzie lepiej otrzymują to, co otrzymują pragnąc, i łatwiej to też przyjmują. Jeśli się czegoś nie pragnie, tego również się nie szuka ani się na to nie czeka”. Z biegiem lat istotniejsze wydaje mi się pytanie, dlaczego Zacheusz chciał zobaczyć Jezusa. Dlaczego jedni trwają w Kościele, chociaż wiedzą, jak jest, a inni mówią „wypisujemy się z tej gry”? Podział na tych, którzy mają silną i słabą wiarę, nie do końca odzwierciedla rzeczywistość. Idąc tym tropem, można też zapytać, dlaczego panny mądre z przypowieści zabrały więcej oliwy, a głupie nie? Dlaczego, jak sugeruje scena Sądu Ostatecznego, część ludzkości okazała czynne miłosierdzie potrzebującym, a pozostała nie? Ewangelia nie udziela jednoznacznej odpowiedzi na te pytania. Skoro wszystkich „niechcących” z przypowieści nie wpuszczono do nieba, to można by zasadnie przypuszczać, że sami sobie zgotowali ten los. Nie wini się kogoś za to, czego nie mógł zrobić.

Nie, nie wystarczy chcieć. Bo człowiek może chcieć, ale nie móc. To stałe napię-

cie w historii ludzkości. Człowiek może chcieć i bać się. Człowiek może chcieć pozornego dobra. Ten obszar niemocy wydaje się wcale nie zmniejszać, im bardziej zbliżamy się do końca świata. Człowiek może też chcieć i pozostać sam ze swoją bezsilnością, choć mógłby wybrać się do kogoś dwieście kilometrów, aby porozmawiać. Im więcej słucham spowiedzi i towarzyszę innym duchowo, tym bardziej zaciera mi się granica między „chcianą” a „niechcianą” ignorancją. Niby człowiek powinien był dopytać, zasięgnąć opinii, ale tego nie zrobił. Czy zawsze dlatego, że nie chciał?

Yves Congar OP już w 1950 r. zauważył, że istnieje postęp w rozwoju idei moralnych, za którym nie podąża w podobnym tempie postęp moralny ludzkości. Wzrost świadomości moralnej nie pociąga automatycznie za sobą odpowiadającego jej postępowania. Niemniej doceniamy to, że dzisiaj z większym szacunkiem podchodzimy np. do dzieci i ich krzywdy, chociaż nie przestaliśmy ich krzywdzić. Większą wagę przykładamy do ludzkiej wolności, nawet jeśli wciąż wykorzystujemy ją do złych celów. Po czuwamy się do większej odpowiedzialności za to, jaką ziemię pozostawimy tym, którzy po nas przyjdą, choć nadal śmiejemy i zatruwamy powietrze.

Od starożytności głosi się, że człowiek nie jest monadą. Rodzi się, wzrasta, kocha



Akcja „Żegnaj religio”, zachęcająca uczniów do rezygnacji z tego przedmiotu szkolnego. Białystok, listopad 2022 r.

Warunkuje nas to, co jest naszym wspólnym i niechcianym wyposażeniem. Skoro grzech pierworodny tak nas naznacza, to dlaczego osobiste grzechy, chore struktury i zgorzenie miałyby obecnie odgrywać mniejszą rolę motywacyjną w naszych decyzjach? Czy zmazanie grzechu pierworodnego powoduje anulowanie istotnych powiązań między nami? Nie, nadal jesteśmy współzależni. Zarówno w pozytywnym, jak i negatywnym sensie. I chyba jeszcze nie pojmujemy, jak bardzo.

Wystarczy powiedzieć, że od tego, jak wyglądało czyjeś wychowanie, zależy w dużej mierze stosunek tej osoby do autorytetu, w tym także do samego Boga. Niedawno po raz kolejny przeczytałem „Rękopisy autobiograficzne” św. Teresy z Lisieux, w których jak w lustrze odbija się duch epoki, która ją ukształtowała. Silne oddziaływanie jansenizmu, i to przez wieki, który bezwiednie był głoszony w kazaniach, rekolekcjach i konferencjach, odcisnął na wierzących zgubne piętno, wpędzając ich w skrupulantwo i paniczny strach przed sprawiedliwym Bogiem. Sama Teresa zmagła się ze skrupułami niemal do końca swego życia. I nawet jeśli po części wynikało to z jej, jak to nazwała, „przewrażliwienia”, to przypadłość duszy by jej nie opuściła, gdyby nie pomoc światłego spowiednika. A miała dobrego ojca, którego całe życie nazywała Tatusiem. Nie każdy chrześcijanin miał taką szansę. Nie każdy został doktorem Kościoła.

Jest więc taka część nas, „która istnieje zbiorowo, w solidarności z grupą” (Congar). W naszej tożsamości pulsuje dynamiczny wymiar historyczno-społeczny. Oczywiście, nie jesteśmy zlni z grupą organicznie, niczym ciało. Jednak mówimy, że jako Polacy wygraliśmy w siatkówkę, choć tylko mała grupka brała udział w mistrzostwach. Ból sporego odsetka odchodzących z Kościoła często jest bólem tej części ich serca. Bólem, którego nie są w stanie znieść. Z jednej strony dlatego, że jako ludzie mamy różną wrażliwość psychiczną i moralną. Jedni dostrzegają więcej, inni mniej. Nie wynika to zazwyczaj z ich złej woli czy z lenistwa, lecz bardziej z konstrukcji psychosobowej. To, co dla jednego będzie do zniesienia, dla drugiego będzie ponad siły. Z drugiej strony, istotna jest też iden-

tyfikacja ze wspólnotą. Jeśli nie należę do Polskiego Związku Wędkarskiego, nie za bardzo obejdą mnie finansowe skandale, których dopuściłby się jego zarząd czy szeregowi członkowie, choć będzie mi smutno z tego powodu.

Całowanie podłogi

Mam też wątpliwości co do drugiej tezy, którą stawia w swoim tekście ks. Draguła. Według niego zgorzenie bez wątpienia osłabia morale odchodzących, ale co najwyżej jest tylko kontekstem i katalizatorem, a nie bezpośrednią przyczyną ich decyzji. Bo przecież „wielu żyje w tym kontekście i nie dopuszcza się apostazji”. I z tą argumentacją się nie zgadzam. Pomniejsza ona rolę wspólnoty w tym procesie, nie wspominając już o tym, że z różnych powodów można trwać w Kościele. Samo formalne pozostawanie w nim nie może być racją przeciw tym, którzy Kościół opuszczają.

W Ewangeliach też natrafimy na odchodzących. U św. Jana wielu uczniów „wycofało się i już z Nim nie chodziło” (J 6, 66), ponieważ nie rozumiało nauki Jezusa. On sam pozwala im odejść, bo jeszcze nie nadszedł dla nich właściwy czas. Podobnie ze smutkiem odchodzi bogaty młodzieniec, który wprowadził jeszcze uczniem nie był. Pomimo wielkich pragnień nie był jeszcze gotów, aby zrezygnować z tego, do czego się przywiązał. Ale Jezus go nie potępił. „Spojrzał na niego z miłością” (Mk 10, 21). Dał mu potrzebny czas. Na drodze do Emaus Zmartwychwstały przyłącza się do dwóch uczniów, którzy też opuścili wspólnotę w Jerozolimie i wracają do domu, bo ich oczekiwania i zaangażowanie zostały zawiedzione (por. Łk 24, 21). Jezus towarzyszy odchodzącym. Słucha ich, rozmawia, wyjaśnia i sprawia, że w środku nocy wybierają się do Miasta Świętego.

Trudno łączyć te trzy rodzaje odejść z tym, co dzisiaj uważamy za apostazję. Natomiast w Ewangelii według św. Mateusza pojawia się inny i „niewygodny” fragment, dotyczący wspólnoty Kościoła, który pasuje do dzisiejszej sytuacji wielu odchodzących. Jezus w ostrych jak skalpel słowach przestrzega uczniów przed tym, aby nie stali się „powodem grzechu dla jednego z tych małych” (Mt 18, 6). Po czym opowiada przypowieść o szukaniu zabłąkanej owcy. Oczywiście jest nią zraniony przez zgorzenie wspólnoty brat lub siostra. Co prawda Jezus w tych, którzy się

i upada w sieci powiązań. Nie wschodzi na pustyni ani nie spada z nieba. Dziś nie tylko różne gałęzie nauki coraz bardziej odkrywają, jak bardzo jesteśmy uwarunkowani. Tylko legalizm, w wersji świeckiej bądź religijnej, nie przejmując się okolicznościami, intencjami ani całym mnóstwem innych czynników krępujących ludzką wolność. Tu wystarcza sam delikt. W istocie coraz trudniej zdefiniować, gdzie tak naprawdę wydarza się nasza wolność. Czy da się w ogóle „wydestylować” czystą wolność? Odnoszę wrażenie, że jeszcze wiele przed nami w kwestii różnych współzależności między jednostką a grupą oraz ich wpływu na decyzje poszczególnych osób.

Grzech wspólny

Chyba nie wyciągnęliśmy jeszcze wszystkich wniosków ze starożytnej doktryny grzechu pierworodnego, która z mocą podkreśla, że nie wszystko, co czynimy, wypływa z naszego chcenia lub niechcenia. W Katechizmie czytamy, że „grzech pierworodny jest nazywany »grzechem« w sposób analogiczny; jest grzechem »zaciągniętym«, a nie »popelnionym« (...). Chociaż jest grzechem własnym każdego, to jednak w żadnym potomku nie ma on charakteru winy osobistej” (KKK, 404-405). Interesujące. Grzech pierworodny nie jest moją winą, jest „wspólnym” obciążeniem, a równocześnie jest częścią mnie.

→ odłączyli, widzi zagubione owce, ale jednak nadal nazywa ich owcami, nie wilkami. Wyraźnie wiąże odpowiedzialność za ich odejście ze stada z tym, co się stało we wspólnocie. Mocne słowa padają pod adresem gorszycieli, a nie tych, którzy zostali zgorszeni. Co więcej, Jezus podaje środki zaradcze: każe upominać gorszących i przebaczać. Ale jest to możliwe wtedy, jeśli „uda się owcę odnaleźć” (por. Mt 18, 13).

Martwimy się i liczymy osoby, które wstąpiły lub nie do seminariów i zgromadzeń zakonnych, ale niemal zupełnie przemilczamy, a może nawet ukrywamy dane dotyczące tych, którzy występują. A jest ich coraz więcej. Młodszych i starszych. Najczęściej instytucja zrzuca winę na tych, którzy „nie mieli powołania”. Św. Teresa z Lisieux wspomina, jak to jedna z jej przełożonych „ćwiczyła ją” w posłuszeństwie. Kazała jej całować podłogę nie za karę, ale żeby „wypróbować” jej pokorę. W rzeczywistości było to dręczenie i upokarzanie, nadużywanie władzy, co zresztą potwierdziły siostry zeznające w procesie beatyfikacyjnym. Owszem, część problemu należy przypisać niedojrzałości konkretnej przełożonej, ale jej kompleksy wspierane były przez panujące podówczas wyobrażenie o świętości, dyscyplinie i samym Bogu.

Solidarność z grzesznikiem

Nie mam złudzeń. Wśród odchodzących z zakonów, z kapłaństwa czy w ogóle z Kościoła są takie osoby, które na skutek własnych zaniedbań się zagubiły. Ale są i tacy, których pierwotny zapal i powołanie zo-

Mamy różną wrażliwość psychiczną i moralną.

To, co dla jednego będzie do zniesienia, dla drugiego będzie ponad siły.

stały zniszczone bądź poważnie zranione przez chory kościelny lub zakonny system, który usprawiedliwia się wysokich lotów duchowością i bezpośrednim dostępem do Bożej woli. Oni po prostu nie wytrzymali. I ja ich rozumiem. Nie wspięli się na wyżyny świętości, by znieść wszystko „z miłości do Pana”. Wydaje mi się, że nadszedł czas, kiedy już sama Opatrzność nie może patrzeć na to, co się w niektórych miejscach wyrabia z Bożą wolą, jak łamie się nią ludzi, przymusza i poniża.

Można twierdzić, że skoro Kościół jest domem, to właśnie z tego powodu nie powinno się go opuszczać, a raczej przyjmować razem z tym, co w nim brudne, głupie i odpychające. Czy jednak nie istnieją tutaj pewne granice? A co jeśli człowiek przekroczy już tolerancję bólu? Czy w imię wierności małżeństwu i rodzinie powinno się w nim trwać za wszelką cenę, nawet jeśli człowiek czuje się poniżany, unieważniany i maltretowany? Jasne, można zmienić parafię, słuchać innych kazań, znaleźć lepszego spowiednika. Chodzi tu jednak o relację do Kościoła jako takiego i o zranienie tego, co

w osobach odchodzących jest częścią ich społecznej tożsamości.

A teologia? Czy jej treść nie przyczynia się czasem do gorszenia się tym, że inni nie gorszą się już złem? Weźmy dla przykładu wielowiekowe nauczanie, że prezbiter po święceniach doznaje zmiany ontologicznej i staje się drugim Chrystusem. Jest wprawdzie z ludu wzięty, ale już na skutek włożenia rąk biskupa *de facto* nie dla ludu, lecz „naprzeciw” lub „ponad nim”. Jeśli tak wyniesie się wyświęconego, to trudno się dziwić, że dość powszechną reakcją na skandale z udziałem duchownych jest wyparcie, rozpaczliwa obrona *status quo* czy pomniejszanie ofiar nadużyć.

Dość powiedzieć, że w najnowszym dokumencie „Droga formacji prezbiterów w Polsce”, skądinąd bardzo sensownym, nadal czytamy, że „owocem święceń jest nowa, nieutralna tożsamość, związana z charakterem sakramentalnym”. Ta nowa tożsamość wszczepia prezbitera „w Chrystusa i w Kościół”, jakby nie wydarzyło się to już na chrzcie świętym albo było wtedy czymś gorszym niż święcenia. Jeśli nadto będzie się tę tożsamość rozumiało w duchu starotestamentalnym, gdzie kapłani i lewici byli oddzieleni od reszty do świętych czynności, to mamy prostą receptę na dalszy ciąg klerykalizmu oraz podziału na „księży i ludzi”. Jedyne pismo Nowego Testamentu, które poświęcone jest kapłaństwu Chrystusa, czyli List do Hebrajczyków, definiuje bycie kapłanem nie przez oddzielenie od ludzi, lecz przeciwnie: przez solidarność z grzesznikami i współczucie. Jezusa nazywa się tam bratem i zarazem arcykapłanem, który stał się nim przyjmując człowieczeństwo i śmierć na krzyżu. W imię fałszywie rozumianego kapłaństwa nadal można ranić wiele osób, gorszyć je i tłumaczyć, że nie rozumieją teologii Kościoła oraz powagi urzędowego kapłaństwa.

Niestety, Kościół do zmian zmuszają często „ciosy historii” (Congar). Kto wie, czy jednym z nich nie jest obecna fala publicznych i skrytych apostazji. Pytanie tylko, czy wyciągniemy z tego kolejnego porania Kościoła odpowiednie wnioski i poczynimy właściwe kroki. Wciąż mam nadzieję, że jest to możliwe.

© DARIUSZ PIÓRKOWSKI SJ

Autor (ur. 1976) jest jezuitą, rekolekcjonistą i duszpasterzem. Autor książek o duchowości. Mieszka w Krakowie.

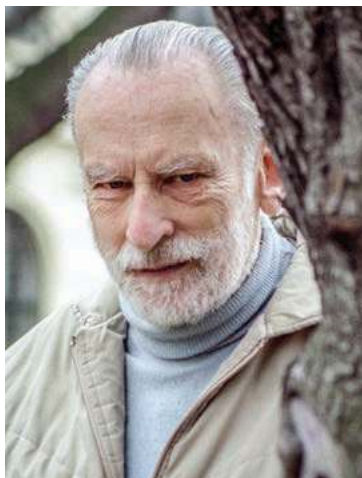
W dziesiątą rocznicę śmierci

prof. Jacka Woźniakowskiego

będziemy się modlić w Jego intencji
i w intencji spraw Jemu bliskich
w kościele św. Marka w Krakowie
w piątek 2 grudnia
o godzinie 16:00
podczas Mszy św., którą odprawi
ks. prof. Robert Woźniak.

Później zapraszamy na ul. Pijarską 5,
gdzie pod tablicą pamiątkową
zapalimy świece

Róża Thun, Henryk Woźniakowski



OGŁOSZENIE

W imię Boga

MARTA ZDZIEBORSKA

W USA rośnie ruch chrześcijańskich nacjonalistów, którzy dążą do zniesienia rozdziału Kościoła od państwa. Korzystają na tym niektórzy prawicowi politycy.

CASEY, ŻONA GUBERNATORA FLORYDY Rona DeSantisa, jest tego pewna: Bóg ósmego dnia stworzył jej męża jako „wojownika”, który ma obronić Amerykę. To nie żart, ale treść reklamy wyemitowanej przed wyborami 8 listopada, w których wyłoniono członków Izby Reprezentantów, jedną trzecią Senatu oraz kluczowych urzędników w administracjach stanowych.

Polityków posługujących się podobną retoryką, co żona DeSantisa, było więcej: kongresmenka Lauren Boebert i walczący o urząd gubernatora Pensylwanii Doug Mastriano wykrzykiwali, że konstytucyjny rozdział Kościoła od państwa jest „głupotą” i „mitem”. Oliwy do ognia dolewała kongresmenka Marjorie Taylor Greene: przypięła sobie łatkę „chrześcijańskiej nacjonalistki” i przekonywała, że jest za to atakowana przez „bezbożną lewicę”. „Oni pokazali, kim tak naprawdę są. Nienawidzą Ameryki, nienawidzą Boga i nienawidzą nas” – wypisywała na Twitterze.

Jezus 2020

Choć część kandydatów, jak np. Doug Mastriano, poniosła w tych wyborach porażkę, tegoroczna kampania pokazała, że amerykańska prawica chce zbijać kapitał polityczny na „chrześcijańskim nacjonalizmie”. Wizja zwolenników tego nurtu jest prosta. Ameryka powinna być narodem oficjalnie chrześcijańskim, a obowiązkiem rządu federalnego jest promowanie religijnych wartości. Niektórzy uważają wręcz, że Stany Zjednoczone zostały wybrane przez Boga, a ich zadaniem jest obrona amerykańskiej tożsamości, nawet jeśli w grę wchodzi użycie przemocy.

Zwolennikami „wojowniczego” nurtu są m.in. członkowie ruchu Nowej Refor-



DAVID MCNEW / GETTY IMAGES

Grupa chrześcijan ewangelikanych na marszu „White Lives Matter”, Huntington Beach, Kalifornia, kwiecień 2021 r.

macji Apostolskiej (NAR), który głosi „teologię dominionizmu”. Według niej Bóg zesłał do Stanów Zjednoczonych apostołów i proroków, by ci zwalczali demony, jakie owładnęły światem. W tym celu wybrańcy mają zdobyć „siedem gór”, czyli siedem sfer kluczowych dla życia politycznego i społecznego.

Liderów ruchu NAR, wywodzącego się z nurtu charyzmatycznego i zielonoświątkowego, nie zabrakło przed szturmem na Kapitol 6 stycznia 2021 r. Na dzień przed zamieszkami, które miały „odkręcić” wynik wyborów prezydenckich, grupa chrześcijańskich nacjonalistów zorganizowała w Waszyngtonie marsz nawiązujący do biblijnego oblężenia Jerycha. Okrążając budynki Kapitolu, aktywiści dęli w trąby i śpiewali pieśń o słowach: „Jak wspaniały jest nasz Bóg”.

Nawiązania do religii chrześcijańskiej pojawiły się również w dniu waszyngtońskich zamieszek: w tłumie zwolenników Donalda Trumpa roiło się od krzyży i flag z napisami „Jezus zbawia”, „Jezus 2020” i „Uczyńmy Amerykę Znow Pobożną”. W sieci krążyły liczne nagrania: na jednym z nich widać kwiaciarkę z Teksasu, która wykrzykiwała, że „Bóg i państwo

to dla niej nierozdzielna jedność”. „Zbudowaliśmy ten kraj na chrześcijańskich fundamentach i zobaczcie, jak bardzo od tego odeszliśmy. Jeśli nie odzyskamy naszego boskiego kraju, nic nie będzie miało znaczenia” – grzmiała kobieta podczas szturm na Kapitol.

Tej retoryki używał również mający powiązania z ruchem NAR Doug Mastriano. Podczas spotkania online Mastriano pod koniec grudnia 2020 r. krytykował lokalnych polityków za niezablokowanie certyfikacji wyników wyborczych w Pensylwanii, gdzie zwyciężył Joe Biden. „Boże, pomóż nam przetrwać te mroczne czasy. Pójdziemy w ślady Gedeona i królowej Estery. Weźmiemy odpowiedzialność za republikę i nie będziemy się wahać” – grzmiał Mastriano, odnosząc się do dwóch postaci biblijnych, które uciekły się do przemocy, gdy w grę wchodziło dobro Izraelitów.

Trump wybawca

Pamiętnego 6 stycznia jako obrońca chrześcijańskich wartości jawił się Donald Trump, który podczas swojej prezydentury nominował do Sądu Najwyższego trzech konserwatywnych sędziów. ➔

→ Tym ruchem zabetonował ideowy układ sił i utorował drogę do przełomowego werdyktu, który w czerwcu zniósł konstytucyjne prawo do aborcji. Ostatnie miesiące przyniosły także serię innych decyzji z entuzjazmem przyjętych przez chrześcijańskich nacjonalistów. Głośnych echem odbił się wyrok ws. Josepha Kennedy'ego, licealnego trenera drużyny futbolu amerykańskiego. Sędziowska większość – w tym trzech sędziów nominowanych przez Trumpa – uznała, że mężczyzna miał prawo do odmawiania modlitwy po każdym meczu i dyrektora szkoły nie powinna go za to zwalniać. Sąd tym samym podważył obowiązującą w szkołach publicznych zasadę neutralności światopoglądowej i stwierdził, że wypowiedzenie umowy mężczyźnie było „przejawem wrogości wobec religii”.

Powodem do świętowania był również dla amerykańskiej prawicy wyrok ws. dofinansowywania prywatnych szkół religijnych. Sąd uznał, że władze stanu Maine nie miały prawa odmówić wsparcia dla rodziców uczennicy szkoły katolickiej. Po tym wyroku pozostająca w mniejszości sędzia Sonia Sotomayor grzmiała, że jej koledzy „rozmontowują mur między Kościołem a państwem”, gwarantowany przez pierwszą poprawkę do konstytucji. „W ciągu zaledwie kilku lat sąd odszedł od konstytucyjnej doktryny zezwalającej stanom na odmowę dofinansowywania dla organizacji religijnych. Zamiast tego zmusza się władze do subsydiowania indoktrynacji z pieniędzy podatników” – podkreślała Sotomayor.

Diabelskie moce

Skret w prawo Sądu Najwyższego idzie w parze z radykalizacją w szeregach Partii Republikańskiej. Widać to było nie tylko podczas szturm na Kapitol i tegorocznej kampanii przed wyborami do Kongresu. Wielbicielem retoryki wpisującej się w nurt chrześcijańskiego nacjonalizmu od dawna jest Ron DeSantis, który koncertowo wygrał bój o gubernatorską reelekcję, zdobywając 19 proc. przewagi nad swoim rywalem. Polityk podczas swoich rządów niejednokrotnie zagroził Amerykanów, by ci zbroili się duchowo przeciwko „diabelskim mocom”, czyli liberalnym wartościom.

Gubernator sam konsekwentnie z nimi walczy: w marcu tego roku podpisał ustawę „Don't Say Gay” („Nie mów o gejach”), która zabrania omawiania w szkołach kwestii związanych z orientacją seksualną i tożsamością płciową. Polityk próbuje również przeforsować w szkołach teorię, jakoby amerykańscy ojcowie założyciele nie popierali rozdziału Kościoła od państwa. DeSantis nie jest w tej walce osamotniony. Gubernatorzy innych republikańskich stanów od lat prześcigają się we wprowadzaniu „prochrześcijańskich” przepisów, takich jak np. nakaz zamieszczania hasła „In God We Trust” („Ufamy Bogu”) na budynkach administracji publicznej, a nawet na tablicach rejestracyjnych.

Politycy inspirowani są przy tym podręcznikiem wydanym przez koalicję Project Blitz. Chrześcijańscy nacjonaści zaproponowali w nim 20 modelowych pro-

jektów ustaw forsujących wizję Ameryki, w której w imię wolności religijnej można dyskryminować osoby LGBT, a w szkołach publicznych studiuje się Biblię i wywiesza na ścianach tekst Dekalogu. Jak wskazują eksperci, narodowe motto Stanów Zjednoczonych stało się wygodnym orężem do walki nie tylko z ruchem LGBT, ale także imigrantami i wszelkimi innymi „siłami” zagrażającymi wizji chrześcijańskiego narodu.

Już ponad 150 lat temu gniew religijnej prawicy dosięgnął nawet ojców założycieli, którzy rzekomo popełnili „śmiertelny grzech”, nie umieszczając w konstytucji zapisu o „narodzie chrześcijańskim”. W 1863 r. z propozycją stosownej poprawki wystąpił prezbyterianin John Alexander: chciał, by ustawa zasadnicza mówiła o zwierzchnictwie Chrystusa i prymacie prawa boskiego nad ziemskim. Alexandrowi się nie udało, ale przetarł szlaki dla tych, którzy wierzą, że w Ameryce można jeszcze zatrzymać postępującą sekularyzację społeczeństwa. Jeśli wierzyć sondażom, to wcale nie jest taka mała grupa. Według badania na zlecenie Politico aż 61 proc. republikańskich respondentów deklaruje, że poparłoby formalne ogłoszenie Ameryki chrześcijańskim narodem, nawet jeśli jest to niekonstytucyjne. Jak widać, w kraju, gdzie rozwścieczony tłum wdziera się do budynku Kapitol, niekonstytucyjność nieważne drugorzędne znaczenie.

© MARTA ZDZIEBORSKA

Autorka jest dziennikarką „Press”.

Zapraszamy na spotkania Klubów „Tygodnika Powszechnego”

REZERWUJ
CZAS!

- **KATOWICE**, poniedziałek 5 grudnia, spotkanie z z autorami książki „Królik po islandzku”: Grzegorzem Kasdepkem i Hubertem Klimko-Dobrzanieckim / hybrydowe /
- **POZNAŃ**, wtorek 6 grudnia, spotkanie z Filipem Białym, „Jak mierzyć się z dezinformacją w epoce sztucznej inteligencji?” / hybrydowe /
- **RZESZÓW**, poniedziałek 5 grudnia, spotkanie z Katarzyną Pyc, „Tradycje świąteczne Podkarpacia” / stacjonarne /
- **TRÓJMIASTO**, środa 7 grudnia, spotkanie z dr hab. Anną Kłonkowską i Magdaleną Pilecką, „Codziennosc osób LGBT+ w Polsce” / stacjonarne /
- **OGÓLNOKLUBOWE**, poniedziałek 5 grudnia, spotkanie dyskusyjne wokół książki Tomáša Halíka „Popołudnie chrześcijaństwa” – rozdział „Czytać znaki czasu”, cykl „Wspólne czytanie” / online /
- **SŁUPSK**, czwartek 8 grudnia, spotkanie integracyjne Klubu „Tygodnika Powszechnego” w Słupsku / stacjonarne /

WOJCIECH

Bonowicz: *Manfred*



„KAZNODZIEJA BYŁ ZE MNIE KIEPSKI I ZANIŻAŁEM poziom w parafii, która uznawana była za taką, gdzie warto przyjść w niedzielę, bo będzie fajna msza i dobre kazanie” – wspomina ks. Manfred Deselaers. „Ktoś mi powiedział, że jak

ludzie na początku liturgii widzieli, że ja wychodzę z zakrystii, w ławkach rozlegał się jęk zawodu”.

Kto tak opowiada o swoich kapłańskich początkach, ma dystans do samego siebie, to pewne. „Widziałem, że jestem rozczarowaniem”, przyznaje w obszernej rozmowie z Piotrem Żyłką opublikowanej w książce „Niemiecki ksiądz u progu Auschwitz”. Co pomogło mu przetrwać trudne chwile? Parafia, do której trafił, miała program aktywizowania bezrobotnych, prowadziła dom dla bezdomnych i dom dla kobiet będących ofiarami przemocy domowej. Kiedy w Polsce wprowadzono stan wojenny, wielu parafian, dawnych mieszkańców Breslau i ich potomków, zaangażowało się w pomoc dla wrocławian. Nawet jeśli młody ksiądz nie miał daru słowa, miał możliwość bycia blisko ludzi, działania razem z nimi.

W 1974 r. po raz pierwszy przyjechał do Auschwitz. Zakwaterowano go w budynku, gdzie kiedyś rejestrowano nowo przybyłych więźniów; w czasach PRL-u był tam niewielki hotel. „Mieszkalem w pokoju z widokiem na bramę wjazdową, druty, baraki i budynki obozu”. Podczas tej wizyty wraz z innymi wolontariuszami kosił trawę na terenie Birkenau. Było w tym, wspomina, coś symbolicznego: chodziło o to, żeby to miejsce nie zarosło, nie pokryło się niepamięcią.

W 1980 r. wrócił, wciąż jako student; jego grupę oprowadzał po obozie były więzień Kazimierz Smoleń. Manfred opowiada, że właściwie niewiele z tej wizyty zapamiętał. Tylko jedno: myśl, że musi coś zrobić. Że wprawdzie nie rozumie, jak to było możliwe, że może rozumie tylko trochę, ale przecież nawet za to „trochę” może wziąć odpowiedzialność. „Moja odpowiedź nie musi być tak wielka, jak wielkie było zło Auschwitz. Ona może być według mojej miary”. Wraz z tą myślą spłynął na niego spokój.

Swoje życie związał z Auschwitz na lata, mieszka w Oświęcimiu również dzisiaj. Dostał zgodę swojego biskupa na przeniesienie się do Polski, zrobił kurs przewodnika. Przyjmuje grupy, które chcą porozmawiać o tym, co stało się w tym miejscu, ale i takie, które chcą „u progu Auschwitz” modlić się czy odbyć rekolekcje. Droga do tego nie była prosta, kardynał Macharski chciał, żeby najpierw zrobił w Krakowie doktorat. Z uśmiechem opowiada o tym, jak wspierano go na polskiej uczelni. „Jeśli chodzi o wyciąganie dłoni od delikatnie zagubionego niemieckiego studenta, najdalej szedł ksiądz Tischner, który dawał mi piątki, na które zupełnie nie zasługiwałem. Mówił, że to ocena na zachętę, »ku przyszłości«”.

Doktorat poświęcił osobie Rudolfa Hössa, komendanta Auschwitz. Chociaż bardziej interesowała go perspektywa ofiar, chciał zrozumieć, co takiego stało się w tym człowieku, wychowanym w mieszczańskim, katolickim domu, że był zdolny robić tak potworne rzeczy. „Z niezmierzoną grozą Auschwitz nie uporamy się nigdy, ale to wielkie zło składało się z wielu konkretnych, małych kroków zła”. O tych krokach napisał. Postawił też sobie pytanie o Boga, o jego miejsce w tej historii. I o siebie, o to, co kryje się w nim samym. „Którejś nocy, w okresie, kiedy intensywnie badałem życie komendanta, nagle się obudziłem, usiadłem na łóżku i zrozumiałem, że ja też jestem w stanie zabić. Że zło to jest coś, do czego niestety każdy z nas jest zdolny”.

Manfred działa metodą małych kroków dobra. Nie eksponuje własnej roli, raczej się chowa; to właściwie cud, że zgodził się na zrobienie książki, która opowiada o jego doświadczeniach. Ale te doświadczenia są niepowtarzalne – więc dobrze się stało. Może wiele osób tak tego nie przeżywa, ale dla mnie Auschwitz to coś, co się nie skończyło, i dlatego nie wolno nam stamtąd odejść. Dlatego świadectwo Manfreda jest tak ważne. Jest on jedną z tych osób, które przypominają nam, że cały nasz świat stoi „u progu Auschwitz”. Symbolicznego znaczenia nabiera fakt, że dzień po tym, jak w Moskwie odbyła się promocja jego książki o Hössie, Rosja zaatakowała Ukrainę.

Józef Tischner pisał, że istotą działania etycznego jest odkrywanie „białych plam” nieobecnego dobra i „czarnych plam” obecnego zła. A następnie tworzenie czegoś, co wypełni ową pustkę i przemieni zło w dobro. Wszystko to widzę w działaniach Manfreda i dlatego o nim napisałem. ©

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowy w Jarosławiu I Wydział Cywilny pod sygnaturą akt I Ns 165/22 toczy się postępowanie z wniosku Jana Lis z udziałem Izabeli Woźniak, Barbary Lis, Loli Ackerman i Feigi Gilli Ackerman o stwierdzenie nabycia przez zasiedzenie własności nieruchomości zabudowanej położonej w Jarosławiu, Obręb 4, oznaczonej ewidencyjnie jako działka nr 2458, o powierzchni 0,0563 ha, powstałej na pgr 83, na której po II etapie ewidencji gruntów powstała działka nr 4439, o powierzchni 0,0563 ha, która w wyniku modernizacji ewidencji gruntów miasta Jarosławia, obrębu ewidencyjnego Jarosław, Obręb 4, zmieniła oznaczenie i powierzchnię na działkę nr 2458 o powierzchni 0,0563 ha. Działka stanowiąca parcelę gruntową pgr 83 objęta jest księgą wieczystą nr PR1J/00001012/8 prowadzoną przez V Wydział Ksiąg Wieczystych Sądu Rejonowego w Jarosławiu, w której jako współwłaściciele wpisani są: Lola Ackerman w 520/7776 cz., Feiga Gilla Ackerman w 1040/7776 cz. oraz Michał Lis w 6216/7776 cz.

Wzywa się wszystkie osoby zainteresowane, aby w ciągu 3 miesięcy od dnia ukazania się ogłoszenia zgłosiły się, gdyż w przeciwnym razie Sąd stwierdzi zasiedzenie zgodnie z wnioskiem, jeżeli zostanie ono udowodnione. Sąd jednocześnie zawiadamia, że dla nieznanymi z miejsca pobytu uczestników postępowania Loli Ackerman i Feigi Gilli Ackerman ustanowił celem reprezentowania ich interesów kuratora w osobie adwokata Mirosława Włocha.



CO O PATRIOTYZMIE SĄDZĄ MŁODZI?

MICHAŁ SENK, dyrektor Centrum Myśli Jana Pawła II:

Młodzi Polacy chcą pomagać tym, których postrzegają jako ofiary przemocy i dyskryminacji. Aktywnie włączają się w obronę ich praw i wolności.

GRZEGORZ NUREK: Centrum Myśli Jana Pawła II zainicjowało projekt „Dwa kolory. Między buntem a posłuszeństwem”, którego celem była refleksja nad współczesnym patriotyzmem. Odbłyły się debaty z ekspertami, badania fokusowe wśród nauczycieli i warsztaty dla młodzieży. Jakie elementy patriotyzmu przyciągają, a jakie odstraszają młodych?

MICHAŁ SENK: Patriotyzm jest pojęciem wciąż bliskim młodym ludziom, to określenie się nie zdevaluowało, nie straciło na wartości. W badaniach socjologicznych dotyczących młodych Polek i Polaków rodzina jest na pierwszym miejscu, ale patriotyzm w hierarchii wartości plasuje się wysoko. Przez wielu jest postrzegany jako pojęcie otwarte, czyli można być patriotą odczuwając dumę z bycia Polakiem, ale nie stoi to w kolizji z twierdzeniem „jestem Eu-

ropejczykiem”. Młodzi w większości wydają się odporni na dychotomię „albo my, albo Unia”. Przyciąga ich też możliwość samodzielnego poszukiwania i odkrywania historii, szczególnie historii lokalnej (miasta, regionu).

Podział wśród uczniów na konserwatystów i liberałów stwarza niemałe wyzwanie dla nauczycieli. Jak docierać do tak podzielonej grupy? Niesłuchanie istotne jest, by nauczyciel umiał pokazywać uczniom, że są różne rodzaje patriotyzmu. Nie chodzi o to, by zanudzać historią, ale pokazywać, w jaki sposób oddziałuje ona na współczesność, że np. wiedza o dziedzictwie chrześcijańskim może być kluczem do zrozumienia także współczesnej kultury Europy.

Z raportu Centrum wynika, że dla młodych Polaków ważne są takie wartości, jak wolność, samorozwój, ochrona środowiska,

zgoda na odmiennność. Z jednej strony zaobserwować można narastający proces laicyzacji i odrzucania autorytetów, z drugiej – chęć wstąpienia do Wojsk Obrony Terytorialnej, udział w akcjach dobroczynnych, pomoc uchodźcom, protesty Młodzieżowego Strajku Klimatycznego. Czy dostrzega Pan tendencję do przededefiniowania pojęcia patriotyzmu wśród młodzieży?

Każde pokolenie tworzy swój unikatowy wzorec patriotyzmu. Inaczej łączy przeszłość z marzeniami o przyszłości i możliwościami samorealizacji. Żyjemy w czasach nakładających się na siebie kryzysów (ekonomicznego, ekologicznego, pandemicznego). Młodzi są nimi bezpośrednio dotknięci. Mają poczucie, że od przodków, od pokolenia dziadków i rodziców otrzymują zniszczoną planetę. Nie dziwię się, że się przeciw temu buntują. Szukają autentyczności, chcą pomagać tym, których postrzegają jako ofiary przemocy i dyskryminacji: uchodźcom, osobom LGBTQ. Włączają się w obronę ich praw i wolności. Dostrzegają

kryzys klimatyczny i ostro nań reagują. W Europie w muzeach farbami oblewane są obrazy; jeżeli kolejne szczyty klimatyczne nie przyniosą przełomu, możemy się spodziewać, że takie sytuacje będą częstsze. Trzeba być autentycznym, aby młodych nie stracić. Trzeba umieć się przyznawać do błędów. I nie traktować młodych jako „rozpieszczonych egoistów z pokolenia Z”.

Co Pana najbardziej zaskoczyło w trakcie badań?

Wciąż – mimo wspomnianych wcześniej zastrzeżeń – duże zaufanie do dorosłych. Nawet buntując się, młodzi chcieliby dać się poprowadzić, zaufać komuś, słuchać mądrych głosów. Jako ojciec czwórki dzieci mam przekonanie, że nie mogę zawieść ich zaufania. Dobremu nauczycielowi-wychowawcy młodzi zaufają. Obawiam się tylko, że mogą być też podatni na nowe radykalizmy.

Młodzi są wyczuleni na fałsz i bogoojczyźniany ton, który przyjmuje szkoła. Jeśli patriotyzm, to lokalny – taki jest ko-



Po lewej:
warsztaty
w ramach
projektu
„Dwa kolory”,
październik
2022 r.

Po prawej:
debata
w ramach
projektu
„Dwa kolory”,
Muzeum
Powstania
Warszawskiego,
9 sierpnia
2022 r.

lejnny wniosek z raportu. Czy szkoła powinna rozbudzać postawy patriotyczne? Jeśli tak, to kto miałby to robić: dyrektor szkoły, wychowawca, nauczyciel historii, a może HiT-u?

Jeśli szkoła ma wychowywać, nie może się bać tematów aksjologicznych, mówienia o dobru i złu. Nawet jeśli nie udzieli młodemu odpowiedzi na wszystkie nurtujące ich pytania, może pomóc szukać prawdy samodzielnie, w przyszłości. Patriotyzm kojarzy się nam z lekcjami historii czy HiT-u, a powinien także z lekcjami języka polskiego, etyki czy religii. W promowanie patriotyzmu jako wartości społecznej zaangażowani powinni być wszyscy: rodzice, nauczyciele, społeczeństwo.

Na jakie problemy napotykają nauczyciele w pracy wychowawczej? Publikują Państwo scenariusze lekcji. Najatrakcyjniejszym rozwiązaniem wydaje się nauka w działaniu i ruchu: gry miejskie i dydaktyczne, debaty oksfordzkie, odwiedzanie muzeów, żywe rekonstrukcje dzieł malarskich, np. obrazów Grottgera.

Nauczyciele narzekają na brak zaufania ze strony rodziców uczniów czy też ze strony pomy-

ślodawców nowych przedmiotów. A to przecież głównie nauczyciele mają stały kontakt z młodymi, dostrzegają ich problemy. Pandemia to dwa stracone lata dla rozwoju społecznego młodzieży, pracy zbiorowej, rozwoju relacji. Nauczyciele próbują pomóc młodemu nadrobić te straty. Z badań wyszło nam, że brakuje myślenia o szkole jako długotrwałej inwestycji. Jest dużo bieżącej polityki, a mało refleksji o patriotyzmie przyszłości. Na przykład o tym, że znajomość angielskiego może pomóc w osiągnięciach naukowych. Młodzież musi mieć też szansę wypowiadania się. Oni mówią, ale nie są słuchani.

W jednym ze scenariuszy lekcji znalazłem trzy postacie, które chcieliby Państwo młodzieży przypomnieć: Maria Skłodowska-Curie, Urszula Ledóchowska i Karolina Lanckorońska. Epoka dominacji męskich bohaterów mija? Czas na herstory?

Dziękuję za to pytanie. W moim odczuciu dominacja męskich bohaterów ma się wciąż bardzo dobrze. Nikt na szczęście nie kwestionuje już wyborczych praw kobiet czy ich prawa do studiowania. Musimy jednak nauczyć się dostrzegać, że to właśnie one zajmowały się przez wieki przekazy-

waniem kultury, dbaniem o majątki i rodzinne więzi.

Nasze Centrum przypomina np. działaczkę społeczną Marię Tarnowską, która po powstaniu warszawskim, prowadząc z Niemcami negocjacje, pomogła wielu mieszkańcom Warszawy ewakuować się z miasta, a tym samym przeżyć. Wzorce męskie są bardzo ostre, kierunkowe. A w czasie mocnych podziałów politycznych w kraju potrzeba też wzorców kobiecych. Kobiety mają dar koncyliacji. Z naszej strony internetowej można ściągnąć nieodpłatnie i wydrukować także wystawę „Dwa kolory”. Korzystamy tu z doświadczeń Yad Vashem, które od lat przygotowuje podobne wystawy w formule *ready to print*. Cieszymy się, że kilka plansz poświęconych jest współczesnym patriotkom.

A jak młodzież ocenia Jana Pawła II; jest autorytetem, jak dla starszych pokoleń, czy jego autorytet coraz częściej jest kwestionowany? Pytam o to szczególnie w kontekście wypowiedzi muzyków, młodzieżowych idoli, o chęci apostazji.

Z faktu, że Jan Paweł II był autorytetem dla starszych pokoleń, nie wynika, że musi być autorytetem dla młodych – tu nie ma prostego przełożenia. Młodzi chętnie by posłuchali osobistych relacji; dlaczego dla kogoś papież był autorytetem. Jan Paweł II może

Michał Senk



MARTA ANKERSZTEIN / CWP2 / MATERIAŁY PRASOWE

pomóc wprowadzać w świat aksjologiczny. Papież za młodu miał też marzenia; chciał zostać aktorem, pisarzem. To trzeba przypominać. Co do apostazji – nie generalizowałbym. To zawsze bardzo osobista decyzja.

Centrum Myśli Jana Pawła II kładzie duży nacisk na działania wspierające tolerancję etniczną i religijną. Wśród ostatnich inicjatyw są „Warszawa wielu wyznań” i „Pod wspólnym niebem”.

Różnorodność w Warszawie jest faktem. Mamy różne poglądy, religie, pochodzenie etniczne. Zwłaszcza po 24 lutego 2022 roku, czyli inwazji Rosji na Ukrainę. Zmiany społeczne, które się dokonują w Warszawie, ale i całej Polsce, stanowią niemałe wyzwanie. Powinniśmy umieć rozmawiać, uczyć się siebie nawzajem, szanować inne kultury. Projekt „Pod wspólnym niebem” zamienił dziedziniec naszej kamienicy w salę kinową. Pokazywaliśmy filmy reżyserów z Ukrainy, Indii, Gruzji, Białorusi. Pokazy poprzedzone były wprowadzeniem dotyczącym aktualnej sytuacji społeczno-politycznej w danym kraju.

We współpracy z władzami miasta i wspólnotami religijnymi przygotowujemy informator, który – mamy nadzieję – wesprze mieszkańców Warszawy, a także urzędników czy np. pracowników szpitali, w codziennym kontakcie z osobami mającymi odmienną religijną przynależność, kulturę i wynikające z nich zwyczaje oraz potrzeby.

© Rozmawiał GRZEGORZ NUREK

Materiały projektu „Dwa kolory. Między buntem a posłuszeństwem” są dostępne na stronie centrumjp2.pl/dwa-kolory/. Projekt sfinansowano ze środków Fundacji PZU. Dofinansowano ze środków Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach programu „Patriotyzm jutra”.



JAK STU ŻOŁNIERZY

„Medycyna wojskowa opiera się na trzech zasadach: ocalić, kolejno, życie, kończyny i wzrok”, mówi jeden z lekarzy. W szpitalu polowym nie trzeba czytać wiadomości. Rany pacjentów pokazują, co się dzieje na froncie.

TEKST I ZDJĘCIA **PAWEŁ PIENIAŻEK** Z OBWODU CHERSOŃSKIEGO (UKRAINA)

JEDEN Z LEKARZY PRZYSIADŁ NA NOSZACH. Grupa medyków czekała też przy wejściu. Ten szpital, dawniej cywilny, ze względu na toczącą się wojnę najpierw opustoszał, a następnie zajęły go oddziały medyczne Sił Zbrojnych Ukrainy.

Wcześniej dostali informację, że wiozą do nich kolejnego rannego. Czwórka żołnierzy jechała w kolumnie. Przejechał jeden samochód, drugi wyleciał w powietrze na minie. Dwóch zginęło na miejscu, dwóch odniosło rany.

Przed chwilą przywieziono pierwszego. To młody żołnierz. Posadzili go na wózek, ale w szoku zerwał się z niego i skakał przez korytarz na jednej nodze. Po prośbach pielęgniarki usiadł znowu na wózku i tak dowieźli go na leżankę, gdzie chirurg szykował się do operacji. Szybko wyciągnął odłamek ze stopy i zaszył ją.

Drugi miał przyjechać jego towarzysz. Właśnie na niego czekał wojskowy zespół medyczny. Jak mówi lekarz, 54-letni Rostysław, to najgorszy moment: – Wszystko mi się wtedy ścisza w środku. Nie wiesz, kogo przywiozą ani w jakim stanie. Czy wyjdzie o własnych siłach, czy będziemy potrzebowali noszy.

Gdy podjeżdża karetka, wszyscy się zbiegają. Ranny nie może poruszać się samodzielnie. Ma obandażowane ramię i głowę, do zakrwawionego oka przykłada serwetkę. Lekarze wiozą go prosto do sali operacyjnej.

Punkt stabilizacyjny

Kompania medyczna i brygada lekarska pojawiły się w tej miejscowości na południu Ukrainy niedługo przed odzyskaniem Chersonia przez ukraińskie wojska. To jeden ze szpitali, do którego trafiali ranni żołnierze nacierający w kierunku tego miasta. Medycy proszą, by nie pisać, gdzie dokładnie znajduje się placówka. Zwłaszcza że już raz została ostrzelana – budynek stracił niektóre okna. W ostatnich dniach barykadowano je workami z piaskiem.

Wojskowi z kompanii niosą żołnierza na noszach po ciemnym korytarzu prosto na improwizowaną salę operacyjną. Tu dowodzi Nazar, chirurg wojskowy z wieloletnim stażem, który ze względów bezpieczeństwa nie podaje prawdziwego imienia.

Ranny ma rozcięty lewy policzek, ranę na prawej brwi, podbródku, ramieniu i przedramieniu, a także uraz oka. Dla Nazara i jego zespołu jest to praca niemal mechaniczna. W ciągu niecałych

Lekarze opatrują rannego żołnierza. Szpital polowy w obwodzie chersońskim, listopad 2022 r.



Chirurg wyciąga odłamek, który rozerwał żołnierzowi obojczyk.



W szpitalu przez większą część doby nie ma prądu i ogrzewania. Medycy ogrzewają się przy świecach.



Zespół ratowniczy zabiera rannego żołnierza do sali operacyjnej. Szpital polowy w obwodzie chersońskim, listopad 2022 r.

→ 50 minut powstrzymują krwotok, nakładają prowizoryczne szwy, opatrunki, podają leki przeciwbólowe i antybiotyki. Dzięki temu pacjent jest gotowy do dalszej drogi – do lepiej wyposażonego szpitala, gdzie zajmą się nim specjaliści.

– Medycyna wojskowa opiera się na trzech zasadach: ocalić, kolejno, życie, kończyn i wzrok. Życiu tego pacjenta nic nie zagraża. Kończynom też. Co będzie z jego prawym okiem, nie wiadomo

– jest całe, ale gałka oczna została uszkodzona – mówi Nazar.

I dodaje: – My tutaj tylko zaczynamy. Mamy raptem dwa stoły operacyjne. Brakuje okulisty i narzędzi, którymi moglibyśmy zoperować oko.

Dziewięć lat nauki

Na południu w ostatnich miesiącach front wyjątkowo przyspieszył. Ukraińska armia skutecznie przełamwała rosyjską obronę i nieuchronnie zbliżała się do

Chersonia. Nazar nie musiałby śledzić informacji, by wiedzieć, co się dzieje. Rany, z jakimi przyjeżdżają żołnierze, pokazują charakter działań.

– Jeśli trzymają obronę, a przeciwnik zasypuje ich pociskami, będą mieli głównie rany odłamkowe od ognia artyleryjskiego. W przypadku ataku będą to rany od wybuchów min – wyjaśnia.

Rzeczywiście. W ciągu trzech dni, które spędzam w szpitalu, większość rannych ma rany odłamkowe na nogach, najbardziej charakterystyczny znak zostawiany przez miny. Mają one na celu nie zabicie, lecz zranienie, by oddział musiał pomóc poszkodowanemu i został czasowo wyłączony z działań. Miny są skutecznym spowalniczem nacierających wojsk. Choć większość państw na świecie zobowiązuje się do niestosowania min przeciwpiechotnych (Rosja nie podpisała odpowiedniego traktatu), są powszechnie wykorzystywane.

Jednostki medyczne są za frontem – na tyle blisko, by móc do nich szybko dowozić rannych, ale dostatecznie daleko, by lekarze byli w miarę bezpieczni.

– W razie zagrożenia, jak było tutaj, musimy ocalić ludzi i wycofać do bezpiecznego miejsca. Wojskowego chirurga trzeba uczyć przez dziewięć lat. To duży wydatek dla państwa. Chirurg kosztuje tyle co stu wojskowych, a przecież w trakcie swojej służby może ocalić znacznie więcej żyć niż sto – wyjaśnia Nazar.

Dlatego po ostrzale cała jego jednostka wyjechała, dopóki sytuacja się nie uspokoiła.

Tylko na czas wojny

Ze względu na zasięg tej wojny w strefę frontową wysłano nie tylko lekarzy wojskowych, jak Nazar. Także tych zmobilizowanych, którzy w większości zgłosili się jako ochotnicy w pierwszych dniach po rosyjskiej inwazji 24 lutego.

57-letni Pawło, podobnie jak Nazar, jest chirurgiem. Całe życie pracował w cywilu. Jego specjalizacje to kardiochirurgia i chirurgia urazowa. Po rosyjskim ataku wywiózł wnuczki z miasta Dniepr, we wschodniej części kraju, do Lwowa. Kilka dni chodził do pracy, ale nie było jej zbyt wiele. Męczyło go sumienie, że powinien pomagać na wojnie. Uważał, że tam będzie mógł zrobić więcej, a jego wiedza najbardziej się przyda. Zgłosił się do komisji poborowej, gdzie szybko znaleziono mu przydział.

Jego synowie – 33-letni i 21-letni – zajęli się pomocą wolontariacką, jak wielu Ukraińców w ostatnich miesiącach. Gdy skończy się wojna, Pawło nie chce zostać w armii. Mówi, że wróci do życia cywilnego, gdzie dalej będzie kontynuował pracę w zawodzie.

Dlatego gdy przywieźli rannego z raną odłamkową nad klatką piersiową, Pawło sprawnie się nim zajął. Przemysł, znieczulił, wyciągnął odłamek, który utkwił w ra-

– Jego życiu nic nie zagraża, ale czeka go długa rehabilitacja. Przynajmniej półtora miesiąca – mówi Pawło. – Ma rozdrobioną kość obojczykową.

Drugiego dnia wojny zgłosiła się jako ochotniczka. Pochodzi ze wsi w obwodzie czerkaskim, gdzie dołączyła do obrony terytorialnej. Gotowała, udzielała pomocy medycznej. Robili stazy z tkaniny i im-

Wychwała w nich ukraińskich żołnierzy i wyczekuje upragnionego pokoju, by już nikogo więcej z frontu nie przywozili. ©

Warszawa
ul. Trębacka 3
tel. 22 827 96 08
ksiegarnia@wiesz.pl
wydawnictwo.wiesz.pl

Bracia na zawsze?

MARTA SZPALA Z BELGRADU

Zdawało się, że atak Rosji na Ukrainę to kres balansowania Serbii między Wschodem a Zachodem. Jednak jej prezydent wciąż unika wprowadzenia sankcji – i zarazem utrzymuje z Zachodem bliskie relacje.

TO MIASTO WYRAŹNIE ODRÓŻNIA SIĘ OD innych europejskich stolic. W Belgradzie nie widać ukraińskich flag (chyba że na budynkach zachodnich ambasad). Są za to murale z Putinem i nieślawną literą „Z”, symbolem inwazji na Ukrainę. Nad jednym z największych placów góruje ogromny billboard z rosyjską i serbską flagą oraz hasłem „Razem”, sponsorowany przez firmę Gazpromnieft.

Od czasu do czasu ktoś oblewa farbą prorosyjskie hasła i obrazy. To nieliczne symbole wylomu w dominującej narracji, że Serbia w tej wojnie kibicuje Rosji. Choć oficjalnie władze wolą mówić o neutralności, jest to neutralność z wyraźnym wskazaniem na Moskwę.

W kawiarniach i na deptakach często słyszy się rosyjski. Młode, dobrze ubrane małżeństwa spacerują z dziećmi. Należą do grupy ponad 100 tys. Rosjan, głównie z klasy średniej, wykształconych specjalistów (często z branży IT), którzy znaleźli tu schronienie. Bądź co bądź w jednym z niewielu krajów Europy wciąż witają Rosjan przyjaźnie.

„Ukraina zaatakowała”

Nikt, kto na co dzień śledzi serbskie media, raczej nie był zaskoczony reakcją Serbów na rosyjską inwazję. Na długo przed jej początkiem prezentowały one głównie informacje o Rosjanach rzekomo prześladowanych przez rząd w Kijowie, który często określano jako „nazistowski”. Jako że tradycja walki z nazizmem wciąż jest w Serbii żywa, takie zarzuty kształtowały bardzo negatywny obraz Ukrainy. Kulminacją kampanii medialnej były doniesienia prorządowych tabloidów z 24 lutego, że to Ukraina zaatakowała Rosję.

Jak mówi mi Vuk Vuksanović, analityk z Belgradzkiego Centrum Polityki Bezpieczeństwa, błędem Zachodu jest

uznawanie, że źródłem prorosyjskiej narracji w Serbii są media powiązane z Rosją. Owszem, działa tu lokalna wersja rosyjskiej rządowej agencji Sputnik, a w listopadzie miał zacząć nadawanie serbskojęzyczny kanał telewizyjny RT Balkan. Jednak to nie one są największym problemem, lecz powiązane z rządem serbskie media – szczególnie tabloidy i telewizja.

Tym bardziej że to niemal wyłącznie one docierają z przekazem do większości Serbów. I to one są najbardziej skutecznym narzędziem prorosyjskiej propagandy – uważa Vuksanović. Zresztą nie tylko w Serbii, ale w całym regionie, gdzie ludzie używają zbliżonych języków. Według badań serbskiego Centrum Wolnych Wyborów i Demokracji w mediach głównego nurtu nie ma żadnych krytycznych doniesień o Rosji, nie odnotowano też żadnej wypowiedzi przedstawicieli elit rządzących negatywnie odnoszących się do Moskwy. Jest ona przedstawiana jako najwierniejszy sojusznik Belgradu – jedyny (może obok Chin) obrońca narodowych interesów Serbii, szczególnie w kontekście Kosowa.

To Zachód walczy z Rosją

Prorosyjska narracja nakłada się na antyzachodnie sentymenty, wynikające z pamięci o bombardowaniach Serbii przez NATO w 1999 r. w związku z kryzysem w Kosowie, a także na poczucie, że to konflikt między mocarstwami kształtuje porządek międzynarodowy.

W związku z tym znaczna część społeczeństwa obwinia Stany Zjednoczone, a czasami także Wielką Brytanię o wybuch tej wojny. Ukraina ma być tylko bezwolnym narzędziem w rękach Waszyngtonu, który chce osłabić swojego głównego rywala w Europie i ograniczyć rosyjską sferę wpływów.



Rosja, jak mówi mi Nikola Burazer – dyrektor programowy w Centrum Polityki Współczesnej – jest konsekwentnie prezentowana w mediach jako strona broniąca się i chroniąca Rosjan przed wrogimi zakusami Kijowa. Jednocześnie, jak zaznacza Burazer, w Serbii nie ma antyukraińskich nastrojów. Zarówno Ukraina, jak i Rosja są postrzegane jako ofiary Zachodu, który poświęcił Kijów dla realizacji własnych interesów. Jeśli po stronie ukraińskiej ktoś jest winny, to prezydent Wołodymyr Zełenski – przez serbskie tabloidy określany czasem jako psychopata, który wciągnął swój naród w wojnę. Takie postrzeganie jest bliskie wielu Serbom, którzy też mają poczucie, że Slobodan Milošević wciągnął ich w konflikty w Bośni i Hercegowinie, Chorwacji czy Kosowie.

Dodatkowo Zachodowi zarzuca się hipokryzję. W przypadku Kosowa opowiedział się on po stronie Prisztiny, tej byłej serbskiej prowincji zamieszkałej przez Albańczyków dążących do niepodległości – tak komentują mieszkańcy Belgradu, z którymi rozmawiam. Było to pogwałcenie integralności terytorialnej Serbii –

Belgrad, czerwiec 2022 r.

Balansowanie

Wzmacnianie prorosyjskich sentymentów w społeczeństwie ułatwiało władzom w Belgradzie prowadzenie polityki balansowania. Na długo przed obecną odśłoną konfliktu w Ukrainie, w przypadku nacisków na osłabienie współpracy z Rosją prezydent Vučić powoływał się na nastroje społeczne. Pozwalało mu to gospodarczo integrować się z Zachodem, a jednocześnie czerpać korzyści ze współpracy z Rosją (i z Chinami).

Te bliskie relacje z Moskwą i Pekinem były także straszkami wobec Unii czy USA, że w razie zbyt mocnych nacisków w kwestii praworządności i innych standardów demokratycznych Serbia zawsze ma alternatywę dla integracji z Unią (na ile realną, to już inna kwestia). Jednocześnie Vučić mógł się prezentować na salonach europejskich jako jedyny gwarant zachodniego kursu Serbii, co zapewniało mu poparcie państw Unii.

Wydawało się, że po inwazji na Ukrainę taka polityka nie będzie już możliwa, a Serbia będzie musiała zdecydować, czy chce być częścią Zachodu czy nie. Państwa Unii domagały się od Belgradu i innych sojuszników, by przyłączyli się do sankcji i izolacji Moskwy. Jednak Serbii wciąż udaje się unikać podjęcia ostatecznej decyzji.

Gra na czas

W pierwszym miesiącu inwazji Vučić uratowały zaplanowane na 3 kwietnia wybory, a Zachód przyjął jego argumentację, że wprowadzenie sankcji przyczyni się do dobrego wyniku partii prorosyjskich. Później wybory w kilku lokalach powtarzano pięciokrotnie, co uniemożliwiało ukonstytuowanie się parlamentu. Gdy już udało się to osiągnąć, przeciągano proces tworzenia nowego rządu, a przecież rząd techniczny nie mógł podejmować tak ważnych decyzji – choć jest tajemnicą poliszynela, że wszystkie decyzje podejmuje sam Vučić. Wprawdzie kompetencje głowy państwa są bardzo ograniczone, ale rząd zajmuje się jedynie wdrażaniem jego postanowień, a ministrowie nie mają żadnej mocy sprawczej.

Rząd ostatecznie powołał w październiku – w ostatnim możliwym konstytucyjnym terminie. Jego skład sugeruje, że polityka balansowania będzie



ZORANA JEVTIĆ / REUTERS / FORUM

dodają. Natomiast gdy Rosja – w ich rozumieniu – zrobiła to samo, została objęta sankcjami.

Emocje każą więc Serbom solidaryzować się z Rosją, która dokonuje niejako zemsty na Zachodzie za jego politykę wobec Belgradu w latach 90. XX w. Stąd niechęć znacznej części społeczeństwa, by podejmować jakiegokolwiek wrogi wobec Rosji działania.

Sankcjom mówimy „nie!”

Według sondaży wprowadzeniu sankcji wobec Rosji sprzeciwia się 81 proc. społeczeństwa. To główna wymówka prezydenta Aleksandra Vučića wobec Unii Europejskiej. A Unia domaga się, by Belgrad, będący kandydatem do UE i negocjujący warunki członkostwa, działał solidarnie z Zachodem.

Postawy takie wynikają nie tylko z sympatii wobec Rosji, ale może nawet w większym stopniu z pamięci o 10 latach życia pod sankcjami Zachodu. Milan z Belgradu też jest przeciwny: uważa, że władza zawsze się wyżywi, a ludzie z nią powiązani mogą na tym nieźle za-

robić, przemycając niedostępne oficjalnie dobra. Najbardziej cierpią natomiast zwykli ludzie, a i tak nic to nie zmienia – w przypadku Serbii sankcje nie przyniosły żadnego efektu i nie osłabiły reżimu Miloševića, a więc Rosji tym bardziej nie złamią.

Choć Belgrad nie przyłączył się do sankcji, to ich skutki boleśnie go dotykają. Geografii się nie oszuka, a Serbia jest otoczona przez państwa należące do Unii i NATO. Wprawdzie serbski eksport do Rosji w 2022 r. nieznacznie wzrósł (stanowi ok. 4 proc. ogółu eksportu), ale handel z Rosją jest mocno utrudniony.

Serbska rafineria należąca do Gazpromu została odcięta od rosyjskiej ropy, bo nie można jej przesyłać przez rurociąg biegnący przez Chorwację. Serbia nie ma też taryfy ulgowej, jeśli idzie o ceny rosyjskich surowców, które prawdopodobnie wzrosły nawet dwukrotnie. Rosyjski Sberbank wycofał się z serbskiego rynku. W czerwcu wizytę w Serbii chciał złożyć szef MSZ Rosji Siergiej Ławrow, ale państwa unijne nie zgodziły się na przelot jego samolotu i musiała zostać odwołana.

→ kontynuowana. Z jednej strony pozbyto się największym prorosyjskich harcowników (np. szefa MSW Aleksandra Vulina; na pocieszenie otrzymał funkcję szefa tajnych służb, może nawet ważniejszą), ale w nowym rządzie nie znalazły się też osoby postrzegane jako proamerykańskie. Jednocześnie szefem MSZ został Ivica Dačić, reprezentujący partię strzegącą interesów Moskwy w serbskim sektorze energetycznym, (w dużej mierze jest on pod kontrolą Rosjan). Na użytek Zachodu na stanowisko ministra ds. integracji z Unią powołano jedną z najlepszych specjalistek w tej dziedzinie w Serbii, ale jej wpływ na politykę rządu będzie ograniczony.

Tak czy inaczej wydawało się, że czas jakichś decyzji wreszcie nadszedł. Tymczasem, jak zwykle w takich sytuacjach, ratunkiem dla serbskich polityków stał się wzrost napięcia z Kosowem dotyczący tablic rejestracyjnych (do tej kwestii jeszcze wrócimy).

Wymierne korzyści...

Wizerunek kraju przychylnego Rosji sprawił, że po 24 lutego całe rosyjskie firmy z branży nowych technologii na gwałt przenosiły się do Belgradu, by uniknąć sankcji (m.in. Yandex, zwana rosyjskim Google'em).

Dla przewoźnika Air Serbia była to okazja do dodatkowego zarobku, bo jako jedna z niewielu linii wciąż może obsługuwać rosyjski rynek (to kolejna zaleta neutralności). Liczbę połączeń z Moskwą zwiększono do trzech dziennie, a linię obsługiwały największe samoloty. Cena biletu w jedną stronę w pewnym momencie osiągnęła niebotyczny poziom 2 tys. dolarów. Pod presją Unii ostatecznie powrócono do jednego samolotu dziennie, ale ceny pozostały wysokie.

Rosną też ceny wynajmu i zakupu nieruchomości w Belgradzie i innych miastach – Nowym Sadzie czy Suboticy. Znaalezienie kawalerki w stolicy poniżej 600 euro graniczy z cudem (tyle mniej więcej wynosi średnia pensja na rękę). Podobno sześć na osiem sprzedawanych mieszkań kupują Rosjanie, i to za gotówkę.

Na razie jednak nikt nie narzeka, że studenci i biedniejsza część społeczeństwa nie mają gdzie mieszkać – większość liczy na zarobek. Bo Rosjanie to imigranci niekłopotliwi: dysponują dużą gotówką, którą wydają w sklepach i restauracjach. W środowiskach skrajnie nacjonalistycz-

Serbowie mają nadzieję, że nowi rosyjscy imigranci przyczynią się, jak sto lat temu,

do rozwoju nowoczesnych gałęzi przemysłu.

nych pojawiają się pojedyncze głosy, że przybysze to zdrajcy Rosji, ale Serbowie, którzy sami masowo uciekali przed poborem w latach 90., mają dla nich dużo wyrozumiałości.

...i wielkie nadzieje

Z tą nową rosyjską imigracją Serbowie wiążą nadzieje na przyspieszenie rozwoju kraju i przyciągnięcie inwestycji z branży nowych technologii.

Serbowie mają bowiem bardzo dobre doświadczenia z rosyjską imigracją. Po rewolucji bolszewickiej trafiło tu ponad 40 tys. „białych” Rosjan – głównie inteligencja i arystokracja. Przyczynili się do rozwoju młodego Królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców – państwa głównie rolniczego, z wysokim analfabetyzmem, które straciło sporą część ludności w trakcie I wojny światowej. Do dziś pamięta się o wkładzie rosyjskich artystów w rozwój serbskiej kultury, o placówkach edukacyjnych kształcących młode elity czy o architekturach, których dzieła można wciąż podziwiać.

Serbowie zakładają, że dziś – tak jak sto lat temu – rosyjscy specjaliści przyczynią się do rozwoju nowoczesnych gałęzi przemysłu. Czy tak się stanie, trudno powiedzieć. Nie wiadomo, czy przyzwyczajeni do wysokiego poziomu życia Rosjanie nie będą chcieli pojechać dalej na Zachód. Na razie jednak zgotowano im ciepłe przyjęcie.

Wśród nowej imigracji przeważają osoby niezbyt angażujące się polityczne. Mimo to, jak opowiada mi Aleksander, dla większości z nich manifestowana przez Serbów w bezpośrednich kontaktach miłość dla Putina jest zaskoczeniem (Putin jest w Serbii najpopularniejszym zagranicznym politykiem). Ci bardziej politycznie zaangażowani

próbują z kolei tłumaczyć charakter panującego w Rosji reżimu – i ku zaskoczeniu wielu mieszkańców stolicy organizują razem z Ukraińcami antywojenne protesty.

Na razie się udaje

Jak długo Unia będzie tolerować dwuznaczną politykę Belgradu, który nie chce tracić korzyści z bliskich relacji z Moskwą? I jaki będzie serbski bilans zysków i strat?

Straty wizerunkowe są oczywiste i widoczne także w polskim społeczeństwie, dotąd przychylnie nastawionym wobec Serbii. Gdy w naszej części Europy pochylamy się nad ofiarami rosyjskiej agresji, w Belgradzie organizowane są wiece poparcia dla Moskwy. Gdy na forum ONZ staje kwestia rosyjskich zbrodni, Serbia podpisuje umowę o współpracy z Rosją. W efekcie kraje obawiające się Rosji (np. bałtyckie) są coraz bardziej krytyczne wobec Serbii, a Parlament Europejski nawołuje do zawieszenia procesu negocjacji z Belgradem.

Władze serbskie z jednej strony sygnalizują społeczeństwu, że naciski na wprowadzenie sankcji są silne, a z drugiej szukają wsparcia u tradycyjnych sojuszników, takich jak Węgry i Turcja, którzy też prowadzą ambiwalentną politykę wobec wojny za naszą wschodnią granicą.

Jako największe państwo Bałkanów Zachodnich, ze znacznymi wpływami w państwach ościennych, Serbia ma też znaczny potencjał destabilizacyjny – co uwidoczniło się w obecnej eskalacji stosunków z Kosowem. Trywialna sprawa – wymiana starych serbskich tablic rejestracyjnych na nowe kosowskie – stała się pretekstem do największego kryzysu między obiema stolicami od lat i zniweczyła dotychczasowe osiągnięcia prowadzonego pod auspicjami Unii dialogu kosowsko-serbskiego.

Na rozkaz z Belgradu przedstawiciele mniejszości serbskiej opuścili instytucje podległe Prisztinie – policję, wymiar sprawiedliwości, władze samorządowe. I tak kwestia wprowadzenia sankcji przez Serbię zeszła na forum unijnym na dalszy plan.

Zresztą, jak mówi Nikola Burazer, nawet jeśli Belgrad wprowadzi sankcje wobec Rosji, to tylko po to, aby zaspokoić oczekiwania Zachodu – i dalej będzie prowadzić politykę balansowania. Na razie skuteczną.

© MARTA SZPALA



Dekoracje świąteczne na Union Street, Aberdeen, listopad 2021 r.

Mikołaj zaciska pasa

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

W telewizji świąteczne reklamy, a przed supermarketami stoiska z choinkami – w Wielkiej Brytanii przygotowania do świąt ruszyły już w listopadzie. Dla wielu to będzie jednak trudny czas.

W ABERDEEN W PÓŁNOCNO-WSCHODNIEJ Szkocji świąteczna parada odbyła się pierwszy raz od przedpandemicznego roku 2019. Byli święci Mikołajowie na skuterach, bieg Świętych Mikołajów, orkiestra, burmistrz i mnóstwo ludzi. Na jedenastometrowej choince, którą jak co roku sprowadzono aż z Norwegii, zapalono lampki – uroczystość miała odbyć się już kilka dni wcześniej, ale przez tę część kraju przechodziły tak porywiste wiatry i obfite deszcze, że organizatorzy zmienili plany.

Choć to jeszcze listopad, świąteczny sezon już w pełni. W niemal każdej miejscowości organizowane są jarmarki i koncerty. Sklepowe wystawy błyszczą ozdobami, puby i restauracje domykają świąteczne rezerwacje. O świętach trudno zapomnieć. Nawet jeśli kogoś na nie nie stać.

Ludzie są szczodrzy

Także wystawa sklepu charytatywnego U Daniela w Macduff ma już świąteczne akcenty. W środku używane książki po 50 pensów, kubki, talerze, pościel, ubrania, obrazy, lampy – wszystko to, co komuś już nie jest potrzebne, a komuś innemu może się przydać.

Na jednej z półek seria książeczek dla dzieci z niebudzącym wątpliwości podpisem: „Książki dla dzieci po polsku” – w szkockim Macduff i sąsiednim Banff mieszka wielu Polaków.

– Teraz przed świętami sklep bardzo dobrze sobie radzi. Ludzie więcej kupują – opowiada mi Ashley Isaac. Ale zaraz dodaje: – W ostatnim miesiącu wydaliśmy jednak na jedzenie 2 tys. funtów, średnio 500 funtów tygodniowo, ale bywa, że wydajemy więcej. Zapotrzebowanie na produkty z naszego banku żywności w ciągu ostatniego pół roku wzrosło kilkakrotnie.

Bo U Daniela to nie tylko sklep charytatywny, gdzie można upolować okazje – to także bank żywności. W jednej jego

części półki wypełniają puszki z pomidorami, fasolą, opakowaniami makaronu. W wiklinowych koszach leżą marchewki i brukselka. I kartka: „Weź, czego ci potrzeba. Daj, co możesz”.

– Sklep zarabia na bank żywności. Wszystko, co zarobimy, przekazywane jest na zakup jedzenia. Wszyscy tutaj jesteśmy wolontariuszami – mówi Ashley. – Nasze środki są jednak ograniczone. Opieramy się na sklepie i na tym, co ofiarują ludzie i lokalne firmy. Ostatnio od jednej z farm dostaliśmy mnóstwo świeżych warzyw. Tu ludzie są szczodrzy, ale i oni mają coraz mniej. Tymczasem coraz częściej to do nas podsyłają potrzebujących urzędnicy z pomocy społecznej.

Coraz gorsze dane

U Daniela jest małą, lokalną organizacją, prowadzoną przez niewielką grupę zaangażowanych (nazwa upamiętnia Daniela, młodego wolontariusza, który zginął w pożarze w 2015 r.). Jednak te same niepokojące trendy widzą także duże organizacje pomocowe.

Fundacja Trussell Trust, prowadząca sieć 1,3 tys. banków żywności w całej Wielkiej Brytanii podała ostatnio, że w okresie od kwietnia do września wydała 1,3 mln paczek żywnościowych, więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Aż 320 tys. osób, którym fundacja pomogła, ➔

→ było zmuszonych poprosić o wsparcie po raz pierwszy w życiu.

Tylko w kwietniu i maju zapotrzebowanie na paczki wzrosło o 50 proc. w stosunku do czasu przed pandemią. Teraz, u progu zimy, można się spodziewać jeszcze gorszych danych – bo ceny w sklepach cały czas rosną, doszły też koszty ogrzewania.

Co więcej, do Trussel Trust przychodzą osoby ze skierowaniem wydanym przez organy władz samorządowych, szkołę czy lekarza. Potrzebujących jest zapewne więcej – nie wszyscy chcą lub potrafią szukać pomocy.

– Jeszcze nigdy nie byliśmy tak zajęci – mówi „Tygodnikowi” Mairi McCallum z regionalnej organizacji Moray Food Plus. – Od kwietnia do października mamy ponad 70-procentowy wzrost skierowań. O 60 proc. wzrosła liczba osób, którym pomagamy. Średnio, bo w niektórych miesiącach było to więcej. Myślę, że im bliżej świąt, tym potrzebujących będzie więcej i jestem pełna obaw...

Zjeść z godnością

Moray Food Plus – oprócz standardowych działań jako bank żywności – ma też wiele innych projektów. Wśród nich „społeczne spiżarnie”, lokowane w siedzibach współpracujących organizacji w taki sposób, że są dostępne również w nietypowych godzinach, a czasem całą dobę.

Są też „spiżarnie”, w których gromadzone są świeże produkty (warzywa i owoce, mięso i mrożonki). One oparte są na niewielkiej opłacie (2,5 funta), ale zakupy można zrobić o wielokrotnie większej wartości. Otwarte są tylko w niektóre dni tygodnia przez kilka godzin, za to łączone są z zajęciami dla dzieci, rozmowami itp.

Jest wreszcie „spiżarnia na kółkach”, czyli furgonetka z jedzeniem nazwana Big Blue.

– Uruchomiliśmy ją z myślą o rolniczych społecznościach, z których ludzie mają trudniejszy dostęp do ośrodków pomocy. Co dwa tygodnie jeździmy do 30 wsi w Moray – opowiada Mairi. Podkreśla, że Big Blue to nie tylko tania lub darmowa żywność. To także np. warsztaty dla szkół i zajęcia artystyczne. – W ten sposób ludzie, którzy się z nami kontaktują, unikają ryzyka stygmatyzacji – dodaje.

Mairi podkreśla, że i w tej mobilnej spiżarni, i w tych stacjonarnych ludzie sami

wybierają to, czego potrzebują: – Jeśli ktoś może wybrać między rosołem a pomidorem, to pomaga mu to zachować godność w tym trudnym doświadczeniu.

I jeszcze jedno: znaczną część jedzenia Moray Food Plus otrzymuje od supermarketów. To jedzenie nadal zdatne do spożycia, ale często już nie do sprzedaży. – Wciąż dobrej jakości. W ten sposób walczymy również z marnotrawstwem żywności – wyjaśnia Mairi McCallum.

Herbata dla wszystkich

W U Daniela o pomoc może poprosić każdy: i ten ze skierowaniem z urzędu, i ten, kto wejdzie prosto z ulicy.

– Ale to nie tylko żywność, to znacznie więcej – mówi Philippa Gluckstein, która dyżuruje dziś wraz z Ashley. – Ludzie przychodzą tu, otwierają się, opowiadają o swoich problemach. Czasem pomagamy im wypełnić wniosek o zasiłek, a czasem idziemy z nimi na rozmowę o pracę. Kiedy tu przychodzą, rządzą nimi trzy emocje: są zawstydzeni, bezradni i czują gniew. Staramy się pomóc, choćby oferując najpierw filiżankę herbaty.

Także tu potrzebujący sami wybierają produkty, których potrzebują. – To, że ktoś jest głodny i nie ma pieniędzy, nie znaczy, że musi zjeść to, co dostanie, i być wdzięczny – mówi Philippa. – Jeśli jest możliwość wyboru, to ma prawo do wyboru.

Do U Daniela przychodzą stali klienci, ale czasem ktoś prosi o jednorazową pomoc, by przetrwać do wypłaty. Ashley i Philippa zwracają jednak uwagę, że mają teraz nową grupę potrzebujących, którzy nigdy nie byli i nie są na zasiłkach, tylko np. prowadzili firmę, która zbankrutowała. – Oni nie wiedzą, co robić – mówią.

Mairi McCallum zastanawia się chwilę, gdy pytam, kto do nich teraz przychodzi. – Widzę wzrost liczby potrzebujących powyżej 65. roku życia. To grupa, która nie korzystała wcześniej z naszych banków żywności, a teraz nie daje sobie rady. Coraz więcej jest dużych rodzin, pięcioosobowych i większych. To nowość. No i nadal są samotne osoby – wylicza Mairi.

Na koniec dodaje: – Właściwie to wszyscy mają problemy, nie ma jednej grupy. Również osoby pracujące, które mimo pracy nie mogą się utrzymać.

Obietnice państwa

„Chcemy chronić najsłabszych” – zadeklarował brytyjski minister finansów Je-

remy Hunt w wyczekiwanym oświadczeniu budżetowym, wytyczającym plany fiskalne rządu. „Być Brytyjczykiem to znaczy wiedzieć, co to współczucie, a to jest współczujący rząd” – podkreślał.

Na jego oświadczenie czekano z nadzieją i niepokojem. W czasie katastrofalnych kilkutygodniowych rządów premier Liz Truss i jej ministra finansów Kwasiiego Kwarteng wiarygodność brytyjskich finansów znacznie ucierpiała, niemal posypały się fundusze emerytalne, a do interwencji zmuszony był Bank Anglii.

Głównym zadaniem nowego rządu było zatem uspokojenie burzy i stabilizacja, a także przedstawienie wiarygodnego planu wypełnienia olbrzymiej dziury budżetowej. Hunt zdecydował się na podniesienie podatków (ale tylko części lepiej zarabiających) i spowolnienie wydatków publicznych (ale nie ich obcięcie).

Zapowiedział też podwyżkę emerytur i zasiłków zgodnie z inflacją, obecnie przekraczającą 11 proc. (to najwięcej od ponad 40 lat). W 2023 r. wzrosło też płaca minimalna. Na dodatkowe środki może liczyć pogrążona w kryzysie opieka zdrowotna, a także edukacja. Utrzymany zostanie limit cen energii w gospodarstwach domowych, choć na wyższym poziomie niż dotąd. Osoby o najniższych dochodach, emeryci i osoby z niepełnosprawnościami mogą liczyć na dodatkowe fundusze.

Jednak według analiz niezależnego Biura Odpowiedzialności Budżetowej, dochody rozporządzalne gospodarstw domowych spadną w tym oraz w przyszłym roku finansowym o ponad 7 proc. To największy spadek od roku 1957, gdy zaczęto prowadzić takie statystyki. „To trudny czas dla wszystkich – przyznał Hunt. – Najbliższe dwa lata będą wyzwaniem”.

Partia Bożego Narodzenia

– Dobrze, że będzie ta podwyżka emerytur. To na pewno zostanie przyjęte z ulgą – komentuje Mairi McCallum. Rozmawiamy akurat w dniu, gdy minister przedstawiał swoje plany, a wyrównanie emerytur zgodnie z inflacją do ostatniej chwili nie było pewne. – Tylko że to nastąpi dopiero na wiosnę. Przed nami trudna zima – wzdycha Mairi.

Sondaże pokazują, że Brytyjczycy są pełni obaw. Według ośrodka Ipsos prawie 60 proc. martwi się swoją sytuacją finansową. W ciągu ostatnich miesięcy odsetek tych, którzy z trudem sobie radzą,

wzrósł z 21 do 28 proc. Prawie wszyscy ankietowani, bo aż 93 proc., deklarują, że odczuli wzrost cen żywności, a 84 proc. wyższy koszt paliwa i transportu.

Zbliżające się święta – pierwsze po pandemii – będą więc pod znakiem zaciśniętego pasa. Według sondażu YouGov 60 proc. Brytyjczyków zamierza wydać mniej na prezenty i świąteczne przyjemności. Tylko 28 proc. spodziewa się mieć „normalne święta”. Ponad jedna trzecia będzie ograniczać spotkania ze znajomymi, wyjścia na jarmarki bożonarodzeniowe czy świąteczne przedstawienia.

Wobec takich nastrojów firmy przygotowujące świąteczne reklamy telewizyjne musiały się mocno natrudzić i znaleźć sposób, by zachęcać do wizyt w sklepach, ale zarazem nie drażnić świąteczną rozrzutnością.

Reklamy największych sieci supermarketów to w Wielkiej Brytanii od wielu już lat współzawodnictwo – co roku trwa dyskusja, która jest najlepsza i najbardziej wzruszająca. Np. w tym roku sieć domów towarowych John Lewis postawiła na świąteczny przekaz niezwiązany z zakupami i niemal niezauważalne lokowanie produktu – pokazała historię mężczyzny, który przygotowuje się na przyjęcie do rodziny zastępczej nastolatki lubiącej jeździć na deskorolce i sam próbuje zdobyć tę umiejętność.

Najbardziej w społeczne nastroje wpisała się chyba jednak sieć Tesco z reklamą przypominającą spot wyborczy fikcyjnej Partii Bożego Narodzenia. W żartobliwy sposób obiecuje ona więcej radości, więcej kiełbasek, świąteczny obiad dla pięciu osób za 25 funtów oraz referendum z pytaniem, czy „To właśnie miłość” jest najlepszym filmem świątecznym.

Problemy europejskie i brytyjskie

Nowej partii w Wielkiej Brytanii na horyzoncie nie ma, za to rządząca Partia Konserwatywna nie cieszy się popularnością. Trzy czwarte Brytyjczyków uważa, że rząd źle radzi sobie z kryzysem rosnących kosztów utrzymania, i że bardziej troszczy się o bogatych niż ubogich. Tego zdania jest też prawie 60 proc. wyborców, którzy na torysów oddali głos podczas poprzednich wyborów. Gdyby wybory odbyły się teraz, wygrałaby Partia Pracy z 48 proc. poparcia. Konserwatyści mogą liczyć na 25 proc.

Wiele problemów Brytyjczycy dzielą z innymi Europejczykami – jak rosnącą



Dekoracje świąteczne na Union Street, Aberdeen, listopad 2021 r.

inflację i ceny energii, wywołane po części pandemią i wojną w Ukrainie. Jednak brytyjska gospodarka jest jedyną wśród państw grupy G7, która nie wróciła do poziomu sprzed pandemii.

Natomiast jeśli chodzi o prognozy na 2023 r., to wśród państw grupy G20 Wielka Brytania może być – po Rosji – tym krajem, którego gospodarka skurczy się najbardziej (wszystkie inne, poza Brytanią, Niemcami i Rosją, powinny odnotować wzrost).

Coraz bardziej oczywiste staje się, że wśród powodów tych kłopotów jest brexit, który jak dotąd nie przyniósł Brytyjczykom znaczących korzyści gospodarczych. Dyskusja o tym wśród polityków i ekspertów właśnie się rozwija. Tymczasem sondaże pokazują, że większość obywateli (56 proc.) uważa, iż referendum o opuszczeniu Unii Europejskiej było błędem. To najwyższa jak dotąd przewaga nad zwolennikami brexitu, których jest dziś 32 proc.

Co więcej: co piąty Brytyjczyk, który w 2016 r. opowiedział się za wyjściem z Unii, teraz myśli, że to była zła decyzja.

Młodzi oddają napiwki

Popołudniem w U Daniela jest nieco mniejszy ruch, ale i tak co chwila ktoś wstępuje na kilka zdań o pogodzie, zmieniającym się wietrze (w rybackim miasteczku to zawsze ważny temat) lub zapytać, co słychać.

Pytam jeszcze Ashley i Philippe o skrzynki z jabłkami, śliwkami i ziemniakami, które jesienią ludzie wystawiali przed swoje domy, gdy mieli ich nadmiar, aby wziął ten, kto potrzebuje, za darmo.

Czy to też efekt rosnących kosztów utrzymania?

Ashley odpowiada zdecydowanie: – Tu zawsze tak było. Mieszkam tu od dzieciństwa i pamiętam, że ludzie zawsze dzielili się tym, co mieli.

– A pamiętasz, jak mieliśmy włamanie? – przypomina Philippa. Do U Daniela złodzieje włamali się rok temu tuż przed Wigilią.

– Pamiętam. Zostaliśmy z niczym przed świętami... Ale wszyscy nam pomogli – odpowiada Ashley. – Dostaliśmy olbrzymie wsparcie od miejscowych firm i zwykłych ludzi.

– A młodzież dorabiająca sobie w barze z rybą i frytkami przyniosła nam swoje napiwki – dodaje Philippa.

Ciepłe powitanie

Również wielbny John Gow z Kościoła Szkocji (to miejscowy Kościół prezbiteriański) może liczyć w tym roku na wsparcie ze strony mieszkańców miasteczka Portsoy.

W związku z rosnącymi kosztami energii i doniesieniami, że ludzi nie stać na ogrzanie domów, duchowny zdecydował się na otwarcie przykościelnej sali na kilka godzin dziennie. Można się ogrzać, wypić herbatę, zjeść zupę, poczytać lub porozmawiać.

– Z naszym „Ciepłym Powitaniem” („Warm Welcome”), bo tak nazwaliśmy akcję, ruszyliśmy 7 listopada i pomysł spotkał się z wielkim wsparciem – mówi pastor. – Zaoferowano nam herbatę, kawę, jedzenie, a także, co ważne, czas: w sali zawsze dyżuruje ktoś, kto może pomóc.

Mijający listopad był wyjątkowo ciepły, nie wszyscy włączali ogrzewanie. Wielbny Gow nie ma jednak wątpliwości, że najgorsze dopiero przed mieszkańcami. – Zimy bywają tu surowe – przypomina. – Wyzwaniem dla wszystkich będą rosnące koszty życia. A dla wielu też samotność w zimowym miesiącach. Ludzie czasem nie chcą prosić o pomoc z powodu dumy lub z obawy przed stygmatyzacją.

– Dlatego – dodaje – nasze miejsce to nie tylko cel dla ludzi, którzy nie mogą ogrzać domów, ale także przestrzeń, gdzie mogą spędzić czas. W towarzystwie innych lub w ciszy, jak chcą.

Dekoracje i lampki na miejskiej chodince zostaną zapalone w Portsoy 3 grudnia. Będzie chór, a z dziećmi spotka się Święty Mikołaj. Przygotowania trwają.

©© PATRYCJA BUKALSKA

Czy to zaboli Putina

KRZYSZTOF STORY

Za kilka dni ma wejść w życie częściowe unijne embargo na import ropy naftowej z Rosji. W teorii Kreml straci 90 proc. europejskiego rynku zbytu. A w praktyce?

TO KOLEJNY WAŻNY KROK DLA UNII Europejskiej, która w ciągu ostatnich kilku miesięcy w dużym stopniu uniezależniła się od rosyjskich surowców. Ale diabeł tkwi w szczegółach. A w tyle głowy jest jeszcze jedno pytanie: ile po wprowadzeniu sankcji zapłacimy na stacji benzynowej?

Przez ostatnie lata nieco ponad 25 proc. ropy w Unii Europejskiej było importowane z Rosji. Dwie trzecie przychodziło w zbiornikach tankowców – i właśnie ropy dostarczanej drogą morską dotyczy unijny zakaz. Sankcje nie obejmują jednak dostaw rurociągiem „Przyjaźń”, bo to postawiłoby Słowację, Czechy i Węgry, kraje pozbawione dostępu do morza, w sytuacji praktycznie bez wyjścia. Z „Przyjaźni” korzystają także Polska i Niemcy, oba kraje deklarują jednak, że znajdą alternatywę i dobrowolnie zrezygnują z tego rosyjskiego surowca.

5 grudnia ma zostać wprowadzony zakaz importu czystej ropy. 5 lutego 2023 r. embargo obejmie wszystkie produkty naftowe. To oznacza, że Rosja straci 90 proc. swojego europejskiego rynku zbytu sprzed inwazji na Ukrainę. Rynku, który tylko od 24 lutego przyniósł jej ponad 65 mld euro przychodu.

Kto na miejsce Rosji

W rzeczywistości zmiana nie będzie aż tak gwałtowna. Wiele państw, w tym Polska, od miesięcy przygotowuje się do zmiany głównego dostawcy ropy. Według Międzynarodowej Agencji Energetycznej w październiku import ropy z Rosji do Europy po raz pierwszy spadł poniżej 1,5 mln baryłek dziennie. Rok wcze-

śniej były to ponad 3 mln dziennie. W roli największego dostawcy Rosję zastąpią teraz Stany Zjednoczone. Coraz większy udział mają też Norwegia i Kazachstan. Od dawna Unia naciska także na państwa zrzeszone w OPEC – jednak na zwiększenie przez nie wydobycia konsekwentnie nie zgadza się nieformalny lider tej organizacji, Arabia Saudyjska. Na początku listopada na negocjacje z Saudami wybrał się także Daniel Obajtek, prezes Orlenu.

– W tym momencie Unia jest zainteresowana kupnem wszystkiego, co nie pochodzi z Rosji, niezależnie, czy mówimy o gazie, węglu, czy ropie – mówi Lauri Myllyvirta, główny analityk fińskiego think tanku Centre for Research on Energy and Clean Air (CREA). – Europa jest w stanie zaspokoić swoje zapotrzebowanie na ropę z innych źródeł. Nie spodziewam się niedoborów ani dalszych drastycznych podwyżek cen ropy. Niepokój dotyczy za to konkretnych produktów, takich jak olej napędowy. Tu faktycznie zmagamy się z niedoborem, a embargo na produkty rafinowane, które wejdzie w życie 5 lutego, może problem pogłębić – uważa Myllyvirta.

Także analitycy giełdowi nie spodziewają się cenowego trzęsienia ziemi. Po pierwsze: unijne embargo nie spowoduje, że rosyjska ropa w ogóle zniknie z rynku, chętnie kupi ją wiele krajów w Azji (choć Moskwie trudniej będzie ją im dostarczyć). Po drugie: jej wydobycie w Rosji nie należy do najtańszych (w Ark-

tyce to koszt nawet 44 dolarów za baryłkę, w Arabii Saudyjskiej i Kuwejcie to zaś zaledwie 18 dolarów – takie dane przynosi prospekt emisyjny saudyjskiego koncernu Aramco). Po trzecie: samo zapotrzebowanie na ropę w Unii jest dziś o około 15 proc. niższe niż dekadę temu i nadal będzie spadać. Niestety, jest duże prawdopodobieństwo, że mimo tego na pylonach stacji benzynowych wkrótce zobaczymy dwucyfrowe wartości. Decydujący wpływ na to będzie jednak miało nie unijne embargo, tylko koniec tzw. tarczy antyinflacyjnej, na mocy której od kilku miesięcy paliwo tankujemy bez podatku VAT.

Czy to zaboli Putina

Według analiz CREA tylko w październiku Rosja zainkasowała ze sprzedaży wszystkich paliw kopalnych 21 mld euro, z czego przelewy na 7,5 mld euro pochodziły z Europy. Z drugiej strony, przychody te spadają od marca (właśnie osiągnęły poziom najniższy od wiosny 2021 r.), a największą dziurę w rosyjskim budżecie drąży właśnie Unia Europejska. Dziurę coraz większą – w październiku zapłaciliśmy Rosji za ropę o 19 proc. mniej niż we wrześniu. W tych danych nie widać więc żadnej próby „zatankowania do pełna” tuż przed wprowadzeniem embargo. Pozostaje jednak pytanie, jak embargo wpłynie na gospodarkę Rosji i jej zdolność do dalszego prowadzenia wojny.

Lauri Myllyvirta: – Po wprowadzeniu dodatkowych podatków od koncernów



JANOS KUMMER / GETTY IMAGES



Rafineria Dunaj przetwarzająca ropę dostarczaną z Rosji rurociągiem „Przyjaźń”, okolice Budapesztu, maj 2022 r.

paliwowych budżet Rosji jest na razie w dobrym stanie. Parę miesięcy, w których ceny surowców były bardzo wysokie, pozostawiły w nim dużą nadwyżkę. Ale ceny rosyjskich paliw, także dzięki sankcjom, nadal spadają. Rosja znajduje wprawdzie nowe rynki zbytu, ale musi na nich udzielać rabatów w wysokości nawet 30 proc. Zyski stają się coraz mniejsze. Podczas ogłoszonej przez Putina mobilizacji widać było braki w sprzęcie, żołnierze kupowali wiele rzeczy ze swoich oszczędności. Budżet na tę wojnę się kurczy – mówi fiński analityk.

Tankowce widmo

Kolejną kwestią są tzw. łańcuchy dostaw. Nawet po wprowadzeniu embarga Rosja może wypełnić tankowiec ropą i po nieco dłuższym niż zwykle rejsie sprzedać ją w państwach, które z unijnym embargiem nie mają nic wspólnego. A raczej: mogłaby to zrobić, gdyby tankowce i cała infrastruktura transportowa należały do niej. Niestety dla Putina, połowa rosyjskiej ropy jest transportowana na europejskich statkach, a 70 proc. wszystkich rejsów ubezpieczają europejskie (zwłaszcza brytyjskie) firmy. To daje Zachodowi olbrzymią przewagę. Już pod koniec czerwca na forum grupy G7 zaproponowano wprowadzenie limitu cen. To rozwiązanie, które daje Europie i Stanom Zjednoczonym wpływ tam, gdzie teoretycznie żadnego wpływu mieć nie mogą. Polega ono na tym, że ustala się maksy-

malną cenę za baryłkę rosyjskiej ropy. Jeśli Rosja chciałaby ją sprzedać drożej, np. do Indii czy Turcji, to wciąż może to zrobić – ale sama, bez pomocy europejskich statków i ubezpieczycieli. Takie rozwiązanie ma wejść w życie od 5 grudnia, niezależnie od unijnego embarga. Analitycy z CREA szacują, że gdyby funkcjonowało już od lipca do września, pozbawiłoby Rosję aż 14 mld euro.

W chwili ukończenia tego tekstu unijne państwa jeszcze nie porozumiały się co do wysokości limitu. Zbyt restrykcyjny może wywindować ceny ropy i zniechęcić wiele państw do dołączenia do sankcji, zbyt wysoki – będzie nieskuteczny. Amerykanie sugerują np. dość łagodny przedział 65-70 dolarów za baryłkę (to mniej więcej dzisiejsza cena rynkowa); Polska uważa, że finansową pętlę powinno zacisnąć się mocniej.

Rosja szykuje się na ten cios. Dziennikarze agencji Bloomberg opisali w październiku, jak Kreml tworzy flotę tankowców widmo. Od początku wojny trwa intensywny handel statkami z nieznanymi firmami rejestrowanymi w Dubaju, Singapurze czy na Cyprze. „Jeśli przeszedł się, ile statków sprzedano w ciągu ostatnich sześciu miesięcy nieznanym nabywcom, stanie się jasne, że budowana jest flota do przewozu tych ładunków”, mówił cytowany przez nich Christian Ingerslev, dyrektor generalny firmy Maersk Tankers. Według agencji chodzi o nawet 240 tankowców, które pozwolą Rosji eksportować 4 miliony baryłek dziennie.

Historia tej „szarej floty” pokazuje, że na Zachód dopiero czeka największe wyzwanie. Łatwiej jest uchwalić sankcje, dużo trudniej je wyegzekwować. Statki pływające pod zmieniającymi się często banderami, przepisywane z firmy na firmę, mieszanie rosyjskiej ropy z inną – to sposoby na omijanie sankcji. Najbardziej ryzykowne mogą być próby przeniesienia ładunku z jednego statku na drugi na pełnym morzu – to ogromne ryzyko katastrofy ekologicznej.

Jednym z ważnych graczy jest Turcja, która kontroluje drogę morską i posiada duży przemysł rafineryjny. Ankara już zapowiedziała, że przez Bosfor i Dardanele nie przepłynie żaden statek z ropą, jeśli nie będzie miał dowodu ubezpieczenia.

– Nie spodziewam się, że embargo czy system górnego limitu cen będzie w pełni skuteczny – mówi Lauri Myllyvirta. – Mimo to na pewno ograniczy rosyjskie

zyski. Ważne, żeby na bieżąco monitorować, co się dzieje, i reagować, dostosowywać przepisy.

Zostaje „Przyjaźń”

Tymczasem Europa szykuje się do wprowadzenia embarga i patrzy na jego konsekwencje. Polska jest w dobrej sytuacji – import drogą morską został przez Orlen wstrzymany na samym początku wojny.

Po 5 grudnia zostanie nam tylko biegnący ze wschodu ropociąg „Przyjaźń”. Dla Słowacji – niezbędny, bo zapewnia jej prawie całą ropę w kraju, dla nas – stanowiący małą niedogodność. Z rosyjskim przedsiębiorstwem Tatneft Orlen ma umowę do grudnia 2024 r. Ponieważ „Przyjaźń” nie jest objęta sankcjami, strona polska nie ma powodu, by zrywać tę umowę. Kilka dni temu media obieğa wiadomość, jakoby polski koncern zamówił 3 mln ton ropy na rok 2023. To jednak nieprawda – umowa obowiązuje nas od dawna, a Orlen pytał tylko o techniczne możliwości wysyłki. Prawdą jest natomiast, iż strona polska obawia się, że nawet jeśli zrezygnuje z dostaw ropy, to i tak będzie finansować Kreml karami umownymi. Dlatego zabiega o objęcie sankcjami północnej nitki „Przyjaźni”, biegnącej przez Polskę i Niemcy. Wtedy umowę będzie można zerwać z czystym sumieniem.

Każdy z tych szczegółów wpłynie na skuteczność embarga. Na pewno nie obędzie się bez konsekwencji dla nas, z których warto wyciągnąć wnioski. – Widzimy, jak ryzykowna jest rozbudowa energochłonnych sektorów gospodarki, jeśli nie jest się producentem energii – mówi Agata Łoskot-Strachota, analityczka z Ośrodka Studiów Wschodnich.

Wraz z rosnącymi kosztami energii i paliwa już teraz słychać w Europie głosy proponujące dużo bardziej ugodowe podejście do handlu z Rosją. Z drugiej strony wojna i chęć pokrzyżowania planów Putina stają się często impulsem do transformacji energetycznej. Wojna już zmieniła w Europie stosunek do energetyki jądrowej, także w Polsce.

– Europa pokazuje sobie i innym, że może bez rosyjskich surowców żyć – mówi Agata Łoskot-Strachota. – Zostaną podpisane nowe kontrakty, pojawią się nowe źródła i inwestycje. Długofalowo zmieniać się łańcuchy dostaw i miksy energetyczne państw.

Osobne pytanie brzmi: jak wyboista to będzie droga? ©P



JAK FINOWIE Z MOSKWA WYGRALI

Wojna zimowa – tak nazwano owe sto cztery dni na przełomie 1939 i 1940 roku, gdy Finlandia walczyła z Armią Czerwoną. Dziś pamięć o niej powróciła.

MARTA PANAS-GOWORSKA, ANDRZEJ GOWORSKI

OŚMEJ RANO 30 LISTOPADA 1939 R. Armia Czerwona przekroczyła granicę Finlandii i zaczęła się wojna nazwana zimową. Wokół tych 104 dni i czterech godzin narosły legendy, a równocześnie niejedno przemilczano. Nie zawsze wiązało się to z sowieckim zakazem – po prostu mało kto dziś pamięta, że „koktajle Mołotowa” jako pierwsi stosowali Finowie albo że czerwonoarmistom wydzielano codziennie po sto gram wódki (prekursorkę „małpki”).

To starcie Dawida z Goliatem pozostaje dziś podręcznikowym przykładem sowieckiej pychy, indolencji i okrucieństwa, opłaconych krwią. Decyzje Stalina wypełniały znamiona zbrodni zarówno przeciw Finom, jak też własnemu społeczeństwu. Zresztą także dowódcy, którzy wykonywali jego rozkazy, nie dbali o swoich żołnierzy. Na pierwszym etapie wojny myśleli głównie o tym, jak zdobyć Helsinki przed 21 grudnia, przed urodzinami Stalina, by zrobić mu prezent na sześćdziesiątkę.

A później... Później także oni, liniowi dowódcy, musieli drzeć o życie, bo za nimi szli z naganami politycy, oficerowie polityczni (mogli kwestionować rozkazy liniowego dowódcy). Późniejszy generał Anatolij Gribkow, wtedy czołgista, wspominał, jak podczas jednej z niezliczonych egzekucji rozstrzelano żołnierza, bo nie chciał wejść na pole minowe. Atak piechoty przez zaminowany teren oficerowie sowieccy traktowali jako dopuszczalny – straty miały być wtedy porównywalne z atakiem podczas wrogiej nawały artyleryjskiej.

To starcie na peryferiach Europy wpłynęło nie tylko na losy Finów, ale też kontynentu. Teraz rosyjska agresja przeciw Ukrainie sprawiła, że pamięć o nim powróciła – w Finlandii jako przestroga, w Europie jako chętnie przywoływana analogia do oporu Ukraińców.

Bo też i analogie nasuwają się w tej opowieści same. Przynajmniej do pewnego momentu.

Niepodległość w cieniu bolszewików

Historia ta zaczyna się 4 grudnia 1917 r., gdy wkrótce po przewrocie bolszewickim, dokonanym w nieodległym Piotrogradzie, fiński Senat (rząd) przyjął dekla-

rację niepodległości. Dokument był odpowiedzią na Deklarację Praw Narodów Rosji, przygotowaną (o ironio) przez Stalina, stojącego wówczas na czele Ludowego Komisarjatu ds. Narodowości. Mimo to siły bolszewickie nie kwapiły się z opuszczeniem Finlandii, wcześniej należącej do imperium carów (choć z autonomią).

Sami Finowie mieli różne wizje przyszłości i w nowym państwie wybuchła wojna domowa między socjalistami a konserwatystami, zwanymi (jak w Rosji) czerwonymi i białymi. Pierwszych wsparli bolszewicy, drugich Niemcy i Szwecja. Na czele białych stanął Carl Gustaf Mannerheim, do niedawna generał carski. Ostatecznie Finom udało się obronić niepodległość, a władzę objęli biali. Stworzyli obozy dla czerwonych i podjęli działania, które dziś określa się białym terrorem (choć trudno przyrównywać go do terroru bolszewików).

Niepodległa Finlandia podpisała traktat pokojowy z bolszewicką Rosją 14 października 1920 r. Zachowała, plus minus, obszar Wielkiego Księstwa Fińskiego z 1917 r.

W dwudziestoleciu międzywojennym Finowie, choć żyjący w cieniu 40-krotnie ludniejszego sąsiada, szybko poczuli się bezpieczni – i powszechne stały się opinie, aby środki z budżetu armii przesunąć na programy socjalne. Politycy często słuchali tych głosów.

Inaczej było w Związku Sowieckim: tu nikt nie słuchał obywateli, ale też i kwestia fińska nie odgrywała dużej roli. Choć jeśli już wcześniej decydenci rozważali atak, nie znajduje to odbicia w wojskowych planach. Podkreślał to Mannerheim we „Wspomnieniach” (wydanych po II wojnie, gdy żył na emigracji w Szwajcarii), pisząc, że „zarówno w okręgu leningradzkim, kalinińskim, jak i moskiewskim Rosjanie mieli okazję wypróbować warunki odpowiadające tym, którym stawili czoła w Finlandii”. Tego nie zrobili.

Za to robili krwawe porządki, a ofiarą ich terroru padła też mniejszość fińska. Do 1938 r. bolszewicy aresztowali 40 tys. „swoich” Finów – część deportowali do Azji Środkowej, część rozstrzelali.

W połowie lat 30. Stalin miał rozważać ponowne przeniesienie stolicy z Moskwy do Leningradu. To, według sowieckiej logiki, wymagało odsunięcia od miasta granicy z Finlandią na odległość większą niż ówczesne 40 km. Stalin miał żartować, że

Finów jest 3,6 mln, raptem 100 tys. więcej niż mieszkańców Leningradu, i można ich po prostu wysiedlić.

Ultimatum

Wszystko przyspieszyło po anslusie Austrii. 15 kwietnia 1938 r. fiński minister spraw zagranicznych Rudolf Holsti poznał stanowisko Moskwy: na Kremlu jakoby obawiano się ataku III Rzeszy i postulowano, by Helsinki podpisały układ sankcjonujący wejście Armii Czerwonej do Finlandii w sytuacji, gdyby Hitler uderzył przez teren tego kraju. Oczekiwano na sowieckie bazy. Finowie nie zgodzili się na takie naruszenie suwerenności.

Moskwa do sprawy wróciła wiosną 1939 r. Chciała wydzierzawić w Zatoce Fińskiej Gogland i kilka innych mniejszych wysp. Mannerheim, wówczas przewodniczący Rady Obrony, rekomendował przyjęcie tej oferty, bo w warunkach nowoczesnej wojny takie splachetki ziemi i tak byłyby trudne do obrony. Ale dla Finów byłby to gest symboliczny – dyktat znów odrzucono.

Kolejny akt konfliktu zaczął się wraz z podpisaniem 23 sierpnia paktu Hitler-Stalin. W tajnym protokole Finlandia i kraje bałtyckie trafiały do sowieckiej strefy wpływów. Moskwa działała bez zwłoki i pięć dni później zaoferowała Litwie, Łotwie i Estonii umowy „o wzajemnej pomocy”. Projekt analogicznej umowy dotarł do Helsinek 5 września. Stalin żądał „odsunięcia” granicy od Leningradu na 90 km i udostępnienia portów na półwyspie Hanko koło Helsinek, demontażu umocnień w Przesmyku Karelskim (był to wąski odcinek granicy lądowej najbliżej Leningradu, wciśnięty między wielkie jeziora – naturalna linia obrony), oddania wysp w Zatoce i podpisania układu o niewstępowaniu we wraze koalicje. W zamian chciał oddać Finom terytoria w Karelii, dwa razy większe niż ziemie żądane na południu, ale o mniejszym znaczeniu gospodarczym i strategicznym.

Mannerheim tak spointował te dobrodziejstwa: „Nowa granica otwierała kraj na atak, a baza w Hanko była niczym pistolet wymierzony w serce kraju i w najważniejsze węzły i połączenia komunikacyjne. [Taki układ pokojowy pozbawiał nas bezpieczeństwa i swobody działania w polityce zagranicznej].”

Fiński żołnierz w pobliżu Kemijärvi, Laponia, 11 lutego 1940 r.

Incydent w Mainila

→ Finowie zostali ostrzeżeni – Amerykanie mieli przekazać im treść tajnego protokołu. W Helsinkach postanowiono grać na zwłokę: odrzucono sowiecką propozycję i zaoferowano własną, odsuwając ostateczne decyzje. Równocześnie Helsinki sondowały możliwość uzyskania pomocy od Szwecji, Francji i Anglii. Sztokholm podkreślił swą neutralność. Paryż i Londyn deklarowały wsparcie, ale uzależnione od działań Niemiec i właśnie Szwecji oraz Norwegii.

Wobec niejasnej postawy teoretycznie bratnich Skandynawów, 10 października w kraju ogłoszono ćwiczenia dla rezerwistów, co równało się ich mobilizacji (ruch ten, wzmacniający armię, okazał się kluczowy dla późniejszego przebiegu walk). Jednocześnie kontynuowano rozmowy, choć sowiecka prasa nadawała już na zgoła niedyplomatycznych falach. 3 listopada dziennik „Prawda” przepowiadał: „Odrzucimy w diabły wszelkie gry politycznych szulerów i pójdziemy swoją drogą”. 26 listopada nazwał premiera Finlandii Aimo Cajandera „szutem grochowym”, tj. błaznem.

Nadzieję pokładano w aurze, ale mniej więcej od 13 listopada Stalin żądał już wojny. Główne siły miały uderzyć przez newralgiczny Przesmyk Karelski. Zamierzano też powyżej jeziora Ładoga przepłócić kraj i zadać cios od północy. Przewidziano również ataki od Zatoki Fińskiej i naloty na miasta.

Kreml szukał już tylko pretekstu. Dostrzeczył go tzw. incydent w Mainila: 26 listopada po południu Armia Czerwona ostrzelała własne pozycje przy granicy, we wsi Mainila (zginąć miało czterech żołnierzy, dziewięciu doznało ran), a potem oskarżyła o to Finów.

Nawet dziś wielu rosyjskich historyków twierdzi, że kraj, który miał tylko 64 czołgi, postanowił zaatakować mocarstwo posiadające ich 20 tysięcy – więcej niż jakiegokolwiek armia świata.

Cztery etapy

Działania wojenne można podzielić na kilka etapów, choć w Związku Sowieckim wskazywano tylko dwa: do przebicia się przez Linie Mannerheima i później. Takie podejście niewiele mówi o przebiegu konfliktu, za to wyolbrzymia rolę tych umocnień. W sowieckiej historiografii porównywano je później do Linii Maginota lub Zygfyda.

Armia Czerwona doznała w Finlandii jednej z najbardziej spektakularnych klęsk we współczesnej Europie.

Tymczasem 140-kilometrowy pas na Przesmyku Karelskim był fortyfikacją niedokończoną, polem kompromisów. Z 60 bunkrów tylko kilkanaście spełniało standardy nowoczesnej wojny. Zresztą sowieccy propagandyści dopiero po czasie zaczęli budować mit Linii Mannerheima, tłumacząc nią własne klęski (sami Finowie umocnień tych nie nazywali od nazwiska dowódcy, lecz po prostu „główną linią obrony”).

Faktycznie można więc wskazać co najmniej cztery etapy tej wojny.

Pierwszy zakończył się 12 grudnia wraz z bitwą nad jeziorem Tolvajärvi, na północ od Ładogi, gdzie 4 tys. Finów rozbiło pięciokrotnie liczniejsze siły wroga. Podczas tego etapu zmagania ustaliła się pewna prawidłowość: wojska sowieckie przegrywały nawet wtedy, gdy atakowały siłami nawet dziesięciokrotnie większymi, korzystając z czołgów i artylerii. Wtedy to Finowie uwierzyli, że mogą oprzeć się agresji.

Drugi etap zakończył się 8 stycznia wraz z przegrany przez najeźdźcę bitwami na drodze Raate i przy pobliskim Suomussalmi (600 km na północny wschód od Helsinek). Tam Finowie doprowadzili do perfekcji „taktykę motti”: rozbijania wrogich zgrupowań na mniejsze, izolowania ich, otaczania i stopniowego niszczenia.

Od tego czasu utrzymywał się już ponad 35-stopniowy mróz i czerwonoarmiści korzystali z ciężkiego sprzętu bez obaw, że ugrzęzną w błotach. Wtedy też Finowie podjęli pierwsze kontrofensywy, ale te załamywały się w sowieckich nawałach artyleryjskich.

Trzeci etap charakteryzował się zmianą taktyki Sowietów: choć wciąż ponosili wielkie straty, podjęli kilka udanych prób przerwania fińskich linii. Finowie byli już wyczerpani, Mannerheim nie miał jednostek w odwodzie, coraz bardziej doskwierały braki w sprzęcie.

Czwarta faza przypadła na marzec i trwała do 13 marca, dnia rozejmu. Atakujący skupili się na Przesmyku Karel-

skim, gdzie stopniowo spychali Finów, zajmując w końcu Viipuri (ros. Wyborg), drugie co do wielkości fińskie miasto.

Przez cały czas trwania wojny zimowej Armia Czerwona bombardowała fińskie miasta, ale jej lotnictwo okazało się nieprecyzyjne (choć zniszczenia były duże, działały fabryki broni i kursowały po-ciagi), samo też ponosiło duże straty.

Kobiety idą na wojnę

W walkach brało udział milion czerwonoarmistów i 330 tys. Finów (oraz kilka tysięcy ochotników z innych krajów). Poległo od 127 tys. do 150 tys. najeźdźców (Mannerheim mówił o 200 tys., ale to liczba zawyżona; sama Moskwa podała nieprawdziwą liczbę 48 745 własnych ofiar). Ponad pół tysiąca z nich zabił jeden człowiek: najsłynniejszy fiński snajper Simo Häyhä, z zawodu myśliwy. Takich jak on Sowietci nazywali „biała śmierć”.

Nie tylko kule zabijały, także mróz. Chirurg Boris Pietrowskij przyjmował żołnierzy z odmrożeniami (stanowili 22 proc. hospitalizacji). Wspominał, że pułapką były walonki: wystarczyło, by zamokły, a potem chwycił mróz – wkrótce nie dało się ich zdjąć i nogi amputowano wraz z obuwiem.

Straty obrońców były mniejsze – 30 tys. poległych – ale i tak poważne, uwzględniając liczbę ludności kraju.

W odezwach do obywateli Mannerheim nie bez powodu zwracał się także do kobiet. Choć nieliczne walczyły z bronią w rękę, to 150 tys. członkiń organizacji Lotta Svärd pełniło ważne funkcje na zapleczu. Miały na ramieniu niebieską swastykę; podobna widniała na fińskich samolotach. Trafiła tam za sprawą Erica von Rosena. Ten lekarz, etnograf, a prywatnie bogaty arystokrata i szwagier Göringa fascynował się runami i swastyki łączył z pangermanizmem, który w Finlandii przybrał inny wymiar niż w III Rzeszy. Rzecz jasna bolszewicy widzieli to inaczej – twierdzili, że walczą z fińskimi nazistami.

Polska brygada nie dojechała

Ale najprzebieglejszą rosyjską manipulacją była próba przekonania świata, że konflikt z Finlandią nie był częścią II wojny światowej.

Wyjęcie go z jej ram ma kilka konsekwencji. Po pierwsze ma zwalniać Sowietów z odpowiedzialności za pakt z Niemcami. Po drugie przemilcza dyploma-



MILITARY MUSEUM OF FINLAND / DOMENA PUBLICZNA

Fińskie stanowisko karabinu maszynowego na froncie w pobliżu Lemetti, południowo-wschodnia Finlandia, 21 lutego 1940 r.

tyczną klęskę, jaką Moskwa poniosła od grudnia 1939 r. do marca 1940 r. Bo najpierw nawet fińscy lewicowi radykałowie wyśmiali marionetkowy rząd, który na polecenie Stalina powołał komunista Otto Kuusinen, a 14 grudnia za rozpętanie tej wojny Związek Sowiecki stał się jedynym państwem w historii wykluczonym z Ligi Narodów (przedwojennego odpowiednika ONZ).

Wojna zimowa nie zakończyła się na polu bitwy – choć to skuteczny fiński opór był warunkiem tego, iż do gry mogła wejść dyplomacja. W ostatniej jej fazie Armia Czerwona teoretycznie mogła kontynuować ofensywę i pewnie wiosną, kosztem kolejnych ofiar, zajęłaby Helsinki. Ale Kreml zasygnalizował gotowość do rokowań. W tym czasie Finowie otrzymali już deklaracje od Anglii i Francji, że wysła im na pomoc 15-tysięczny korpus (w jego składzie miały znaleźć się pododdziały z polskiej Samodzielnej Brygady Strzelców Podhalańskich). Korpus miał lądować 15 marca w Norwegii. Nadejście takiej pomocy umiędzynarodawiałoby konflikt.

Dlaczego Finowie zgodzili się na negocjacje i podpisali pozornie niekorzystny dla siebie pokój na dwa dni przed odsieczą? Powodem było wyczerpanie własnych wojsk, a po drugie postawa Szwecji i Norwegii, które nie zgadzały się na przemarsz aliantów przez swoje terytorium. Aliancki korpus mógł więc ugrząźć w Narwiku, a przy tym stosunek Niemiec – 20 lat wcześniej sojusznika Finów, a teraz Stalina – był niejednoznaczny.

Lis odgryza sobie łapę

Za radą Mannerheima fińskie władze postanowiły więc podjąć rozmowy i zakoń-

czyć walki, dopóki armia miała jeszcze zdolność bojową. I dopóki można było zachować wartość najważniejszą – niepodległość.

Stalin zażądał terytoriów stanowiących 11 proc. kraju i granicę odsunięto od Leningradu o kolejne 50 km, pozostawiając po sowieckiej stronie Wybörg i całą Ładogę. Domagał się też półwyspu Hanko, demilitaryzacji Wysp Alandzkich i budowy kolei ze Związku Sowieckiego do Szwecji.

Przyjmując te – jak pisał Mannerheim – „nadzwyczaj ciężkie warunki”, Finlandia postąpiła niczym lis, który, aby uwolnić się z wnyków, odgryza własną łapę. Gotowość do tak trudnych decyzji i w ogóle postawa w czasie wojny są dla Finów do dziś powodem do dumy.

Jednak ta umowa pokojowa nie kończyła konfliktu fińsko-sowieckiego, lecz go jedynie zamrazała. Na trochę ponad rok: do 25 czerwca 1941 r., gdy w czwartym dniu niemieckiej ofensywy sowieckie lotnictwo z okręgu leningradzkiego nagle zbombardowało fińskie miasta.

Kolejne trzy lata trwania konfliktu Finowie nazwali „wojną kontynuacyjną”, a zakończyły ją latem 1944 r. – po kolejnej wielkiej bitwie na Przesmyku Karelskim – negocjacje, w których efekcie Finlandia zapewniła sobie niepodległość – choć za cenę neutralności, licznych samoograniczeń w polityce zagranicznej, a także poświęcenia kilku własnych polityków, którym wytoczono proces jako rzekomym „wojennym podżegaczom” (sam Carl Gustaf Mannerheim musiał udać się na emigrację do Szwajcarii, gdzie kilka lat później zmarł).

Co by było...

Armia Czerwona doświadczyła w Finlandii jednej z najbardziej spektakularnych klęsk militarnych we współczesnej Europie. Uważnie przyglądał się temu Hitler. Mannerheim zanotował potem we „Wspomnieniach”: „Bezwzględnie najważniejszym wśród międzynarodowych następstw wojny było niedocenienie rosyjskich sił zbrojnych, spowodowane ich nieudolnością w kampanii przeciwko Finlandii. Zlekceważono rosyjski potencjał militarny, co zachęciło Niemcy do ataku na Związek Sowiecki, tak oto nasza wojna zimowa pośrednio miała niezamierzone konsekwencje dla rozwoju wydarzeń światowych”.

Trudno sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby wódz III Rzeszy doszedł do innych konkluzji i utrzymał sojusz ze Stalinem, dzieląc się z nim Europą. Co byłoby wtedy z Wielką Brytanią, ostatnią ostoją wolności w Europie? Wszak niemieckie samoloty bombardujące Londyn leciały na benzynie importowanej ze Związku Sowieckiego. A co z nami Polakami?

To pytania z kategorii *historical fiction*. Ale w dzisiejszej Rosji walczy się z nimi i wciąż wypreparowuje fiński konflikt z kontekstu II wojny światowej.

80 lat później

Rosyjska agresja przeciw Ukrainie sprawiła, że pamięć o wojnie zimowej jest dziś na nowo przywoływana – także jako przestroga, i także w Finlandii, która wiosną tego roku wraz ze Szwecją porzuciła neutralność i postanowiła wstąpić do NATO.

Co nie zmienia faktu, że emocje związane z tamtym konfliktem dawno ostygły.

Tutejsze muzeum wojny zimowej ulokowano nieopodal miejsca bitwy na drodze Raate. Składa się z ekspozycji pod dachem i ekspozycji plenerowych. Oraz pomnika: na trzyhektarowej polanie wzniesiono przestrzenny monument „Open Embrace” (Otwarte objęcie/uścisk), składający się z instalacji ze 105 dzwonekami, poruszanymi na wietrze i symbolizującymi dni wojny. Wokół rozłożono 17 tys. głazów zbliżonej wielkości. Kilkaś z nich przynależy poległym Finom, reszta czerwonoarmistom. Chodząc między nimi, nie odgadniemy po fakturze ani kształcie, komu są przypisane.

© MARTA PANAS-GOWORSKA,

ANDRZEJ GOWORSKI

ZIMOWE PRZEŻYCIA

Niskie temperatury nie muszą być dla owadów straszne.
O ile mają wygodne schronienie i towarzyszy, którzy pomogą im się ogrzać.
Albo potrafią odtajać po zamarznięciu.

JUSTYNA KIERAT

WIOSNĄ I LATEM ROBOTNICA PSZCZOŁY miodnej żyje średnio około miesiąca. Pszczoły, które umarły, są szybko zastępowane przez swoje młodsze siostry, które rozwijają się z jaj składanych w wielkich ilościach przez matkę pszczelę. Jednak kiedy nadchodzi jesień, a potem zima, składanie jaj ustaje. Nowe robotnice nie przychodzą na świat, ale te „jesienne” żyją o wiele dłużej niż ich siostry z pełni sezonu – aż

kilka miesięcy. Dzięki temu matka na wiosnę nie budzi się sama, lecz w otoczeniu grupy swoich córek, które pomogą jej w wychowaniu kolejnego pokolenia robotnic. „Pomogą” to zresztą mało powiedziane – zadaniem matki będzie tylko złożenie jaj, one zajmą się resztą.

W sezonie wegetacyjnym pszczoły miodne utrzymują w gnieździe stałą, wysoką temperaturę, która jest po-

trzebna do prawidłowego rozwoju larw. Zimą ich nie ma, jednak nawet wtedy pszczoły nie przestają tak zupełnie ogrzewać gniazda. Zamiast zapaść w hibernację i pozwolić swoim ciałom osiągnąć temperaturę otoczenia, czego moglibyśmy się spodziewać po przedstawicielach owadów, zbijają się w kłęb zimowy. To żywa kula z robotnic, w środku której ukryta jest królowa. Wewnątrz kłębu jest najcieplej, tempe-



ratura może wynosić tu nawet ponad 20 stopni, mimo że na zewnątrz jest mróz. Robotnice co jakiś czas zamieniają się miejscami – te z zewnątrz wchodzą bliżej środka, by móc się ogrzać. Utrzymywanie tak wysokiej temperatury wymaga energii. Dzięki pracowitemu przynoszeniu nektaru i przetwarzaniu go na miód wiosną i latem, pszczoły przez całą zimę mają pod ręką zapasy, z których mogą podjadać w razie potrzeby.

Hibernacja w czerwcu

Pośród pszczoł żyjących w naszym kraju miód wytwarzają, poza pszczolą miodną, tylko trzmiele. Gromadzą one w gnieździe dwa rodzaje zapasów – niezagęszczony nektar, zużywany na bieżąco, oraz właśnie miód, gęstszy i pojawiający się w gnieździe tylko w warunkach obfitości pokarmu, która pozwala odłożyć coś na czarną godzinę. W przeciwieństwie do pszczoł miodnych, trzmiele zużywają

Zimą u pszczoł miodnych królowa przestaje składać jaja. Opiekują się nią wtedy robotnice, które przyszły na świat jesienią, żyjące znacznie dłużej niż ich siostry urodzone w lecie.

go jednak jeszcze tego samego roku. Nie mają po co oszczędzać zapasów, gdyż większość członków trzmielej rodziny nie dożywa zimy. Ginie stara królowa, robotnice i trutnie. Przy życiu pozostają tylko młode królowe.

Dla niektórych trzmieli zimowanie może zacząć się już w... czerwcu. Wtedy przychodzą na świat pierwsze królowe i samce (kolejne wychodzą z gniazd aż do późnego lata). Niezależnie od tego, kiedy dana królowa pojawi się na świecie, nie czeka z rozpoczęciem hibernacji na nadejście chłódów. Po załatwieniu swoich spraw (czyli znalezieniu partnera i najeźdzeniu się), co zajmuje jej kilka dni, powraca po raz ostatni do macierzystego gniazda, bierze łyk miodu na drogę i odlatuje w poszukiwaniu miejsca do hibernacji. Trzmiele mogą gnieździć się pod ziemią w norach gryzoni, na jej powierzchni w kępach traw, pod kamieniami, w budkach dla ptaków, dziuplach i innych miejscach. W wyborze miejsca do zimowania są natomiast o wiele mniej pomysłowe – jest to zawsze samodzielnie wykopana norka, głęboka na kilka, kilkanaście centymetrów. Na jej końcu, w niewielkiej komorze, królowa spędzi ponad pół roku.

Wybór miejsca wykopania hibernakulum jest kluczowy, jeśli chce się przetrwać zimę i obudzić się o odpowiedniej porze. Trzmiele królowe preferują chłodne lokalizacje, ocienione, na północnych stokach lub pod drzewami – tak aby ciepło ziemi nagrzanej promieniami zimowego słońca nie obudziło ich przedwcześnie. To właśnie temperatura jest sygnałem nadejścia wiosny i konieczności wyjścia z ukrycia na świat. Zbytne wychłodzenie hibernakulum w środku zimy, jeśli samica zakopie się za płytko, może być jednak równie niebezpieczne. Jak wynika z badań zespołu Ellen Keaveny opublikowanych na początku tego roku, trzmiele nie są zbyt odporne na mróz. Jest to nieco zaskakujące, biorąc pod uwagę, że są to pszczoły przystosowane do chłodnego klimatu, żyjące nawet za kołem podbiegunowym i w wysokich górach. Najważniejszą ich strategią jest jednak raczej unikanie niskich temperatur niż ich znoszenie. Co ciekawe, ➔

→ w badaniach Keaveny najlepiej najniższe temperatury znosiły samce trzmieli. Prawdopodobnie ma to związek z faktem, że po opuszczeniu gniazda nigdy już do niego nie wracają, a więc pod koniec lata muszą wytrzymywać chłodne noce, w przeciwieństwie do samic, które spędzają je w ciepłym gnieździe.

W grupie cieplej

Zadrzechnie wychodzą z założenia, że w grupie różnej – i cieplej. W Polsce występują dwa gatunki tych pszczół: zadrzechnia fiołkowa (*Xylocopa violacea*) i czarnoroga (*X. valga*). Oba są bardzo rzadkie, a ta pierwsza przez pewien czas była nawet uznawana za wymarłą w naszym kraju. Jej ponowne odkrycie na początku XXI w. sprawiło, że „czarna pszczola”, jak bywa nazywana, należy do owadów celebrytek. Co jakiś czas doniesienia o jej obserwacji przebijają się do portali internetowych.

Młode zadrzechnie wychodzą z gniazd w lecie, ale na krótko. Na zimę chowają

się do nich z powrotem lub wyszukują sobie inne kryjówki, w których czekają do wiosny. Zazwyczaj w jednym miejscu zimują samce i samice. Madeleine Ostwald z zespołem zadali sobie pytanie, jakie korzyści zadrzechnie odnoszą z tego trzymania się razem w czasie hibernacji. Wybrali na swój model badań inny gatunek z rodzaju, *X. sonorina*, którego przedstawiciele mogą zimować zarówno w grupach po kilka osobników, jak i pojedynczo. Pomiar temperatury wewnątrz gniazda oraz masy ciała zimujących pszczół pokazały, że osobniki wyznające zasadę „w grupie siła” miały w swoich kryjówkach o prawie 1,5 stopnia cieplej i traciły nieco mniej masy niż indywidualiści – a więc były w lepszej kondycji, gdy kończyła się zima.

Niektórym pszczołom niestraszne są trzaskające mrozy. Murarka ogrodowa jest samotnicą, a więc nie tworzy rodzin tak jak pszczola miodna czy trzmiele, nie ma u niej królowej, robotnic ani pro-

dukcyj miodu. Rozwój od złożonego na wiosnę lub wczesnym latem jaja do dorosłej murarki zajmuje około trzech miesięcy. Zdążyłaby więc opuścić gniazdo jeszcze w tym samym roku, podobnie jak to robią zadrzechnie, ale wcale się jej z tym nie spieszy. Będzie zimować w zaciszu gniazda, w bezpiecznym kokonie. Na wiosnę, kiedy temperatura się podniesie, murarka obudzi się z hibernacji, przegryzie najpierw kokon, a później ściankę gniazda, i wyjdzie na świat.

Murarki ogrodowe budują gniazda w różnego rodzaju znalezionych szczelinach – może to być żdźbło trzciny lub pusta w środku łodyga innej rośliny, korytarz wygryziony w drewnie przez larwę chrząszcza, a w przypadku murarek żyjących w sąsiedztwie człowieka – słomiana strzecha starego domu, szczeliny w rozpadającym się murze czy dziurka po gwoździu. Takie gniazda nie zawsze są tak dobrze izolowane od warunków środowiska jak podziemne hibernakula trzmieli, a ponieważ każda pszczola jest oddzielona od swoich siostr i braci kokonem i glinianą ścianką, to przytulenie się do rodzeństwa wzorem zadrzechni też nie wchodzi w grę. Młoda murarka musi być przygotowana na doświadczanie temperatur bardzo zbliżonych do tych panujących na zewnątrz. Badania, które w latach 1994-1999 przeprowadzili Miloje Krunić i Ljubiša Stanisavljević na zimujących murarkach ogrodowych i rogatych, pokazały, że zamarzają one dopiero w minus 30 stopniach Celsjusza.

Obniżanie temperatury zamarzania płynów ustrojowych to jeden ze sposobów na przetrwanie mrozu u owadów, które ze względu na swój tryb życia nie mają możliwości się przed nim schować. Wytwarzając substancje obniżające temperaturę zamarzania, takie jak glikol (ten sam, którego używamy jako środka przeciw zamarzaniu w samochodach), owady te mogą przeżyć w niskich temperaturach bez ryzyka uszkodzeń związanych z tworzeniem się kryształków lodu w organizmie. Alternatywną strategią jest wykształcenie odporności na zamarzanie – gatunki stosujące tę strategię mają przystosowania, za sprawą których tworzące się w ich ciele kryształki lodu nie są dla nich zabójcze (zob. ramka).

Zmiana strategii

Zmiany klimatu powodują, że zimy zaczynają stawiać organizmom inne

Sposoby na odtajanie

ZAMARZNIĘCIE płynów ustrojowych to stan, który dla większości organizmów oznacza śmierć. Niektóre gatunki są jednak w stanie przeżyć i po odtajaniu powrócić do normalnej aktywności. Czasem zdolności te są ekstremalne – rośliniarka

Trichiocampus populi czy spokrewniona z muszką owocową *Chymomyza costata* to przykłady owadów potrafiących przeżyć zamrożenie w ciekłym azocie! Mechanizmy leżące u podstaw tych zdolności nie zostały jeszcze w pełni poznane. Wiadomo, że nie ma jednego uniwersalnego sposobu na tolerowanie zamarznięcia – różne gatunki mogą osiągać ten sam cel na nieco inne sposoby.

NIEKTÓRE OWADY zaczynają zamarzać już w dość wysokich temperaturach



(np. około 5-8 stopni poniżej zera, jak u nowozelandzkiego szarańczaka *Hemideina maori*), ale dzieje się to na ich własnych zasadach. Najpierw zamarza u nich płyn znajdujący się w przestrzeniach międzykomórkowych. Dzięki temu wnętrza komórek są chronione przed mechanicznymi uszkodzeniami, których mogłyby doznać pod wpływem rosnących kryształków lodu. Inne gatunki, jak północnoamerykańska rośliniarka *Cephus cinctus* (na zdjęciu),

są w stanie przeżyć również zamarznięcie zawartości komórek. Uważa się, że pomagają im ochronne substancje, które zabezpieczają białka przed uszkodzeniem lub ułatwiają ich naprawę po odtajaniu. Inne substancje stabilizują już powstałe lodowe kryształki, by nie przebudowywały się i nie rosły dalej w komórkach.

PONIEWAŻ w zamarzniętym organizmie część wody jest uwięziona w postaci lodu, owad musi radzić sobie również z fizjologiczną suszą. Zawartość komórek jest bardziej „skoncentrowana”, co może negatywnie wpływać na ich funkcjonowanie. Zaadaptowany do zimna organizm produkuje więc także takie substancje, które chronią go przed skutkami niedoboru wody. © JK

wyzwania niż dawniej. Już teraz możemy zaobserwować zmieniające się strategie na przetrwanie tego okresu u niektórych gatunków. W latach 90. w Wielkiej Brytanii zauważono dziwne zjawisko. Jesienią pojawiały się młode królowe trzmiela ziemnego, które jednak nie szykowały się do hibernacji, jak by wypadało o tej porze roku, ale nosiły pyłek – najwyraźniej od razu po wyjściu z macierzystego gniazda postanowiły założyć własne! Te przypuszczenia potwierdziły się, kiedy kilka tygodni później pojawiały się robotnice, które musiały pochodzić z gniazd założonych na jesień. Obecnie aktywne zimą kolonie trzmieli są w Wielkiej Brytanii obserwowane co roku. Można je spotkać przede wszystkim w miastach, gdzie z powodu zjawiska znanego jako „miejska wyspa ciepła” panuje wyższa temperatura niż na okolicznych obszarach. Trzmiele mogą tam też korzystać z kwitnących zimą w parkach i ogrodach ozdobnych roślin, takich jak mahonia. Bumblebee Conservation Trust, stowarzyszenie założone przez brytyjskiego badacza trzmieli Dave’a Goulsona, oraz Bees,

Wasps and Ants Recording Society, organizacja zrzeszająca miłośników i badaczy pszczoł, mrówek oraz innych błonkówek, zbierają obserwacje kolonii aktywnych zimą, aby śledzić rozpowszechnienie tego zjawiska.

Wyższe temperatury, mniej śniegu – może się wydawać, że przynajmniej ten przejaw globalnego ocieplenia powinien być dla zwierząt czymś korzystnym. Nie będą musiały walczyć z mrozem, a skrócenie okresu zimowania da więcej czasu na wychowywanie potomstwa. Jednak w rzeczywistości to, co dla części gatunków jest pozytywną zmianą, dla innych może być zagrożeniem.

Johen Fründ, Sarah Zieger i Teja Tschardt w opublikowanych w 2013 r. badaniach sprawdzali, jak podwyższone temperatury w ziemie wpłyną na przedstawicieli dziewięciu różnych gatunków dzikich samotnych pszczoł. Okazało się, że gatunki latające latem, a zimujące w stadium larwalnym dość dobrze poradziły sobie z tym wyzwaniem. Natomiast na gatunki wiosenne, które przed zimą przechodzą kompletny rozwój i zimują w gniazdach jako dorosłe (tak jak mu-

rarka ogrodowa), ciepła zima nie miała dobrego wpływu.

Te, które zimowały w cieple, na wiosnę były chudsze od swoich koleżanek z niższych temperatur. Wynika to z faktu, że metabolizm jest pozytywnie skorelowany z temperaturą. Jeśli zimowa hibernacja nie jest bardzo głęboka – a u badanych pszczoł wiosennych najwyraźniej nie była – to w czasie cieplejszej zimy pszczoła będzie szybciej zużywać energię, spalając zapasy zgromadzone w ciele tłuszczowym. Przełoży się to na jej gorszy start na wiosnę. Każde załamanie pogody, tak częste przecież o tej porze roku, będzie dla niej większym zagrożeniem, niż gdyby miała zgromadzone solidne zapasy pozwalające przetrwać niekorzystny czas.

Aby znów zobaczyć pszczoły odwiedzające kwiaty, przyjdzie nam poczekać parę miesięcy. Teraz ukrywają się przed naszym wzrokiem pod ziemią, wewnątrz gałązek roślin, w pustych muszlach ślimaków, dziuplach i innych miejscach. Pod tą ciszą i pozornym bezruchem kryje się jednak nieustanna walka o przetrwanie, którą nie wszyscy wygryają.

© JUSTYNA KIERAT

REKLAMA

TGD

Kolędy świata

29.12 WARSZAWA
COS TORWAR

30.12 LUBLIN
CSK

6.01 POZNAŃ
SALA ZIEMI POZNAŃ CONGRESS CENTER

8.01 SZCZECIN
FILHARMONIA IM. M. KARŁOWICZA

10.01 RZESZÓW
FILHARMONIA PODKARPACKA

12.01 GDAŃSK
POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA

14.01 KATOWICE
KATOWICE MIASTO OGRODÓW

15.01 KRAKÓW
KINO KIJÓW

21.01 WROCŁAW
NFM

MY, NARÓD

Polityczną sagę da się wyrazić wyłącznie językiem rapu, bo z natury jest oparty na rywalizacji, starciu, zderzeniu. Ale nie musi być antagonistyczny. Po skończonej bitwie raper nie dyszy pragnieniem unicestwienia.

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

MUSICAL ZAWSZE LUBIŁEM. A JEDEN z nich wręcz uwielbiam. Grany od 2015 r. na Broadwayu „Hamilton” Lin-Manuela Mirandy to arcydzieło. Tytułowego bohatera Alexandra Hamiltona, jednego z ojców założycieli Stanów Zjednoczonych, poznajemy jako sierotę wychowującą się na Karaibach, towarzyszymy mu w podróży do Nowego Jorku, podczas zwycięskiej wojny o niepodległość i później, gdy jako pierwszy Sekretarz Skarbu powołuje do życia system fiskalny dla nowego państwa, zdobywa przyjaciół i wrogów. W postaci XVIII-wiecznych ojców założycieli wcielają się w „Hamiltonie” Latynosi i czarni, a towarzyszą im wspaniale rozpisane postaci kobiece. Kolejne przebojowe numery następują po sobie, nie dając widzom szansy na ochłonięcie. Sceny komiczne przeplatają się z tragicznymi, epickie bitwy z rodzinnymi sporami. Ameryka przegląda się w sobie, w swoich początkach.

Historia

„Zróbmy polskiego »Hamiltona«”. Najgłupsze trzy słowa, jakie w życiu wypowiedziałem. Uważaj, czego sobie życzysz, bo może się spełnić.

Współpraca z reżyserką Katarzyną Szynięrą i reporterem Mirosławem Wleklým przy sztuce „Jedzonko” kilka lat temu była wspaniałą przygodą, ale widziałem ją raczej jako koniec pewnej drogi niż początek. „Jedzonko” dotyczyło społecznego postrzegania nowych technologii w żywności – tematu, którym zajmowałem się jako nauko-

wiec. Mój udział w przedsięwzięciu był więc usprawiedliwiony, choć nawet w porównaniu z semiotyczną analizą narracji (moja specjalność) teatr jest zupełnie szalony. Na bankiecie po premierze byłem naprawdę zmęczony. Dlatego kiedy Krzysztof Głuchowski, dyrektor Teatru im. Słowackiego, zapytał mnie, jakie mamy dalsze plany teatralne, rzuciłem beztrosko: „Zróbmy polskiego »Hamiltona«. O Solidarności”. Wydawało mi się oczywiste, że to żart.

Dopóki pół roku później teatr nie odezwał się w tej sprawie. I oto nagle Kasi, Mirkowi i mnie trafiła się szansa, by zrobić coś podobnego. Moglibyśmy stworzyć własny musical! Jedyny problem polegał na tym, że żadne z nas nie miało pojęcia, jak to się właściwie robi. Trochę słabo wypadaliśmy na tle Mirandy, który jest uniwersalnym geniuszem – autorem scenariusza, tekstów piosenek, muzyki, a także odtwórcą tytułowej roli (a przy tym przesympatycznym, skromnym człowiekiem).

Polski Lin-Manuel Miranda nie istnieje. A przynajmniej wciąż się nie objawił. Ale prawie dwa lata pracy nad „1989” przekonały mnie, że istnieje sposób, żeby ten brak obejść. Nasz musical miały zbudować połączone siły różnorodnej drużyny, w której każdy dokłada swój mały kawałek. Zupełnie jak w Solidarności lat 80.

Mieliśmy jedną istotną przewagę nad Mirandą i zamierzaliśmy ją wykorzystać. On poznał Alexandra Hamiltona wyłącznie ze źródeł archiwalnych. Tymczasem większość z naszych bohaterów żyła. Mogliśmy z nimi porozmawiać!



DAWID LINKOWSKI / GDAŃSKI TEATR SZEKSPIROWSKI



Zaczęliśmy od Lecha Wałęsy. Najgorszy wywiad w moim życiu. Czytałem, że Wałęsa bywa trudnym rozmówcą, ale na to nie byłem przygotowany. Prezydent na starcie stwierdził, że moje pytanie było beznadziejne i nie zamierza na nie odpowiadać. Sił spróbował Mirek – z podobnym rezultatem. Kasia dostała trochę taryfy ulgowej, może dlatego, że była w widocznej ciąży, ale odpowiedzi też się nie doczekała. Jakby tego było mało, za plecami Wałęsy wisiała przeróbka „Ostatniej wieczerzy”, na której on sam był Chrystusem, a poszczególni ludzie Solidarności – apostołami (Jarosława Kaczyńskiego obsadzono w roli Judasza). Po mniej więcej pół godzinie prezydent stracił zainteresowanie i jego asystent nas wyprosił. Staliśmy na korytarzu pobici, zdezorientowani i... zachwyceni.

Odbyliśmy potem kilka długich rozmów z ważnymi komunistami współorganizującymi Okrągły Stół. Wszyscy powtarzali to samo. Siłą Wałęsy była jego nieobliczalność. Mieliśmy wymarzoną musicalową postać! „Trickster – połączenie Jokera i Królika Bugsa” – zapisze Kasia w dossier dla aktorów.

Fakty z życia Frasiuniuka czy Borusewicza, które odsłaniały się w osobistych rozmowach, pozwalały nam inaczej zrozumieć nie tylko ich motywacje i sukcesy, lecz także cenę, jaką oni i ich rodziny zapłacili za działalność opozycyjną. Dzięki swojemu doświadczeniu reportera Mirek Wlekły był w stanie stworzyć dla naszych rozmówczyń i rozmówców bezpieczną przestrzeń, przekonać ich, że warto nam zaufać, że wspólnie możemy tę historię opowiedzieć.

Niektórzy z nich mieli na jej temat konkretne wyobrażenia. Np. Władysław Frasiuniuk przekonywał, że największym problemem z pamięcią o Solidarności jest to, że robi się z nich grzecznych chłopców. Zabronił wycinać wulgaryzmy ze swoich wypowiedzi i tłumaczył, że tylko Tarantino mógłby porządnie opowiedzieć tę historię (po wysłuchaniu pilotów kilku piosenek stwierdził, że musical też może dać radę).

Nagraliśmy kilkadziesiąt godzin dyskusji. Niektóre po prostu dały nam do myślenia. Inne – jak historia o marginalizowaniu kobiet, którą Kasi opowiedziała Danuta Wałęsa – były gotowymi materiałami na sceny. Ale jak, u diabła, te historie zamienić na piosenki?! →

Scena z musicalu „1989” w reż. Katarzyny Szyngiery w Teatrze Szekspirowskim w Gdańsku. Rafał Szumera jako Lech Wałęsa, Mateusz Bieryt – Władysław Frasiuniuk i Marcin Czarnik – Jacek Kuroń.



Scena zbiorowa z musicalu „1989” w reż. Katarzyny Szyngierzy w Teatrze Szekspirowskim w Gdańsku

Zróbmy tak Wałęsę

→ Wydawało mi się, że zrobimy spektakl dokumentalny i dodamy kilka piosenek w stylu, o którym miałem jakieś pojęcie – np. punkowych. Na szczęście dyrektor postawił sprawę jasno. Ma być rap. I żebyśmy dogadali się z kimś, kto wie, jak się robi taką muzykę. Odezwaliliśmy się do Webbera – producenta, którego kojarzyliśmy ze współpracy z Łoną. Posłuchał naszych pilotów i – nadal nie mam pojęcia dlaczego – zgodził się z nami pracować. „Co, nie są takie tragiczne?” – spytałem. „Są” – Webber jest mistrzem wspierającego entuzjazmu.

Webber cierpliwie objaśniał nam różnice między „old schoolem” i „new schoolem”, tłumaczył bogactwo rapowych form i gatunków, pokazywał ewolucję, jaką hip hop przeszedł w ciągu trzech dekad, a przede wszystkim – nieustannie podsyłał muzyczne inspiracje i wzory do naśladowania. Były wśród nich kawałki w nobliwym już z punktu widzenia krótkiej historii rapu stylu electro/miami bass. „Zróbmy tak Wałęsę, w końcu był elektrykiem” – zasugerował Webber. Spróbowałem. Wciąż nie było dobre. Ale Webber uznał, że to dobry początek. Powiedział, że znajdzie kogoś, kto ze mną popracuje nad pisanem rapów.

Webber miał przy tym projekcie wiele bardzo dobrych pomysłów muzycznych, ale chyba najlepszym z nich było zaproszenie Bobera. Bober, czyli Patryk Bobrek, to dwukrotny zwycięzca Wielkiej Bitwy Warszawskiej – takich mistrzostw Polski we freestyle’u. Potrafi rapować w wszystkim, natychmiast. Jest też doskonałym

nauczycielem. Dzięki jego cierpliwości stare teksty powoli nabierały rapowego szlif, a nowo powstające były coraz lepsze (a przynajmniej już nie tak bezнадziejne, jak by to ujął Webber.)

Do tego Bober jest w top 10 najbardziej zrelaksowanych ludzi na planecie. W miarę, jak kurczył się czas do premiery, wszyscy wpadaliśmy w panikę. Klótnie i wybuchy zdarzały się coraz częściej. Tylko Bober zachowywał szeroki uśmiech. Wspaniale było układać z nim na kanapie rymy dla Henryki Krzywonos albo Czesława Kiszcza. Moje dzieci też go uwielbiają. Dlatego były bardzo zawiedzione, ilekroć nie docierał na umówione spotkanie. „Hej, Patryk, gdzie jesteś?”. „U siebie. Przecież byliśmy umówieni dopiero na środę”. „Patryk, dziś jest środa...”. „Hej, Patryk, gdzie jesteś?”. „Nie uwierzysz... Już do ciebie jechałem, ale dostałem wiadomość, że zalewamy sąsiada”. „A ty czasem nie mieszkasz na parterze?”. „No właśnie dziwne, nie?”.

Z czasem nauczyłem się lepiej rozumieć rap. Ośluśczałem się z różnymi *flow*, dowiedziałem się, dlaczego rymy, które wydawały mi się świetne, są dużo gorsze niż nieoczywiste, a mniej dokładne współbrzmienia. Rap okazał się sztuką kreatywności wymagającą umiejętności scrabblisty, ultraczułych radarów społecznych i miłości do języka ojczystego. Na Łonę, Matę czy Taco Hemingwaya patrzeć dziś tak, jak dotychczas patrzyłem tylko na Tuwima.

Zrozumiałem też, dlaczego polityczną sagę da się wyrazić wyłącznie językiem rapu. Językiem, który z samej swej natury

jest oparty na rywalizacji, zabawie, starciu, zderzeniu. Język rapu nie musi być jednak antagonistyczny. Nie musimy nienawidzić naszych przeciwników, po bitwie nie musimy dyszeć pragnieniem ich unicestwienia.

Wojna na górze czy pozytywny mit?

Triumf polskiej demokracji 4 czerwca 1989 r. możliwy był dzięki niezwyklej przyjaźni i współpracy. Solidarność była zbudowana na przezwyciężeniu podziałów – między zwolennikami kapitalizmu i socjalizmu, prawicy i lewicy, inteligencją i robotnikami. Wszystkie one okazywały się nieistotne wobec wspólnego wroga, a ostatecznie także wobec konieczności wyprowadzenia kraju z dramatycznego kryzysu.

Tymczasem od 5 czerwca począwszy, budowa normalnej, zdrowej rzeczywistości politycznej wymagała podzielenia się na partie i stronnictwa. Jarosław Kaczyński zrozumiał to błyskawicznie – jeżeli Solidarność nie chce stać się tym, przeciw czemu walczyła, nie może tworzyć nowej monopartii. Zdrowe różnice programowe powinny się swobodnie wyrażać. Oznacza to, że opowieść o narodzinach III RP jest zarazem opowieścią o rozpadzie sojuszu, a może także przyjaźni między jej twórcami. Tadeusz Mazowiecki musi stać w szranki z Lechem Wałęsą, prawica rozstać się z liberałami, socjaliści muszą wymyślić się na nowo.

Dziś często oskarża się Kaczyńskiego o rozbicie Solidarności. Może po prostu od zawsze lepiej wyczuwał, że polityka

jest sztuką zarządzania różnicami, i jako pierwszy miał odwagę wyrazić to, co nieuniknione? Przed 4 czerwca ten instynkt nie był przydatny – istniał tylko jeden znaczący podział polityczny. Jarosław Kaczyński pozostawał figurą marginalną, a jego zmysł polityczny nie miał szansy rozkwitnąć. Po wyborach wszystko się zmieniło – umiejętność zawiązywania sojuszy i wskazywania-kreowania politycznych wrogów okazała się bezcenna.

Nasz pierwotny plan był taki, żeby akcja musicalu zaczynała się właśnie 5 czerwca rano. Demokratyczna opozycja odniosła miażdżące zwycięstwo, komuniści stracili legitymację do rządzenia. Co dalej? Mielśmy gotowy szkic scenariusza. To był naprawdę fajny pomysł! Nadal trochę żałuję niezrealizowanych numerów Balcerowicza oraz szalonego songu o tym, jak przed wyborami w roku 1991 każdy chciał założyć własną partię.

„To nie ma nic wspólnego z polskim »Hamiltonem«, którego obiecywaliście – postawił się znów dyrektor Teatru Słowackiego. – Nie potrzebujemy kolejnych historii o podziałach, rozpadach, kłótniach”. Marzyło mu się coś zupełnie innego. Pozytywny mit. Historia, która do brze się kończy.

„To by była publicystyka – wyjaśniał Głuchowski, tłumacząc nam swoje przywiązanie do koncepcji pozytywnego mitu. – A mnie interesuje teatr. Nie polityka”.

Niestety, wkrótce polityka zainteresowała się nim.

Dziady czy dziadostwo

Dokładnie rok przed zaplanowaną premierą (wtedy wydawało nam się, że to mnóstwo czasu!) na scenie Teatru im. Słowackiego zadebiutowały „Dziady” w reżyserii Mai Kleczewskiej. Małopolska kurator oświaty Barbara Nowak określiła przedstawienie jako „haniebne używanie dzieła wieszczka A. Mickiewicza dla celów politycznej walki współczesnej opozycji antyrządowej z polską racją stanu”. „Zamiast »Dziadów« powstaje dziadostwo” – wtórował jej Przemysław Czarnek.

Teatr stracił znaczną część przewidzianego na kolejny rok finansowania, gdy Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zrezygnowało z planów współprowadzenia placówki, która miała stać się wkrótce narodową instytucją kultury. Zarząd Województwa Małopolskiego wszczął procedurę odwołania dyrektora.

Logika Okrągłego Stołu jest niesamowicie aktualna.

Naprzeciw siebie stanęli ludzie podzieleni nienawiścią, nieufnością i cierpieniem. Jedna strona miała na rękach krew drugiej. Obie rozumiały, że tylko dialog pozwoli uniknąć katastrofy.

Wszystko wskazywało na to, że to koniec naszej szalonej przygody.

Głuchowski był innego zdania: „Wy róbcie swoje, piszcie piosenki, róbcie casting, a mnie pozwólcie robić moją robotę”. No to zrobiliśmy najpierw casting wewnętrzny, wśród aktorów i aktorek Teatru im. Słowackiego. Wyloniliśmy ekipę rewelacyjnych wykonawców gotowych do rozpoczęcia prac z Boberem jako trenerem rapu. Z czasem okazało się, że znajdziemy w nich nie tylko wybitnych odtwórców ról, ale także doświadczonych ekspertów, których pomocy tak bardzo potrzebowaliśmy. Mateusz Bieryt nie tylko wcielił się w postać Frasyniuka, ale też wziął na siebie ciężar rozpisania wielogłosowych partii wokalnych do wszystkich numerów.

Ale przydałoby się więcej rapujących aktorów! Dyrektor zgodził się na casting otwarty. Do sali prób na Radziwiłłowskiej zawitało kilkunastu młodych ludzi – tańczących, śpiewających, rapujących. W międzyczasie do naszej ekipy dołączyła choreografka Basia Olech. Nareszcie powitaliśmy na pokładzie kogoś, kto ma już na koncie musicale i pojęcie, jak to się robi. Wspólnie siedzieliśmy nad rozsypanymi na podłodze CV kandydatów, nie mogąc przeboleć, że musimy wybrać tylko dwóch. „Nie mam pieniędzy na dwóch zewnętrznych aktorów – rozwiązał nasz problem Głuchowski. – A skoro i tak muszę ich gdzieś poszukać, to równie dobrze możecie wybrać trzech”. To był prawdopodobnie najlepszy interes, jaki kiedykolwiek zrobił polski teatr. Współtworzyli teksty, tańczyli, malowali graffiti, a Wojtek Dolatowski został równolegle asystentem reżyserki i choreografki.

Casting na postaci kobiece nie obył się bez przygód. Poprosiliśmy jedną z akto-

rek Słowaka o przygotowanie pilota dla kandydatek, ale w ferworze walki doszło do pomyłki i w świat poszło nagranie, na którym to ja nieudolnym falsetem (ale za to z wielkim zaangażowaniem) wyśpiewuję kolejne kobiece głosy. W sumie to dziwne, że po czymś takim poważne wokalistki zdecydowały się w ogóle odpowiedzieć. Z Julką i Małgosią znamy się już parę miesięcy, a ja nadal nie miałem odwagi spytać, co pomyślały, kiedy otworzyły nadesłane przez nas pliki.

Na koniec drużyna otrzymała jeszcze jedno niespodziewane wzmocnienie. Nie mam na to dowodów, ale podejrzewam, że i tutaj Helena Czarnik miała swój wkład. Jej tatą i mężem Mileny Czarnik, naszej scenografki, jest Marcin Czarnik, który ostatnio zebrał rewelacyjne recenzje za główną rolę w „Lazarusie” Davida Bowiego. Pewnego dnia po prostu zadzwonił i zaproponował, że dołączy do ekipy. Został naszym Jackiem Kuroniem. Specjalnie dla niego kawałek do musicalu napisał Łona.

Dyrektor znalazł nie tylko finansowanie, ale też drugi dom dla naszego projektu. Koproducentem spektaklu został Gdański Teatr Szekspirowski. To tam miała się odbyć premiera (ta krakowska odbędzie się w Teatrze Słowackiego 2 grudnia). Teraz całą scenografię Milena musiała przeprojektować tak, żeby dała się spakować i przewieźć na drugi koniec Polski.

A to był dopiero początek niespodzianek związanych z przeprowadzkami. Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy, jakim wyzwaniem jest nagłośnienie dwóch godzin rapowanych dialogów tak, żeby każde słowo było idealnie słyszalne z dowolnego miejsca publiczności. I to w dwóch zupełnie różnych przestrzeniach! Ekipa dźwiękowców to cisi bohaterowie tego przedsięwzięcia.

W sierpniu zaczęliśmy próby i ekipa po raz pierwszy usłyszała piloty wszystkich kawałków. Fakt, że zdecydowali się zostać z nami, uznałem za dobrą wróżbę. Spędziliśmy godziny na rozmowach o tym, czym dla ich pokolenia może być Solidarność i kim właściwie byli jej twórcy. Ale w tym miejscu moja rola się kończyła. Przez kolejne miesiące mogłem tylko trzymać kciuki i patrzeć, jak aktorzy poświęcają dni i noce na opanowanie gigantycznego materiału. Z niepokojem obserwowałem, jak Kasia prowadzi kolejne próby z małą Różą na rękę, ➔

→ i zastanawiałem się, czy jej, aktorom i personelowi technicznemu starczy energii do premiery (tylko o Bobera nie trzeba się było martwić). Czy to wszystko nie skończy się kosmiczną awanturą?

Jednocześnie wspaniale było patrzeć, jak tekst naszkicowany na papierze do prostej muzycznej pętli ożywa dzięki głosom aktorów i aktorek oraz aranżacjom Webbera. Potem doszły choreografie, a na scenie pojawił się żywy band. Wreszcie, już w Gdańsku, po raz pierwszy zobaczyłem całość w scenografii, w kostiumach i ze światłami.

Pozytywny mit

Na widowni Teatru Szekspirowskiego zasiedli m.in. Danuta Wałęsa, Henryka Krzywonos i Bogdan Borusewicz. Przycupnęliśmy na balkonie i patrzyliśmy na zmianę – to na scenę, to na publiczność. Wyglądało na to, że się podoba. Na bankiecie po premierze podeszła do nas Henryka Krzywonos. Była szczęśliwa i wzruszona. Moim dzieciakom wręczyła po kwiatku. W świecie pełnym murów udało nam się, choć na chwilę, przerzucić most między pokoleniami.

Spróbowaliśmy razem zbudować ten pozytywny mit. Nie w sensie lukrowania i pomników. Nasi bohaterowie są pęknięci i niepewni. Pokazujemy też ich ciemną stronę, pytamy o cenę, jaką płacili za udział w rewolucji. Ale Polska potrzebuje dziś pozytywnej opowieści w tym sensie, w jakim koncepcji tej używa się w psychoterapii. Musimy odnaleźć język do opowiadania o przeszłości, który pozwoli nam się odbić ku przyszłości. To nie oznacza unieważnienia sporów. Nie oznacza wyparcia się swoich racji i poglądów. Przeciwnie – oznacza, że nareszcie będziemy mieć język, by – jak w rapie – konfrontować się, ale nie nienawidzić.

Zresztą logika Okrągłego Stołu wydaje mi się czymś niesamowicie aktualnym. Naprzeciw siebie stanęli ludzie podzieleni nienawiścią, nieufnością i cierpieniem. Jedna strona miała na rękach krew drugiej. Obie rozumiały, że tylko dialog pozwoli uniknąć katastrofy.

„Zróbmy polskiego »Hamiltona«”. Najlepsze trzy słowa, jakie w życiu wypowiedziałem.

© MARCIN NAPIÓRKOWSKI

Inny rodzaj prawdy

MARIA KARPIŃSKA, PISARKA:

Nie umiem odróżnić moich wspomnień od tego, co opowiadali mi rodzice, albo co pamiętam ze zdjęć w rodzinnych albumach. Niektóre historie mają swoją wagę dlatego, że ludzi, o których opowiadają, dawno już nie ma.

MONIKA OCHEŃDOWSKA:

Twój ulubiony literacki buntownik to Lars Gustafsson, szwedzki pisarz urodzony w latach 30. XX w. Cytat z jego „Śmierci pszczelarza” otwiera Twoją powieść „Ucichło”. Wybrałaś fragment: „może jednak udało mi się w końcu. Może wyrzuciłem to z siebie opowiadaniem”. Co mu się udało?

MARIA KARPIŃSKA: Bohater „Śmierci pszczelarza” postanawia spalić kopertę z diagnozą swojej choroby. Mógł się w niej znajdować opis błażej dolegliwości albo wyrok śmierci. Decyduje, że nie chce tego wiedzieć, a swoje myśli i codzienne zdarzenia w kolejnych dniach po pozbyciu się koperty zapisuje w dziennikach, które składają się na tę powieść.

Trudno powiedzieć, czym jest ten jego buntowniczy gest, pewnie każdy odczytuje go inaczej – dla jednych to naiwne udawanie, że śmierci nie ma, dla innych coś w stylu dziecięcego tupnięcia nogą. A dla mnie to chyba wyzwanie rzucone śmierci, jakby w ostatnich dniach życia bohater Gustafssona postanowił krzyknąć: „Na pohybel śmierci!”, i zobaczyć, co się stanie.

Ta książka od początku pisania „Ucichło” była dla mnie ważna, pod koniec powieści pojawia się fizycznie w fabule, w wydaniu, które sama mam w domu, ale bohaterka szybko się jej pozbywa. Ona w geście pszczelarza widzi egoizm. Ale dla mnie jego zachowanie jest zrozumiałe, w jakimś sensie bliskie, sama chyba próbuję wyrzucić „to” z siebie opowiadaniem...

To dlatego Twoją powieść otwiera koncepcja terapii narracyjnej?

Kiedy zaczynałam pisać „Ucichło”, wiedziałam, że ramą będzie terapia nar-

racyjna, dla której ważny jest związek pomiędzy tym, jak ktoś opisuje siebie i swoje życie, a tym, jak go doświadcza i rozumie. W pierwszej chwili pomyślałam nawet, że powinnam się podszkolić od strony naukowej, mieć większą wiedzę psychologiczną na temat tego procesu. Ale później stwierdziłam, że ważniejszy jest bardzo dosłownie potraktowany i niepogłębiony pomysł, że opowiadaniem i tym, jak dobieramy słowa, możemy zmienić postrzeganie siebie i własnego życia. Większość psychoterapii polega przecież na opowieści, proces opowiadania dla wielu z nas stał się także sposobem leczenia – terapia jest w naszym pokoleniu jakimś wspólnym, powszechnym doświadczeniem.

Tymczasem u źródeł tego typu relacji leży pomysł, że samo wypowiadanie słów może coś zmienić. Czy słusznie? Wydaje mi się to warte przenicowania w literaturze.

Trochę tutaj Iwaszkiewicza, prawda?

Tak, robiąc pierwsze notatki do książki czytałam na nowo jego opowiadania. Po raz kolejny sięgnęłam po jego „Kochanków z Marony” i miałam poczucie, że panuje tam atmosfera, którą chciałabym oddać w powieści. Pomiędzy dwójką głównych bohaterów – Olą i Jankiem – pada takie zdanie, które sobie później zapisałam. On mówi, że pokochał ją, bo wiedział, że ona go uratuje od śmierci, że dzięki niej śmierć znikną: „wyleczyłaś mnie od tego strachu, który mnie ogarniał zawsze, tak bardzo mi dokuczał, zanim ciebie poznałem. A teraz wiem, że śmierci nie ma, bo ty jesteś koło mnie i będziesz zawsze koło mnie... (...) jesteś moim ocaleniem. Ja ciebie nie kochałem. Ale pomyślałem sobie: taka mądra, uczona kobieta, starsza ode



JĘDRZEJ SOKOŁOWSKI

mnie, doświadczona, ona coś wymyśli na to, abym ja mógł żyć”.

Imiona po „Kochankach...” dostali potem bohaterowie „Ucichło”.

A kilka dni temu mama mojego męża spytała, dlaczego jedna z bohaterek powieści, terapeutka, ma na imię Felicja. Odpowiedziałam, że nie ma w tym żadnej historii poza tym, że takie imię pasowało do koncepcji książki, bo oznacza szczęście.

Tymczasem ona ściągnęła z półki „Listy do Felicji” Iwaszkiewicza. Nie znałam tego zbioru – jest zupełnie niesamowity. To listy, które Iwaszkiewicz pisał do zmyślonej kobiety, Felicji, podpisując się jako Eleuter. Są tam rozważania o krytyce literackiej i literaturze kierowane do nieistniejącej osoby, pozornie odpowiadające na jej argumenty i pytania. Osoby, która jednak w trakcie publikowania „Listów...” – pojawiła się.

Jak to?

Prawdopodobnie znajoma Iwaszkiewicza, tłumaczka Izabela Czermakowa, zaczęła się pod Felicję podszywać, odpisując pisarzowi, a on wszedł w tę konwencję. Zaczął publikować także jej – tym razem prawdziwe – listy i tak powstała ko-

MARIA KARPIŃSKA jest autorką opowiadań i powieści, krytyczką literacką. W 2020 r. ukazał się jej debiut prozatorski „Żywopłoty”, za który otrzymała Nagrodę im. Cypriana Kamila Norwida. Niedawno wydała drugą książkę – „Ucichło”.

respondencja na łamach „Nowin Literackich”. Tak że, jak widzisz, Iwaszkiewicz wkłada mi się do książek, czy tego chcę, czy nie (*śmiech*).

Co ciekawe, moja Felicja ma podobną jak w „Listach...” funkcję – zadaje pytania, na które bohater odpowiada, za każdym razem trochę przecież inaczej... W ogóle sam Iwaszkiewicz zadaje pytania, które mnie interesują. Ale robi to, chowając się za swoimi bohaterami. Za ich historią.

A pierwsza ważna dla Ciebie historia?

Samodzielnie przeczytana? „Dzieci z Bullerbyn” – dziewięć razy z rzędu. Gdy poznałam lity, interesowała mnie wyłącznie ulubiona powieść Astrid Lindgren. Rodzice długo tłumaczyli mi, że skoro potrafię już czytać, mogę poznać też inne hi-

storie, nieskończenie wiele historii, ale mnie się to wydawało niepotrzebne.

Teraz sama mam kilkuletniego syna i widzę, że on także nie rozumie, dlaczego miałby zmieniać rzeczy, które lubi. Jeśli coś jest świetne – po co szukać czegoś nowego? Dla dorosłych taka powtarzalność jest nudna.

Dlaczego chciałaś zostać w Bullerbyn?

Myszę, że po prostu bałam się tego, co mnie spotka w innych książkach. Gdy dobrze znamy jakąś historię, kroczymy po bezpiecznym gruncie, czujemy się jak w domu. Przeróżające momenty są oswajone, wiemy, kiedy się ich spodziewać. Ryzyko lektury nowej książki polega na tym, że nie mamy pojęcia, co nas czeka. Mój mąż dotąd jest bardzo ostrożny wobec literatury. Każdą nową książkę otwiera z dużą dozą niepokoju, o tak (*śmiech*).

Jakby zerkał przez uchylone drzwi?

Nie przeczytałby książki, o której niczego by uprzednio nie wiedział. To mi się podoba, nie tylko dlatego, że ja mam zupełnie inaczej – bo teraz wręcz wrzucam w siebie historie na oślep – ale również z tego powodu, że pokazuje siłę literatury. To, co przeczytaliśmy, już zawsze w nas będzie. Trzeba uważać, kogo wpuszczamy do środka.

Co zmieniają opowieści?

Jestem akurat po lekturze powieści „Dla Rouenny” Sigrid Nunez. To historia kobiety, która została wysłana na wojnę w Wietnamie. Zaczyna się tak, że do nowojorskiej pisarki odzywa się przyjaciółka z dzieciństwa. Okazuje się, że pod koniec lat 60. była na froncie pielęgniarką, a teraz, po latach, chce spisać swoje wspomnienia i prosi narratorkę o pomoc.

Trzeba zaznaczyć, że Rouenna nie może znieść książek i filmów o Wietnamie, ma poczucie, że rozmywają prawdziwe doświadczenie wojny. A przy tym jest przekonana, że to właśnie jej doświadczenie ma wartość dokumentalną, i że potrafi opowiedzieć tamten czas dokładnie tak, jak wyglądał. Paradoksalnie nie poszukuje wirtuozki pióra, wręcz przeciwnie – godnej zaufania, bliskiej osoby, która będzie pilnowała, by niczego nie zmyśliła, nie oddaliła się od prawdy. Tymczasem przyjaciółka stara się wytłumaczyć Rouennie, jak pracuje pamięć. Próbuje ją przekonać, że rzeczywistość dawno naniosła na jej



→ wspomnienia swoje poprawki. Więcej, jeśli pisziesz książkę, unikanie zmyśleń jest po prostu niemożliwe.

Nie ma prawdy w literaturze?

Jest w niej inny rodzaj prawdy. Jeśli postawimy się w miejscu Rouenny – odpowiadając na pytanie o to, co zmieniają opowieści – sposób, w jaki opowiadamy o sobie i swojej przeszłości, to tak naprawdę wszystko, co mamy.

Natomiast narratorka Nunez wie, że Rouenna, jak my wszyscy, za każdym razem opowiada swoje życie na nowo, a realne doświadczenie zostaje nieopowiedziane. Albo inaczej: każdy z nas dysponuje różnymi wersjami własnego życia, a to oznacza, że to, co nazywamy naszą przeszłością, jest tylko jedną z paru możliwych opowieści o niej. Można się teraz zastanowić, czy to oznacza, że mamy możliwość zmiany tej przeszłości, jeśli tylko ułożymy historię o niej trochę inaczej.

Wit Szostak wydał kilka lat temu „Przypisy końcowe” – tekst będący listą adnotacji do historii, której – paradoks – czytelnik nigdy nie poznaje. Tę historię musi sobie zbudować wyłącznie na podstawie przypisów, co oznacza, że za każdym razem i dla każdego będzie ona inna. U Szostaka zresztą podmiot, narrator, zawsze zostaje zastonięty, nieobecny. Jest pustką, która rodzi męt, opowieść. Tobie jest to bliskie?

Badanie tych kwestii sprawiło, że zaczęłam pisać. Tak, wspomnienia są żywe, ewoluują, pamięć sztukuje scenografię w zależności od tego, co w naszym życiu wydarzyło się później, co wciąż się wydarza. Opowieść wygrywa z prawdą. Jeśli istnieje tylko opowieść, jej waga staje się jasna: męt stwarza świat. W „Ucichło” historię bohaterów widzimy z paru, momentami przeciwstawnych punktów widzenia, w „Żywopłotach” narrator – podobnie jak u Szostaka – stwarza siebie za pomocą wielu opowieści, a jedną nicią, która je spaja, jest porządek przemijania.

Jakie jest Twoje pierwsze wspomnienie?

Pamiętam raczej odczucia niż obrazy. Na przykład poczucie bycia lekką. Zawsze byłam drobna, bardzo chuda i wydaje mi się, że jedno z najwcześniejszych moich wspomnień dotyczy właśnie tego – wrażenia, że można mnie podnieść

Wspomnienia są żywe,
pamięć sztukuje scenografię,
opowieść wygrywa z prawdą.
Jeśli istnieje tylko opowieść,
jej waga staje się jasna:

mit stwarza świat.

jedną ręką, że jestem tych samych gabarytów co terier sąsiadów, a moje ciało ma inny status niż ciała dorosłe.

A obrazy?

Nie umiem odróżnić moich wspomnień od tego, co opowiadali mi rodzice, albo co pamiętam ze zdjęć w rodzinnych albumach. Kiedy miałam dwa lata, zmarł mój wujek. Niedługo przed jego śmiercią dostałam nowe buty i postanowiłam mu je pokazać, mieszkaliśmy wtedy na dwóch poziomach jednego domu. To takie wspomnienie związane z jego odchodzeniem dzielone przez całą moją rodzinę. Pamiętam te buty, albo inaczej – wydaje mi się, że je pamiętam, ale ponieważ słyszałam tę historię tak wiele razy, to w pamięci przechodzę przez próg mieszkania, a potem podchodzę do wujka, którego znam ze zdjęć, bo nie pamiętam przecież, jak wyglądał. Ale czy wydawałoby mi się, że pamiętam to wszystko, gdyby wujek żył? Niektóre historie mają swoją wagę dlatego, że ludzi, o których opowiadają, dawno już nie ma.

Dobry bohater literacki także powinien umrzeć?

Ha! Oglądałam kiedyś taki film, niby dobry, ale utkwił mi w pamięci i będzie chyba niezłą odpowiedzią na to pytanie. Jego akcja rozgrywa się w dwóch przestrzeniach, dwóch światach. Jeden z nich należy do pisarki, granej przez Emmę Thompson, która tworzy powieść. W drugim obserwujemy fabułę, którą ona kreuje, wymyśla. I w pewnym momencie – taki sprytny hollywoodzki trik – okazuje się, że bohater tej powieści nie jest wcale papierowy, naprawdę żyje, chodzi po ulicach tego samego miasta! Więcej – orientuje się, że jego życie zależy właśnie od tej kobiety. Jeżeli pisarka zdecyduje, że ma go przejechać ciężarówką, tak się rzeczywiście stanie. Mężczyzna zaczyna więc walczyć o to, żeby do swojej stwórczyni dotrzeć i przekonać ją, że nie powinna go

uśmiercać. Autorka postanawia tymczasem poradzić się profesora literatury, jak powinna swoją powieść zakończyć. Profesor czyta i wydaje wyrok – jeśli go zabijesz, to będzie arcydzieło. Jeśli postanowisz go ocalić – wyjdzie tak sobie.

Napisała bestseller?

Historia kończy się happy endem, ale odpowiedź na twoje pytanie brzmi: dobry bohater literacki powinien umrzeć (*śmiech*). Niekoniecznie dosłownie, ale coś w nim musi ulec destrukcji. Wydaje mi się, że zmiana jest trzonem dobrej historii, zasadą opowieści.

Ten facet z filmu jednak do końca wierzy, że zostanie ocalony.

Bo najciekawsze w opowieściach są próby przefiltrowywania przez siebie poczucia końca. Inny ważny dla moich książek autor, austriacki pisarz Elias Canetti, całe życie – właściwie jeszcze na kilka dni przed odejściem – tworzył „Księgę przeciwko śmierci”, był owładnięty wymyślaniem słów, które mogłyby unicestwić koncepcję śmierci. Nawoływał w „Księdze...”, by się przeciwko śmierci jednożyć. Gdyby wszyscy ludzie uznali, przekonywał, że śmierci nie ma, naprawdę dałoby się ją unicestwić. W pewnym momencie Canetti wymyśla sobie nawet bohatera, który mógłby stawić jej czoło. Nazywa go roboczo „wrogiem śmierci”. Potem go porzuca, uważając, że nie tędy droga. Postanowiłam jakoś wykorzystać ten motyw. Pomyślałam, że mój bohater mógłby być właśnie tym zaginionym bohaterem Canettiego. Kimś, kto postanawia śmierć unicestwić, innymi sposobami, rzecz jasna, nie za pomocą literatury, ale poprzez próbę buntu, naiwnego, dziecięcego udawania, że śmierci nie ma. Skoro stworzymy siebie za pomocą słów, co się stanie, jeśli jakieś słowa wykasujemy ze swojego słownika?

Co się stanie?

Próbuję się tego dowiedzieć w moich książkach. Wydaje mi się, że gdybyśmy wszyscy stanęli na przeciwległym biegunie i zgodzili się na śmierć, oswoili ją, świat byłby nie do zniesienia. Wyjałowiony z tęsknoty, żalu i rozpacz, zostałby pozbawiony może wszystkiego, co jest nieprzyjemne, ale w wielu przypadkach, a na pewno w moim, napędza do tworzenia.

©P Rozmawiała MONIKA OCHEŃDOWSKA



BBC / MATERIAŁ PRASOWY

Kadr z serialu dokumentalnego Adama Curtisa „Rosja 1985-1999: TraumaZone” (2022).

Kraj, który nie wierzy już w nic

JAKUB MAJMUREK

„TraumaZone” jest nie tylko filmem o historii Rosji, ale także o tym, jak tę historię widział na bieżąco Zachód. I czego nie chciał widzieć, łudząc się opowieściami o budowaniu demokracji i wolnego rynku.

JEWGIENIJ KISIELOW, JEDEN Z NAJPOPULARNIJSZYCH dziennikarzy politycznych rosyjskiej telewizji lat 90., mówi łamaną angielszczyzną: „200-300 kilometrów od Moskwy demokracja niewiele znaczy. Po dziesięciu latach demokracja stała się czymś w rodzaju przekleństwa. Można kogoś obrazić, nazywając go demokratą”.

Słowa pojawiają się na końcu dokumentalnego serialu Adama Curtisa „Rosja 1985-1999: TraumaZone. Jak wyglą-

dało życie w czasach upadku komunizmu i demokracji” (BBC, dostępny na YouTube). Jeśli uważnie oglądaliśmy kolejne odcinki, rozumiemy, czemu pod koniec lat 90. – gdy demokratyczny eksperyment skończył się farsą ostatnich lat rządów Borysa Jelcyna, drugą wojną w Czeczenii i dosłownym bankructwem państwa – Rosjanie mogli myśleć tak, jak przedstawił to Kisielow.

Brytyczyk Curtis jest dziś jednym z najciekawszych głosów w filmowym

dokumencie. Nie interesuje go opowiadanie historii konkretnego bohatera, mówi o wielkich procesach historycznych, społecznych i cywilizacyjnych zmianach. W „Stuleciu ja” (2002) przyglądał się temu, w jaki sposób teorie Freuda, psychoanaliza i kontrkulturowe ideały autoekspresji i autentyczności stały się siłą napędową konsumpcyjnego kapitalizmu i polityki opartej na marketingu i zarządzaniu wizerunkiem. W „Sile koszmarów” (2004) porównywał światopogląd dwóch stron „wojny z terrorem”: radykalnych islamistów i amerykańskich neokonserwatystów. Najczęściej podejmuje temat kondycji współczesnych zachodnich demokracji: wydrążonych od środka, niezdolnych dostarczyć obywatelom ani poczucia sensu, ani podmiotowości, ani realnego wyboru.

Curtis pracuje przede wszystkim w archiwach. Montuje znalezione w nich filmowe materiały w nowe narracyjne całości, opatrując je komentarzem z offu. Gatunkowo jego dzieła kwalifikuje się na ogół jako esej filmowy, choć on sam mówi o „dziennikarskich śledztwach” – badających zjawiska bardziej złożone niż np. korupcja przy rządowym przetargu.



Imperium nie wie, że upadło

→ W „TraumaZone” bierze na warsztat 15 lat z historii Rosji i ZSRR, między początkami władzy Gorbaczowa a wejściem do wielkiej rosyjskiej polityki Putina. Patrzy na tę epokę przez pryzmat materiałów zgromadzonych w dawnym moskiewskim archiwum BBC. Większość nigdy nie została wyemitowana. W „TraumaZone” nie ma głosu z offu, komentarz ograniczony jest do kilkudziesięciu napisów na dole ekranu, wyjaśniających kontekst archiwalnych ujęć.

Opowieść zaczyna się, gdy reżim radziecki ciągle stara się utrzymywać mocarstwową fasadę. Oglądamy wizytę zachodnich dziennikarzy w Gosplanie, urządzie odpowiedzialnym za przygotowywanie i monitorowanie planów dla całej radzieckiej gospodarki. Urzędnik z dumą mówi o Gosplanie jako o „mózgu” radzieckiej gospodarki, do którego spływają informacje z całego państwa, zachwala zalety planowania.

Curtis zestawia tę narrację z obrazami pokazującymi, jak plan działa „na dole”. Kierownik pralni na przedmieściach Moskwy skarży się, że ponieważ kilka lat temu wymieniał sprzęt dostarczył trochę złomu do skupu – stare pralki, rury itd. – urząd planowania nałożył na niego obowiązek dostarczania co roku określonej ilości złomu. Pralnia, by wypełnić plan, musi przeznaczać swoje zasoby na zakup lub zbieranie złomu – inaczej grożą jej dotkliwe grzywny. Plan zmusza przedsiębiorstwa do zachowań ekonomicznie irracjonalnych.

Obraz lat 80. pełen jest podobnych kontrastów. Związek Radziecki wysyła w kosmos sondę mającą badać odległe obszary układu słonecznego, ale produkuje wadliwe telewizory, których wybuchy są najczęstszym powodem pożarów w radzieckich mieszkaniach. Nie potrafi dostarczyć podstawowych dóbr – w radzieckiej jeszcze Mołdawii toczy się proces starszej kobiety, sądzonej za kradzież deficytowych towarów: żyłek i maszynki do golenia. W szkole w Kabulu

Sprzątaczką pytana, o czym marzy, czuje się zdziwiona pytaniem. Jak dorosły człowiek może je zadawać!

„Nie mam żadnych marzeń, a nawet gdybym miała, toby się nie spełniły”.

dzieci uczą się propagandowych radzieckich piosenek, gdy w tym samym czasie Armia Czerwona ponosi coraz większe straty w wojnie w Afganistanie. Imperium jeszcze nie wie, że upada, ale jego los jest już przesądzony, co najlepiej symbolizuje katastrofa w Czarnobylu.

Próżnia po społeczeństwie

Ostatni sekretarz KPZR zrozumiał, że totalna kontrola partii nad całością życia gospodarczego, społecznego i politycznego to ślepa uliczka. Gorbaczow nie przewidział jednak, co się stanie, gdy w ramach systemu kontrola zostanie poluzowana i część elity potraktuje to jako sygnał do rozkradania kraju.

Curtis pokazuje proces na przykładzie największych w ZSRR zakładów samochodowych w Togliatti nad Wołgą. Gorbaczow daje większą władzę menadżerom, by ci zracjonalizowali i usprawnili produkcję. Radzieccy menadżerowie po pierwsze nie wierzą, że da się to zrobić w ramach istniejącego systemu, po drugie nie widzą w tym interesu. Autonomię wykorzystują, by wspólnie z rosnącą w siłę zorganizowaną przestępczością wyprodukować samochody z fabryki. Gangsterzy ustawiają się w kolejce pod bramami, konkurencyjne grupy przestępcze walczą o dostęp do schodzących z taśmy ład.

Historia z Togliatti jest dla Curtisa modelem rosyjskich przemian, który powtarzać się będzie na o wiele większą skalę aż do końca lat 90. Oglądając „TraumaZone” można odnieść wrażenie, że jeśli gdzieś takiego jak społeczeństwo” naprawdę się zmaterializowały, to w ostatnich latach ZSRR i w poradzieckiej Rosji. W poradzieckiej rzeczywistości zamiast społeczeństwa mamy bowiem – tak przynajmniej wygląda to w filmie Curtisa – zamkniętą we własnej bańce elitę polityczną, nieświadomą tego, jak realnie

działają wprowadzane przez nią reformy; nową drapieżną elitę na styku nomenklatury, służb i środowisk przestępczych, rozgrabiającą słabnące państwo; wreszcie niezdolne do działania, znoszące to wszystko z cierpliwym fatalizmem, biedniejące masy, czasem tylko wybuchające krótkotrwałym gniewem.

Elity reformatorów z lat 90. niczym się nie różnią w swoim oderwaniu od rzeczywistości od tych radzieckich. Twórca rosyjskiej terapii szokowej Jegor Gajdar obiecuje Jelcynowi, że uwalniając ceny, w sześć tygodni zbuduje w Rosji gospodarkę rynkową. W ciągu niecałych dwóch miesięcy udaje mu się zostać „najbardziej nienawidzonym człowiekiem w Rosji”. Dla Curtisa jest on postacią podobnie ideologicznie zaślepioną, co twórcy Gosplanu, którzy wierzyli, że można stworzyć system, gdzie politykę zastąpi technokratyczne planowanie. Gajdar wierzył, że politykę zastąpić mogą rzekomo obiektywne i niezmiennie prawa rynku – z podobnie oplakany skutkiem.

Oligarchowie za ułamek wartości przejmują najcenniejsze przemysłowe i surowcowe aktywa. Jakkolwiek wątpliwe byłyby źródła ich bogactwa, Zachód nie ma problemów z tym, by brać od nich pieniądze. Curtis pokazuje dyrektora z domu aukcyjnego Sotheby’s, który w latach 90. zaczyna eksplorować rosyjski rynek. Wynajduje cenne artefakty radzieckiej przeszłości – dzieła sztuki, propagandowe materiały, rękawice od skafandra kosmonauty – i sprzedaje je bogaczącą się rosyjskiej oligarchii. Jak mówi do kamery: „ludzie nie są tu wcale tak biedni, w gotówce krążą miliardy dolarów. Choć oczywiście większość nie dysponuje takimi pieniędzmi”.

Curtis oddaje głos tej milczącej większości. Ludziom, którzy nie wierzą, że kolejne reformy mogą coś realnie zmienić w ich życiu na lepsze. „Ludziom pracy trudno będzie uczciwie zaspokoić podstawowe potrzeby” – tak zapowiedź uwolnienia cen komentuje zza baterii ściętych świńskich głów pracowniczka rzeźni. Sprzątaczką pytana w czasach, gdy ogłaszane są reformy Gorbaczowa, o czym marzy, czuje się zdziwiona tym, że dorosły człowiek może zadawać tak głupie pytania. „Nie mam żadnych marzeń, a nawet gdybym miała, toby się nie spełniły” – odpowiada.

W „TraumaZone” widzimy, jak w Rosji po komunizmie rozkłada się cywiliza-

**RADIO
KRAKÓW**

Co wtorek o godz. 14.30
na antenie Radia Kraków
goszczą dziennikarze

„Tygodnika Powszechnego”. Stuchaj nas
w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Zakopane – 100,0 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Gorlice – 97,4 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Tarnów – 101,0 FM | Rabka Zdrój – 87,6 FM
Andrychów – 98,8 FM | www.radiokrakow.pl

cja. Zakłady pracy miesiącami nie płać pracownikom albo płać im w produkowanym przez nich towarze – często takim, którego nikt nie chce kupić. Kraj dziesiątkuje epidemia gruźlicy i AIDS, alkohol i narkotyki zbierają żniwo. Państwowy system ochrony zdrowia sobie z tym nie radzi, pracownicy mający jakikolwiek wybór masowo uciekają z podle płacącej budżetówki. Gangi toczą ze sobą regularną wojnę na ulicach, policja jest albo bezradna, albo przekupiona.

Ku demokracji sterowanej

Kiedy w poradzieckiej Rosji skończyła się demokracja? Może zasadnicze pytanie brzmi: czy nie była przypadkiem martwa od urodzenia? A jeśli nie martwa, to przynajmniej na tyle chora, że pozbawiona szans na dotrwanie do dojrzałości.

W „TraumaZone” widzimy Rosję lat 90., w której Kreml, inaczej niż za Putina, ma jednak realnych konkurentów politycznych, a wybory nie toczą się według z góry rozpisanego scenariusza. Z drugiej strony, od konfliktu Jelcyna z parlamentem z 1993 r. – który Jelcyn rozstrzygnął na swoją korzyść przy pomocy czołgów – jakkolwiek realna demokratyczna kontrola władzy poza wyborami jest w Rosji fikcją. Na jej symbol wyrasta w filmie postać generała Lebedzia, kandydata wystawionego przez oligarchów, by podzielić antyjelcynowskie głosy w wyborach prezydenckich w 1996 r. Lebedź nie miał żadnego programu, w kampanii głównie atakował Jelcyna, jednak po tym, gdy w pierwszej turze zajął trzecie miejsce, przekazał urzędującemu prezydentowi swoje poparcie.

Mechanizmy doprowadzonej do perfekcji w czasach Putina „demokracji sterowanej” testowane były już w latach 90. Dzięki nim Putin po raz pierwszy przejmuje władzę, jako kandydat oligarchów i ludzi Jelcyna, którzy postawili na niego jako na kogoś, kto zagwarantuje, że stan posiadania uwłaszczonych w latach 90. nie zostanie zakwestionowany. Jak wiemy, Putin miał ostatecznie inne plany, skupił całą władzę w swoich rękach i stworzył system zrywający nawet z pozorami demokracji, a oligarchów podporządkował Kremlowi.

Czego nie chcemy widzieć

Tytułową „strefą traumy” jest nie tylko Rosja, ale prawie cała poradziecka rzeczywistość. W kolejnych odcinkach do-



BBC / MATERIAL PRASOWY

Kadr z serialu „Rosja 1985-1999: TraumaZone”.

kumentu Curtisa widzimy, jak rozpad radzieckiego imperium odmraża dawne narodowe konflikty na jego peryferiach, tworzy tam słabe, pogrążone w wiecznych wewnętrznych problemach państwa lub kierowane przez byłych pierwszych sekretarzy dyktatury. Oglądamy obrazy z Naddniestrza, Abchazji, Czeczenii, konflikty rozdzierające Ukrainę.

Fragmenty spoza Rosji to najsłabsza część dokumentu Curtisa. Tematyka Azji Środkowej sprowadzona zostaje do kilku obrazków stepowej egzotyki. Ukrainie poświęcono znacznie więcej miejsca, nie pokazując jednak na jej temat niczego odkrywczego. Po 1991 r. zupełnie tracimy z oczu państwa bałtyckie, którym przecież z jakichś powodów udało się uniknąć katastrofalnego rosyjskiego scenariusza.

„TraumaZone” jest nie tylko filmem o historii Rosji, ale także o tym, jak tę historię widział na bieżąco Zachód. Czy raczej – biorąc pod uwagę, że większość materiałów pokazywanych w filmie nie trafiła na ekrany – o tym, czego nie chciał widzieć, ludząc się opowieściami o kraju, który po latach niewoli w końcu buduje demokrację i wolny rynek.

Dzisiaj te obrazy stają się widoczne nie tylko dlatego, że Curtis wydobywa je z archiwum, ale także w kontekście polityki Rosji w ostatnich miesiącach. Pokazując, skąd wzięło się przyzwolenie Rosjan na

putinizm i dlaczego społeczeństwo pozostało bierne nawet wtedy, gdy Putin zafundował Rosji kolejną wojnę, prowadzącą, jak wszystko wskazuje, do katastrofy.

Zmierzenie się z tym, czego Zachód nie chciał widzieć, skłania też do pytania, czego nie chcemy widzieć dzisiaj, patrząc na współczesną Rosję. Brytyjski filozof John Gray, pisząc o serialu Curtisa na łamach „New Statesman”, odczytuje go jako ostrzeżenie przed fantazjami o tym, że klęska Rosji w wojnie z Ukrainą, a nawet upadek Putina otworzą drogę do demokratycznych przemian czy końca rosyjskiego imperializmu. Po Putinie może przyjść ktoś jeszcze gorszy, a dekompozycja współczesnej Rosji oznaczałaby niewyobrażalny chaos o konsekwencjach trudnych do przewidzenia dla całego świata – przestrzega Gray. Choć z drugiej strony, czego już nie pisze, także obecna Rosja z Putinem na czele jest i będzie źródłem zagrożenia dla porządku międzynarodowego, zwłaszcza w naszym regionie.

Po obejrzeniu „TraumaZone” trudno wykrzesać w sobie nadzieję na to, by historia Rosji w końcu potoczyła się dobrą drogą. Zwłaszcza że, jak przekonująco pokazuje Curtis, od dawna nie są w to już w stanie uwierzyć sami Rosjanie.

© JAKUB MAJMUREK

Zaćmienie serca

ANITA PIOTROWSKA

„Pięć diabłów” mogłoby się równie dobrze nazywać „Pięć żywiołów” albo „Pięć zmysłów”. Lèa Mysius rozbudza nie tylko powonienie w jego najbardziej pierwotnym kształcie, ale też namiętności czy tęsknoty.

STOWARZYSZENIE NOWE HORYZONTY



SĄ ZAPACHY, KTÓRYCH NIE DA SIĘ NO-
sić na co dzień ani nawet od święta,
bo zdają się zbyt osobliwe, lecz bardzo
chciałoby się je mieć na półce. Zwłasz-
cza gdy znajdują się we flakonie, który
sam w sobie stanowi rarytas. Tak wła-
śnie jest z filmem „Pięć diabłów”. Opo-
wiada o olfaktorycznym geniuszu, uru-
chamia swym bukietem moce iście ma-
giczne i bizarne wędrówki w czasie, jego
skład zaś to brawurowa mieszanka naj-
dziwniejszych ingrediencji. Z silną prze-
wagą nuty serca.

Namiętną kolekcjonerką woni wsze-
lakich jest tutaj Vicky (gra ją wspaniała
Sally Dramé), ośmioletnia czarownica
z fryzurą w stylu afro XL. Z tego powodu
bywa przezywana w szkole „szczotką
klozetową”, posiada natomiast własny
świat zamknięty w starannie oznaczo-
nych słoiczkach. Zbiera do nich wydesty-
lowane przez siebie zapachy będące wi-
zytówką bliskich jej osób, szczególnie na-
leżące do jej mamy. Joanne, dawna miss
regionu (w tej roli Adèle Exarchopoulos,
znana z „Życia Adeli”, filmu o turbulen-
cjach w związku lesbijskim, co oczywi-
ście nie może być przypadkiem), pracuje
na co dzień jako instruktorka aerobiku
wodnego w tytułowym ośrodku sporto-
wym.

Cała rzecz rozgrywa się w alpejskim
miasteczku tuż przed Gwiazdką, na
oczach dziewczynki, która dostrzega
znacznie więcej niż to, że pomiędzy jej
rodzicami coś nie klika. I podczas gdy

mama po godzinach ćwiczy oddech w lo-
dowatych wodach górskiego jeziora, po-
chodzący z Senegalu ojciec (Moustapha
Mbengue) zajmuje się, dla odmiany, ga-
szeniem pożarów. Woda i ogień będą
w tym filmie kotłować się na różnych
planach i w mało wyważonych propor-
cjach.

Przed wszystkim reżyserka kreśli tę
historię z uroczą dezynwolturą, jakkol-
wiek nie każdy pewnie od razu da się jej
uwięzić. Trudno jednak długo się opie-
rać, kiedy na ekranie królują trochę wy-
obrażone, a trochę nostalgiczne „ejtisy”
i „najntisy”, a przewodniczką po świecie
dorosłych tajemnic jest mała szamanka,
prócz wężu doskonałego obdarzona szó-
stym zmysłem. Owa moc uruchamia się
zwłaszcza w relacjach z matką, kochaną
przez Vicky wręcz obsesyjnie. Tymcza-
sem w rodzinnym domu pojawia się na-
głe intruzka, czyli dawno niewidziana Ju-
lia (w tej roli piosenkarka Swala Emati),
wyklęta przez wszystkich siostra ojca
i dawna przyjaciółka mamy. Taka, co
lubi od czasu do czasu dać sobie w szyję
i coś puścić z dymem; kobieta i z krymi-
nalnym, i z psychiatrycznym bagażem.
Dla dziewczynki wnosi zagrożenie zupeł-
nie innego kalibru niż dla reszty otocze-
nia. Otóż – nie zdradzając za wiele z fa-
buły – Vicky podejrzewa, że przez proble-
matyczną ciocię mogło w ogóle nie dojść
do jej poczęcia. Dlatego dziecko potajem-
nie wykrađa zapach Julii i pod jego wpły-
wem przenosi się do nastoletnich czasów

matki, ojca i ciotki, kiedy ich wspólna hi-
storia miała jeszcze potencjał, by rozwi-
nać się w zupełnie innym kierunku.

Podobny motyw, spotkanie swojej ro-
dzicielki w wersji z przeszłości, wykorzy-
stała niedawno w „Małej mamie” Céline
Sciamma i raczej nie jest to zbieg oko-
liczności (obie reżyserki znają się choćby
z pracy przy scenariuszu filmu Audiarda
„Paryż, 13. dzielnica”). Wszelako „Pięć
diabłów” stanowi przeciwieństwo tam-
tego minimalizmu, chociażby poprzez
ową alchemiczną zmysłowość i dziar-
skie mieszanie w gatunkowym kotle.
Na pierwszy plan wybija się oczywiście
przypadek genialnego dziwoląga – na-
piętnowanej przez białe otoczenie czar-
nej dziewczynki, która panicznie boi się,
że ktoś zaprzeczy jej istnieniu, i z pomocą
swoich zapachowych zdolności postana-
wia przejąć nad tym kontrolę. Ów dramat
podany został zresztą trochę łobuzersko,
niczym w „Silent Twins” Agnieszki Smo-
czyńskiej, co wydaje się o tyle zabawne,
iż twórczyni „Pięciu diabłów” również
ma siostrę bliźniaczkę, Esther Mysius,
pracującą na planie „Diabłów” jako sce-
nografka. I tym razem za sprawą dziecię-
cej wyobraźni władzę nad rzeczywisto-
ścią przejmują wykreowany pół żartem,
pół serio magiczny realizm, stając się klu-
czem zarówno do sensacyjnej zagadki
związanej z ciotką Julią, jak i do *love story*
z dwiema kobietami w rolach głównych.
Swoją drogą, ich wspólne wykonanie „To-
tal Eclipse of the Heart” („Całkowite za-



PIĘĆ DIABŁÓW

(*Les cinq diables*)

– reż. Léa Mysius.

Prod. Francja 2022.

Dystryb.

Stowarzyszenie

Nowe Horyzonty.

W kinach od 2 grudnia.

Léa Mysius

(ur. 1989) to jedna

z oryginalniejszych

postaci młodego kina

francuskiego.

Była współscenarzystką

filmów uznanych

twórców: „Miłosiernego”

(2019) Arnauda

Desplechina,

„Paryża, 13.

dzielnicy” (2021)

Jacques’a Audiarda czy

„Stars at Noon” (2022)

Claire Denis.

Jako reżyserka

zadebiutowała filmem

„Ava” (2017)

– zmysłowym

i ekscentrycznym

portretem dorastania.

ćmienie serca”) z repertuaru Bonnie Tyler, na oczach niezbyt tolerancyjnych mieszkańców miasteczka, to jedno z piękniejszych wyznań miłosnych w dzisiejszym kinie.

Lecz są też wyznania zgoła inne. Na przykład odpowiedź na pytanie, które dziewczynka zadaje w pewnym momencie swojej mamie: „Czy kochałaś mnie, zanim zaczęłam istnieć?”. W wywiadach Mysius podkreśla psychoanalityczny ciężar tych słów i odwołuje się do „Nocy seksualnej” Pascala Quignarda, gdzie mowa o niewidzialnej „scenie pierwotnej”, związanej z okolicznościami naszego poczęcia. Sam film, silnie zakorzeniony w żywej i nieożywionej materii, z całą jej sensualną aurą, szorstkością i ziemskim brudem, o czarnym humorze nie wspominając, wystrzega się wysokich tonów. Choć przecież byłby wdzięcznym obiektem dla różnego rodzaju analiz, np. we wspomnianym już kontekście rasowym, który z pewnością jest istotny dla tożsamości małej bohaterki, dorastającej w zamkniętym, prowincjonalnym kręgu. Ale Mysius woli nie upolityczniać tej opowieści wprost. Woli pogрузić nas w chaosie zmysłów, pomysłów i żywiołów, by doprowadzić do sytuacji, kiedy przeszłość zaczyna ujawniać swą logikę i każde z głównych bohaterów wreszcie znajduje własne miejsce w skomplikowanej konstelacji miłosnej.

Mamy więc baśń, w której dzięki wiedźmińskim zabiegom najmłodszej bohaterki rozpoczyna się cudowny proces odkłamywania rodziny i sklejanie jej w mniej konwencjonalną, za to bardziej autentyczną całość. Jak na baśń przystało, lubuje się w przewidywalności i nadmiarowości, co bynajmniej nie odbiera jej powabu. Musi też czasem coś zazgrzytać w połączeniu rodzinnej i środowiskowej tragedii z fantazją o supermocach, które stają się panaceum na to pierwsze. Jeśli jednak zanurzyć się w tym pomieszaniu z całym jego popkulturowym i popmistycznym dobrodziejstwem, obecnym zarówno w obrazie, jak i ścieżce dźwiękowej, wówczas rozkosz zabawy, a nawet maleńkie *katharsis* – gwarantowane. ©

Lektor: Świadek, uczestnik, kronikarz



■ **ANDRZEJ FRISZKE. ZAWÓD: HISTORYK.**

ROZMAWIAJĄ JAN OLASZEK I TOMASZ SIEWIERSKI

Biblioteka „Więzi”,

Warszawa 2022,

ss. 640. Ilustracje.

„OBYŚ ŻYŁ W CIEKAWYCH CZASACH” – ANDRZEJ FRISZKE należy do osób, które z tego przekleństwa uczyniły swój atut, uczestnictwo w wydarzeniach czasów zaiste ciekawych wykorzystując w życiu zawodowym. Teraz jest jednym z najważniejszych znawców XX-wiecznych i współczesnych dziejów Polski. Łączy solidność i skrupulatność w korzystaniu ze źródeł z niezależnością sądów i obiektywizmem. Niczyjej „polityki historycznej” nie wspiera, choć prywatnie nie kryje np. sympatii do tradycji pepeesowskiej.

Uczeń czwartej klasy olsztyńskiego liceum odwiedza ludzi zaangażowanych niegdyś po prawej i po lewej stronie sceny politycznej dwudziestolecia. W dodatku kolekcjonuje albo kopiuje archiwalne zdjęcia. Uczeń urodził się w roku 1956, więc mamy lata 70., kiedy postanawia się podzielić niektórymi zdobyczami z Zakładem Historii Ruchu Ludowego. Konsekwencją jest donos do SB napisany przez pracownika tegoż Zakładu. Pasja młodego amatora od razu spotyka się z realiami Peerelu...

Dzisiaj dwaj historycy, młodszy od Friszkego o trzy dekady, przepytują go z jego biografii. Syn pastora Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego, absolwent historii Uniwersytetu Warszawskiego, jest autorem wielu książek, profesorem i członkiem Polskiej Akademii Nauk. Opozycjonista przedsierniowy i posierpniowy, pracował w pierwszym „Tygodniku Solidarność”, w warszawskim Klubie Inteligencji Katolickiej (choć ewangelik) i w „Więzi”, badał archiwa londyńskiej emigracji, nagrał obszerną rozmowę z Lidią Ciołkoszową, weteranką polskiego ruchu socjalistycznego.

Po 1989 r., zgodnie z patriotycznymi tradycjami rodzinnymi (patriotyzm to naprawdę nie jest brzydkie słowo!) zaangażowany w budowę nowej Polski, uczestniczył w przegranej bitwie o kształt Instytutu Pamięci Narodowej, a dzisiaj bardzo krytycznie ocenia polską rzeczywistość polityczną i manipulowanie historią przez władze. „Podejrzana stała się cała historia uprawiana normalnie, czyli opisująca złożony bieg dziejów, zjawiska z perspektywy oceniająca chwalebnie lub krytycznie, szukająca namysłu nad przeszłością”. Przesunięcie podmiotu dziejów z państwa na naród sprzyja zastąpieniu opisu i analizy – kreowaniem mitów i kultem bohaterów, których lista bywa dość wybiórczą. „Zawód: historyk” to lektura nadzwyczaj interesująca, wielowątkowa i w całości wcale nie tak pesymistyczna jak zakończenie. ©P

OLGA

Drenda:

Radości zabrania się



TRAFIŁAM W SERWISIE MEDIUM.COM NA TERMIN „detoks od muzyki”. W pierwszym odruchu zaśmiałam się, bo brzmiało to jak niesławne mądrości Tipper Gore i telewizyjnych kaznodziejów z Ameryki czasów Reagana, którzy straszili występkiem szerzącym się poprzez piosenkę, i uznałam to za żart. Niestety, ten ktoś pisał zupełnie serio: postanowił na pewien czas zrezygnować z kontaktu z muzyką, gdyż uznał, że może mu szkodzić. W innym zakątku sieci trafiłam na porównanie „ogłuszania się agresywną muzyką” do uzależnień od substancji chemicznych. Uwierzyłam wtedy, że faktycznie możemy żyć w czasach nowego purytyzmu. Wcześniej traktowałam te diagnozy jako przesadzone, ale im głębiej nurkuję w uniwersum samodoskonalenia, tym mocniej przekonuję się, że jest wielu ludzi, którzy marzą o pozbyciu się z życia czynnika ludzkiego, czyli błędu, ale także przyjemności.

Można zrozumieć ludzkie zmęczenie hałasem, pośpiechem czy nadmiarem informacji. Sama na to narzekam i wiem, że zbyt wiele czasu spędzam w internecie na własną zgnębienie. Zdumiewającym jednak jest zarysowanie zjawisk, które byłabym skłonna postrzegać jako zdrową alternatywę dla używek czy pozytywnej pasji, jako niebezpieczeństw bliskich narkotykom. W końcu gdy poddajesz się detoksowi, to znaczy, że coś cię zatruło. Główny zarzut polega na prowokowaniu do u c i e z k i oraz na skażeniu biochemicznym: muzyka ma wpływać na gospodarkę dopaminą w mózgu (a to substancja chemiczna *du jour*, na której ostatnio zna się każdy niechemik i niebiolog, dlatego ja już nic więcej o tym nie napiszę). Ludzie aseptycznie czystości uznają satysfakcję z twórczości za odmianę konsumpcji. A to znaczy, że ma powodować bałagan, czyli zło.

Od czego zatem „uciekają” ci godni pożałowania tchórze, te niedoskonałe byty, którym zdarza się lubić muzykę, gry albo spacerować bez celu i krokomierza? Otóż od „obecności tu i teraz”,

Atrybut
człowieka
zrównoważonego



OLGA DRENDA

od czystości umysłu i pełnej koncentracji, a przede wszystkim od produktywności. Autor wyznania o detoksie od muzyki stwierdził jeszcze, że „coś, co w ciągu dziesięciu minut potrafi wywołać radość, smutek czy determinację, nie może być zdrowe”. A niezdrowe znaczy niegodne. Po detoksie nasz bohater chwalił swoją zdolność do szybkiego wejścia w tryb pracy oraz wolność od uczuć i myśli. To, dla odmiany, godne. Miałabym zatem być wolna od pragnień, ale gotowa poświęcić swoją autonomię, wolę i czas mglistej obietnicy lepszego życia.

Czym jeszcze, oprócz pracy na zawołanie, można zasłużyć sobie na miano człowieka produktywnego? Np. pożądane są sporty – ale nie takie, w których czerpie się radość z ruchu (jak pisał Roger Caillois: „zabawy typu *illinx*”), ale takie, które wymagają spartańskiej dyscypliny i regularności. Rolki, bieganie z psem czy koszykówka to jakaś dziecinada, prawdziwie Produktywny Człowiek musi być doskonale mierzalny i wybierze takie sporty, przy których podda się ścisłemu reżimowi, choć nie jest i nie będzie zawodowcem. Frajda, jaką można czerpać z ruchu, to coś gorszego niż grzech – to strata czasu i uwagi, które można by było ułożyć wydajnie.

Ponieważ algorytmy doskonale wiedzą, jakie zagadnienie aktualnie mnie frapuje, podsyłają mi pomysły na nowe kursy produktywności, obiecujące, że stanę się doskonale przewidywalnym człowiekiem, któremu niezmaconą równowagę na cały dzień zapewni „poranna rutyna” (ciekawe, że skojarzenie z nudą i brakiem smaku życia, wbudowane w polskie znaczenie tego słowa, dziś się zaciera). Nie mam wątpliwości, że to nie tylko nie zadziała, ale również nie chciałabym osiągnąć takiego rezultatu, pozostając przy własnej wadliwości z całym dobrodziejstwem inwentarza.

Z reklam i rekomendacji wyłania mi się jednak wizja, że pragnieniem ludzi, którzy dążą do detoksu od wszystkiego, co grzesznie rozprasza, jest absolutna aseptyczność i użyteczność. Jason Tebbe, autor artykułu o „wiktoriańskich XXI wieku” w magazynie „Jacobin”, który swego czasu cieszył się popularnością jako demaskacja pozorów „zdrowego życia”, wspominał, że muzyka padła ofiarą formatowania pod obowiązujące idee. W czasach wiktoriańskich miała służyć celom edukacyjnym – broń Boże nie rozrywce. Podobnie sport nie może cieszyć. Praca, a raczej wydajność również stanowi tu cel sam w sobie. Jest to jednak wydajność nieprowadząca do niczego konkretnego, sztuka dla sztuki, wysiłek, z którego nie powstają domy, chleby, filmy ani programy. Podobnym celem samym w sobie jawi się poszukiwanie równowagi biochemicznej mózgu, tylko po to, by być w równowadze (a przez to bardziej przewidywalnym i wydajnym). Z publikacji, które czytam ze zgrozą i fascynacją, wyłania mi się obraz człowieka ogarniętego lękiem przed brakiem równowagi i poszukującym jej z uporem godnym lepszej sprawy. Czy ta obietnica jest w ogóle wiarygodna, czy to pałac z tektury? Co się stanie, gdy już zostaniemy zrównoważonymi i produktywnymi ludźmi pozbawionymi pragnień i odruchów? Czy będziemy szczęśliwi, czy tylko przyzwoici, a może dwulicowi jak prawdziwi wiktoriańscy?

Zamierzam badać to zjawisko dalej, ale już przy muzyce. Oraz kawie. ©

PAWEŁ

Bravo: Siła słodczy



„TO NIE MA BYĆ ZDROWE, TO MA SPRAWIĆ radość” – taki komentarz znalazłem na liście potrzeb w jednej ze zbiorów dla ludzi w Ukrainie. Tym razem nie szło o odzież termiczną dla wojska ani masę na plecy zbole

od noszenia bynajmniej nie garniturów kamizelek. Chodziło o potrzeby zupełnie cywilne, choć w sytuacji naszych braci takie ograniczenia tracą sens. Albowiem wytrwałość i możliwości jako takiego przetrwania tych, co marzną z dala od ściśle pojętego „frontu”, liczy się dla wojny tak samo, jak dostawa wyrzutni, pocisków i innego kosztownego sprzętu. Gdyby chwilowo walki z racji pogody miały spowolnić, tym bardziej ważne zaczęłyby być to, jak dzień za dniem przetrwają zimę ludzie pod dachami bloków i kamienic. Nie zburzonych wprawdzie w sensie budowlanym, ale ze zburzonym poczuciem bezpieczeństwa, które stanowi fundament domu rozumianego jako coś więcej niż kupa cegieł.

No więc te listy banalne i łatwe do przewidzenia, choć prawie żaden i żadna z nas nie musiała nigdy planować zakupów, przyjmując efektywność odżywczą za jedyne kryterium, wybierając wyłącznie to, co maksymalnie pożywne, a przy tym łatwe w przechowywaniu i proste do zjedzenia, trwałe i najlepiej jeszcze wygodnie pakowane. Ale jeśli zdarzało się wam wspierać osoby w kryzysie bezdomności, jeśli kupujecie „coś do chleba” dla człowieka mijanego w miejscu, gdzie gromadzą się ludzie rzućeni przez los w niechciane warsztaty z survivalu, to znacie ten rodzaj kalkulacji. Z każdej złotówki wydusić jak najwięcej życiowej siły.

Jaki jest zaś kolor racjonalizmu i pragmatyzmu? Z przyczyn, na których zgłębianie nie ma tu miejsca, przytłaczająca większość zdrowych i rozsądnych środków pozwalających tanio zasilić organizm jest szarobura jak kasza lub blade jak mielonka. Wyjątek czyni sok pomarańczowy, o ile w naszych realiach zaliczymy go do listy niezbędności – wszak prościej i rozsądniej, jeśli chodzi o skracanie łańcucha dostaw, tudzież ślad węglowy, czerpać wysoce przyswajalną witaminę C z soku z kiszzonej kapusty. Śmiało możemy wziąć go za symbol wizualnej nijakości podstawowych pakietów przeżycia na zimę. Może nie uważałem 30 lat temu na zajęciach z pigmentów i palet, ale wydaje mi się, że nie ma w słowniku naszych sztuk plastycznych słowa ani numeru na ten szczególnie rodzaj brudnej żółci wpadającej w jasnogliniastą ziemistość.

Otóż listę, którą przebiegałem właśnie wzrokiem, ułożył ktoś znający się jednak na naturze człowieka, także tego zaszczutego rakietami i mrozem. Rozumiejący, że zgrzebne szare sukno organicznego przetrwania przesywa cienka, acz mocna nić przeżycia estetycznego, zwłaszcza gdy chodzi o dzieci – im po prostu wolno chcieć, by świat był kolorowy i słodki. Krzywdą dzieci uwypukla ich liczebność na oglądanych przez nas obrazach, widać je jeszcze ostrzej niż dorosłych. Żeby pomnożyć efekty tej szczątkowej pomocy, jaką pełni bezradności ładujemy w paczki, myślimy – powinniśmy myśleć – o tym, żeby dla dzieci było słodko i kolorowo. Dokładnie tak, jak mądrze napisał ktoś na marginesie, jakby chciał z góry przeprosić, że zwraca się do nas, surowo dawkujących naszym bezpiecznym dzieciom łakocie (a i to tylko organiczne, słodzone daktylem i posypane kokosem), żelki, orazadki i gumy, zwłaszcza gumy, najlepiej w formie jaskrawych dużych kulek, takie, jakich już się prawie nie widuje w porządnym sklepie. Radość, taka zwyczajna, dziecienna – używamy tego słowa, bo tylko dzieciom zezwalamy ją otwarcie przeżywać – z pewnością podwaja wartość kaloryczną gumy, skądinąd złożonej oprócz farby prawie wyłącznie z cukru.

Wstydziłbym się pisać, że gumowe kulki radości to amunicja, z jakiej możemy teraz strzelać, bo byłby to naiwny kicz. Niestety wojny się wygrywa żelastwem, elektroniką i przede wszystkim siłą, której nabywa się, jedząc konserwy z kaszą. Ale pamiętajmy o niej także w odniesieniu do siebie. Teraz, na ostatniej prostej między czarnym piętkiem a mikołajkami, pomyślimy, czy by nie podzielić naszego budżetu na prezenty na dwie równe części. Jedną wydajmy, może za pół ceny też będziemy umieli sprawić sobie radość. Resztę przeznaczmy na to, czego potrzeba Ukraincom. Ich siła i opór przed Moskalami to najlepszy prezent, jaki możemy teraz razem dostać. © P

Gdy szukam skojarzeń wojny i łakoci, pamięć podsuwa mi ciastka, które możecie łatwo zrobić oprócz pierniczków na najbliższe święta. Nazywają się „ciastka Anzac”, bo ponoć w takie byli zaopatrzeni żołnierze z korpusu australijskiego i nowozelandzkiego w krwawej operacji Gallipoli w 1915 i 1916 r., gdy państwa ententy próbowały przejąć kontrolę nad Morzem Czarnym. W dużej misce mieszamy 120 g mąki z 100 g cukru trzcinowego oraz po ok. 80-90 g płatków owsianych i startego kokosa. Topimy 120 g masła, dolewamy doń 2-3 łyżki tzw. złotego syropu albo miodu, kiedy się roztopi – dodajemy łyżkę sody rozpuszczonej w 3 łyżkach ciepłej wody. Tak uzyskaną miksturę przelewamy do miski z suchymi składnikami, mieszamy drewnianą łyżką, formujemy małe okrągłe ciastka i układamy na blasze, zostawiając między nimi parę centymetrów odstępu. Pieczemy w 180 st. C około kwadransa, aż się ozłocą. Delikatnie odklejamy od blachy i studzimy.



NAJLEPSZA PORA ROKU

ADAM WAJRAK, PRZYRODNIK:

Miałem sporo przygód z niedźwiedziami polarnymi i tylko raz zdarzyło mi się zdjąć karabin z ramienia.

Ale nie musiałem strzelać, nawet na postrach.

Broń, wbrew nazwie, nie służy do obrony, tylko do zabijania.

Do niczego więcej.

ADAM ROBIŃSKI: „Poznaliśmy się w dobrych okolicznościach i dogodnym momencie”. To Ty o Arktyce.

ADAM WAJRAK: Lata 90. to czas, kiedy nasz, zachodni świat, ale również Rosja, wszyscy Arktyce po prostu odpuściliśmy. Po wiekach rozkwitu traperstwo i wielorybnictwo niemal zaniknęły. Coraz wyraźniej obserwowaliśmy, że ochrona przyrody przynosi wymierne efekty. No i ciągle odległą przyszłością było to, z czym mierzymy się dziś. Dopiero po ogłoszeniu w 2009 r. przez Amerykańską Służbę Geologiczną raportu dowiedzieliśmy się, jak duże są arktyczne zasoby ropy i gazu. Po wyraźnym zaniku pokrywy lodowej w latach 80. lata 90. były pod tym względem stabilne. Mało kto się Arktyką interesował. Wymyśliłem sobie, że to będzie mój rejon. Że będę tam jeździł, a poza mną – jeszcze tylko paru naukowców i turystów.

Młody dziennikarz największej gazety z kraju, który dopiero co otworzył się na świat. Biję z Twoich wspomnień – książki „Na północ” – duża pewność siebie.

Ona mi towarzyszyła zwykle na początku każdego wyjazdu. Ale potem szybko zniknęła, bo orientowałem się, że zupełnie nie mam pojęcia, z czym to się wszystko je. Lecisz po przygodzie, a potem nagle zostawiają cię na bezludnej wyspie. Zupełnie samego. Bałem się już za pierwszym razem, w Estonii. To był lęk przed samotnością, przed codziennym konfrontowaniem się z własnymi myślami. To nie są łatwe sprawy dla kogoś, kto ma 22 lata. Podobnie było później, na Spitsbergenie. Gdzieś tam daleko na horyzoncie pojawiał się niedźwiedź polarny, a ja wpadałem w irracjonalne przerażenie. Dziś zachowałbym się w takiej sytuacji inaczej. Patrzyłbym przez lornetkę i cieszył się obserwacją. Wtedy panikowałem.

Jechełeś po przygody, ale za przewodników miałeś naukowców. Nie bałeś się, że ich spojrzenie na Arktykę okaże się monotonne albo nudne?

Nigdy w życiu! Znałem już wtedy masę naukowców, ornitologów, ludzi z Kampinoskiego Parku Narodowego, byli dla mnie synonimem wrażeń i emocji, a nie nudy. O żadnym naukowcu nie powiedziałbym, że jest nudny. Poza tym na ekipę polskich polarników mówiło się Polish Arctic Mafia. Od Ani Białej z redakcji „Gazety Wyborczej” wiedziałem, co to za ludzie. Oni są jak jedna wielka chodząca przygoda. Jak spotykasz Marcina Węśławskiego, który jest absolwentem pierwszego w historii rocznika oceanografii na Uniwersytecie Gdańskim, a dziś profesorem i szefem Instytutu Oceanologii PAN, to masz wrażenie, że na twojej drodze stanął Gandalf i zaprasza cię na wielką wyprawę. Marcin jest osobą, która roztacza przed ludźmi najbardziej fantastyczne scenariusze. W moim przypadku niemal wszystkie się zrealizowały.

Ale Arktykę, tak jak i góry, zwykle się zdobywa.

I to ze sztucercem na ramieniu. Są tacy, którzy budują wokół tego sztucera cały swój arktyczny wizerunek.

Ty piszesz, że nawet nie umiałeś z niego strzelać.

Zawsze byłem słabowitym chłopcem. Kiepsko grałem w piłkę, wolno jeździłem na rowerze. Musiałem znaleźć dla siebie zupełnie inną drogę, również w dorosłym życiu. Jasne, byłem na paru wycieczkach polarnych, które pewnie można by nazwać wyprawami. Ale generalnie unikam tego słowa. Wyprawy to był Shackleton i Amundsen. Dziś podróżowanie tam jest bardzo łatwe i nie ma w sobie nic z wyczynu. A przez tę maczystowską narrację o walce, zdobywaniu, podboju działa się w Arktyce wiele złego. Wolę pokazać, że to takie miejsce, gdzie najlepiej po prostu usiąść na kamieniu i się rozejrzeć. Zobaczyć, jak żyje lis polarny albo mewa.

→

W Puszczy Białowieskiej, luty 2016 r.





Z bronią, mimo wszystko, na podporządku. Którą już umiesz się posługiwać.

Jasne, trzeba uważać. Ale na pewno nie jest tak, że wszystko kręci się wokół karabinu. Miałem sporo przygód z niedźwiedziami i tylko raz zdarzyło mi się zdjąć karabin z ramienia. I też nie musiałem wtedy strzelać, nawet na postrach. Wróciłem niedawno ze Spitsbergenu. Miałem coś do sfotografowania tu, w Puszczy Białowieskiej. Szedłem do lasu obładowany sprzętem, dwa statywy, trzy aparaty, ciężko jak cholera, ale paradoksalnie miałem poczucie, że jest mi lżej, bo nie mam karabinu. Nie widzę nic fajnego w broni palnej. Ciągłe mam z tyłu głowy słowa Marka Górskiego z Polskiej Stacji Polarnej. Powiedział mi kiedyś: zapamiętaj to sobie na całe życie, broń, wbrew nazwie, nie służy do obrony, tylko do zabijania. Do niczego więcej.

Kiedy czyta się Twoje wspomnienia z Arktyki, nie można się oprzeć wrażeniu, że równolegle, w tym samym czasie, zaprzyjaźniałeś się z Puszczą Białowieską, by ostatecznie w niej zamieszkać. Rzeczywiście, to się działo jednocześnie.

Co Ci w takim razie dawała Arktyka, czego nie mogła dać Puszcza?

Nigdy tak nie myślałem. Te dwa miejsca w ogóle nie są przeciwstawne. Gdyby to były dwie kobiety, to choć blondynka i brunetka, byłyby bliźniaczkami. Podobieństwa są ogromne. Oba miejsca są na pierwszy rzut oka przytłaczające i groźne. Tam lód i mróz, tu powalone drzewa i masa dużych zwierząt. Ale dla kogoś takiego jak ja, kto nie lubi gonić, woli się zatrzymać i popatrzeć, i Arktyka, i Puszcza okazują się bardzo przyjazne. To również bardzo kruche ekosystemy.

Kruche?

Łatwo je wykoleić. W Puszczy wystarczy wyciąć stare drzewa i wszystko się zawali. W Arktyce wystarczy, że zniknie lód. Nie da się go sztucznie wyprodukować, tak jak nie można zrobić sobie samemu prawdziwego lasu. W jednym i drugim miejscu widać również jak na dłoni, co się dzieje, gdy człowiek odpuszcza. A dzieją się piękne rzeczy. Siadasz na stołku przed chatą na Spitsbergenie i obserwujesz liski, które nic sobie nie robią z twojej obecności. Patrzysz rano przez okno tu, w Tere-miskach, i widzisz pasącego się zubra. Wiesz co, musisz mi uwierzyć na słowo, ale w tej chwili też widzę przed domem zubra [rozmawiamy za pośrednictwem internetu – AR].

Wierzę.

Arktyka nauczyła mnie wielu rzeczy, jedną z ważniejszych jest to, że zwierzęta nie uciekają przed człowiekiem. Ten nienaturalny odruch wyrobiły sobie dlatego, że jesteśmy dla nich źli. Więc kiedy ten mój zubr też się nie płoszy, to jestem szczęśliwy, bo wiem, że tak się właśnie naturalnie powinien zachowywać.

Ale mimo wszystko mam wątpliwości co do tych podobieństw. Piszesz w książce, że w Arktyce nie chodzi o różnorodność biologiczną, ale o liczbę zwierząt tam żyjących. Tymczasem Puszcza to tygiel, oaza gatunkowego bogactwa.

Jedno i drugie jego bogactwem, choć faktycznie zbudowanym z innych cegieł. W Arktyce jest ich mało, ale są ogromne, z kolei te puszczańskie są drobne, ale jest ich mnóstwo. Pierwsze wrażenie dotyczące Północy może być mylące. Lód, pustka, surowa przestrzeń. Ono jest spotęgowane tym, że nie możesz znaleźć znajomych punktów odniesienia, takich jak drzewa. I tym, że pozbawione zanieczyszczeń powietrze jest tak przejrzyste, że widzisz na kilometry. Ale ta przestrzeń to tylko zasłona, za którą kłębi się życie. Kilka lat temu pojechaliśmy z Nurią [Selvą, żoną Adama Wajraka – AR] i biologiem Lechem Stempniewiczem na Ziemię Księcia Karola. Jej północny kraniec to cypel Fuglehuken, góra ptaków. Nigdy nie widziałem tyle życia, co tam. Lisy, piękne renifery, tysiące ptaków, a obok jeszcze wylegają się foki. Puszcza Białowieska nie uderzy cię w jednym miejscu dwoma milionami gniazd, jak jest na przykład na Wyspie Niedźwiedziej.

Choć do Arktyki jeździsz od 30 lat, to przez ten czas pisałeś głównie o polskiej przyrodzie. Trudno było odgrzebywać tamte wspomnienia, kiedy już siadłeś do pisania?

To rzeczywiście była podróż w czasie. Szybko się okazało, że dużo rzeczy muszę samemu sobie wyjaśnić. Wiele spraw było dla mnie zaskoczeniem. Pisałem na przykład o Bałtyku jako morzu polarnym, bo tak je traktuję. W Rzucewie w Zatoce Puckiej była kiedyś osada łowców fok. To były foki grenlandzkie, a więc takie, na które dziś polują Inuici w zupełnie innej części świata. Byłem przekonany, że skoro tak, to znaczy, że musiało być tu wówczas wyjątkowo zimno. Sprawdziłem. I niespodzianka. To był akurat ciepły okres w tej części Europy. Albo inna sprawa. Opisuję w książce masowe skoki młodych nurzyków z kolonii lęgowych do morza. Dawniej nie zastanawiałem się, czemu to robią, traktowałem to po prostu jako fascynujący, choć krwawy spektakl przyrody.

Robią to, bo?

Bo im się to opłaca. Choć to się wydaje irracjonalne, bo narażają się na śmierć ze strony mew i lisów, to jednak z punktu widzenia rodziców im szybciej taki maluch znajdzie się w wodzie, tym mniej trzeba będzie inwestować w jego karmienie. Wtedy, pod Górą Wrzasku, patrzyłem na tę rzeź pisklaków i nijak jej nie rozumiałem. Wracając po latach do swoich notatek, zacząłem szukać odpowiedzi na tego typu pytania. A musisz wiedzieć, że mam taką tradycję: gdy tylko przylatuję do Longyearbyen, stolicy Svalbardu, idę do Svalbardbutikken. To wysunięty najdalej na północ supermarket na świecie. Kupuję notatnik. Notatnik, ołówek i temperówka to najtańsze pamiątki ze Spitsbergenu. Temperówka kosztuje tyle, co puszcza przeterminowanego groszku.

Czego jeszcze nie odnalazłeś w swoich notatkach?

Dopiero teraz zaczęła mnie interesować kwestia pochodzenia gatunków. Na przykład to, że bezpośrednimi przodkami współczesnych niedźwiedzi polarnych były brunatne z Irlandii. Niesamowite! Irlandia, zielona wyspa, i niedźwiedzie polarne. Z kolei lisy polarne, które kiedyś były gatunkiem powszechnym, a ich szczątki znajdowano choćby w okolicach Krakowa, przyszedł do nas z Tybetu. Himalaje zawsze były miejscem bardzo zimnym, gdzie ewolucyjnie

powstawały gatunki przystosowane do życia w tak skrajnych warunkach. Kiedy w wyniku zlodowaceń na Ziemi robiło się chłodniej, te gatunki rozchodziły się po świecie. To wspinała teoria.

Czy dziennikarzowi, który od trzech dekad pisze o ochronie przyrody, łatwo odnajdywać w świecie niewinne zachwyty, które były udziałem dwudziestoparolatka? Twoja praca to dziś zwykle mierzenie się z wymierzaniem gatunków, katastrofą klimatyczną. Babranie się w polityce.

Przez te trzydzieści lat zachwyty i frustracje miałem w podobnych dawkach. Raz jest lepiej, raz gorzej, ogólnie rzecz biorąc – podobnie. Z jednej strony lata 90. to był fantastyczny czas z punktu widzenia kogoś, kto pisze o ochronie przyrody. Powstało mnóstwo parków narodowych, wilk został w Polsce objęty ochroną gatunkową. Miało się poczucie, że sprawy idą w dobrym kierunku. Potem wszystko się posypało, choć były też sukcesy. Najpierw Rospuda, potem Puszcza Białowieska. Myśmy osiągnęli w puszczy nieprawdopodobny sukces. Coś, o czym śniły pokolenia jej badaczy, Szafer, Karpiński, Pucek, Kossak...

Czyli co?

Ano to, że od listopada 2017 r. nie wycięto tu ani patyka. Puszcza jest chroniona wyrokiem sądowym Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej, ale też zabezpieczeniem sądowym wywalczonym przez Pracownię na rzecz Wszystkich Istot, związanym z pozwem cywilnym przeciwko Lasom Państwowym. Od stu lat nie było tak, żeby w Puszczy nie prowadzono żadnych prac gospodarczych. Sytuacja jest bezprecedensowa. Idziesz do lasu i widzisz, jak on się zapuszcza, jak dziczeje. Dla mnie to jest ogromny strzał pozytywnej energii. Jasne, potem wracam do domu, widzę dane dotyczące dwutlenku węgla w atmosferze czy znikającego lodu i szybko przypominam sobie, że ochrona Puszczy to jest drobnostka, nic nieznaczący ogródek. No ale nie da się ukryć, że żyję w takiej puszczańskiej bańce, która daje mi energię. I to mimo tego szalonego muru, który przeciął ją na pół.

No właśnie, budowa muru na granicy Polski i Białorusi nie stała się przykrywką dla prac leśnych?

Wycięto masę drzew, najpierw na opał, potem w związku z budową muru, ale nie miało to związku z gospodarką leśną. To jest oczywiście straszna krzywdą, ale mnie osobiście z równowagi aż tak nie wytrąca. Może dlatego, że go jeszcze nie widziałem.

Świadomie trzymasz się od niego z daleka?

Być może. Ale mam zaplanowaną wycieczkę, żeby sprawdzić, co i gdzie zniszczono. Mam poczucie, że ten mur jest raną, która się jednak zabiłi. On nie przetrwa. Najważniejsze, że Lasy Państwowe już nie tną Puszczy.

Wspomniałeś o Rospudzie. To, zdaje się, był moment, gdy polityka na dobre weszła w sprawy ochrony przyrody.

Środowisko naukowo-przyrodnicze często powtarza, że przyroda jest niepolityczna. Moim zdaniem to błąd, ona



ARCHIWUM ADAMA WAJRAKA

ADAM WAJRAK (ur. 1972) jest dziennikarzem, przyrodnikiem, autorem książek. Mieszkaniec Puszczy Białowieskiej, od 1994 r. regularnie jeździ do Arktyki. Nakładem Wydawnictwa Agora ukazała się właśnie jego nowa książka „Na północ. Jak pokochałem Arktykę”, pierwszy tom zapowiadanej trylogii.

Na zdjęciu z młodym nurzykiem.
Hornsund, sierpień 1995 r.

zawsze była polityczna. I jedni niszczą ją bardziej niż drudzy. Mało tego, są i tacy, którzy jej dewastację niosą na sztandarach. To jest różnie nazywane, choćby czynieniem sobie ziemi poddaną. Rospuda była ważna, ale z innego powodu. Ona pokazała, że jest jakaś granica.

Nieprzekraczalna.

Dziś widzimy, że część prawicy kultywuje zadziwiający powrót do przeszłości. „Polska wstaje z kolan”, „Make America Great Again”, „Odzyskujemy Wielką Brytanię” – to są wszystkie hasła nawołujące do takiego powrotu. W pakiecie jest bicie żony i wszelkich mniejszości, cięcie drzew i strzelanie do zwierząt. Postawienie na głowie dawnych wartości uważanych za konserwatywne. I skoro to jest polityką, to należy o tym mówić jak o polityce. Ochrona przyrody to w naszym kraju racja stanu. Musimy wymagać od polityków, by się nią zajmowali, by reagowali, robili z niej przedmiot sporu politycznego.

Być może to się powinno było stać już dawno temu. Przecież już wtedy, w latach 90., na Wyspie



Niedźwiedziej badaliście zmiany klimatu.

Kiedy zaczynałem pracę dziennikarza, zmiana klimatu była jednym z wielu zagrożeń, które nad nami wiszą. Pisało się też o nielegalnym handlu wymierającymi gatunkami, kwaśnych deszczach czy regulacji rzek. Zmiana klimatu była częścią tej wyliczanki, i specjalnie nie wyróżniała się z tłumu. Zresztą to był czas nadziei, że cokolwiek stanie nam na drodze, i tak sobie poradzimy. Dopiero co upadł Związek Radziecki, a ludzkość poradziła sobie z dziurą ozonową. I jeszcze uniknęła wojny nuklearnej. Cały świat odetchnął.

Potrzebny był karnawał, a nie kolejne wyzwania?

Na Wyspę Niedźwiedzią jechałem jako obserwator, ale moi koledzy naukowcy coraz bardziej serio myśleli o zmianie klimatu jako poważnym problemie. Dowodów szukali w ekosystemach morskich, a jednym z takich śladów było pojawienie się ciepłolubnego omułka w wodach przybrzeżnych Spitsbergenu. W tamtej konkretnej wyprawie chodziło też o sprawdzenie, czy na Wyspie Niedźwiedziej, która leży pomiędzy kontynentem a Spitsbergenem, zmiany będą widoczne w liczbie żyjących tam gatunków. Teoretycznie wraz z ocieplaniem się powinno przybywać gatunków. I na Wyspie Niedźwiedziej powinno być ich więcej niż na Spitsbergenie. Z czasem okazało się, że skomplikowana linia brzegowa Spitsbergenu przykrywa efekt ocieplania się i jego wpływ na ilość gatunków. Było wiele powodów, dla których przegapiłmy moment, gdy trzeba było zacząć krzyczeć.

W książce opisujesz dynamiczne przemiany, jakie zaszły na Wyspie Niedźwiedziej, ale w mikroskali. Również wywołane przez człowieka.

Kiedy człowiek wybija wieloryby, potem morsy, wyspa staje się ptasim rajem. To jest jedna z zalet, ale też słabości Arktyki – wszystko widać tu jak na dłoni. Znika jeden element, a dotychczasowy ład obraca się w gruzy. Powstaje coś nowego. I dowód na to, jak bardzo destrukcyjny potrafi być człowiek. Żeby wymordować wieloryby, wystarczy żagle i wiosła. Już w XVII wieku potrafiliśmy w parę godzin zabić tysiące morsów. Prawie do nogi wybiliśmy renifery i niedźwiedzie polarne. Wtedy, trzydzieści lat temu, na naszych oczach umierały mewy blade. W Arktyce nie było jeszcze plastiku, krajobraz był na pierwszy rzut oka nieskazitelnie czysty. Drewno dryftowe, kilka bojek, rozpadające się piece wielorybnicze, poza tym teren niemal dziewiczy. Raptem idzie mewa, trzęsie się, umiera. Z czasem okazało się, że powodem tego wymierania było wysokie stężenie polichlorowanych bifenyli, PCB, które dostały się do ekosystemu. Według jednej z teorii – za pośrednictwem migrujących ptaków, które pierzą się w Arktyce. Te mewy były dla mnie wstrząsem. Dziś dokładnie do tego świadomość regionu, który nie zdążył się jeszcze odbudować po wszystkich masakrach, jakie mu przez wieki fundowaliśmy, i właśnie fundujemy katastrofę klimatyczną.

W Puszczy i Arktyce widać, co się dzieje, gdy człowiek odpuszcza. Siadasz na stołku przed chatą na Spitsbergenie i obserwujesz liski, które nic sobie nie robią z twojej obecności.

Patrzysz przez okno w Teremiskach i widzisz pasącego się żubra.

Jesteś dziś w stanie patrzeć z zachwytem na nurzyka czy mewę, gdy obok widzisz plastikową butelkę? Wiesz, zdążyłem się przyzwyczaić, bo na przykład tu, w Puszczy, młode wilki lubią bawić się plastikowymi śmieciami. Ale kilka lat temu przeżyłem coś, co wstrząsnęło mną do głębi. Jestem na Spitsbergenie i widzę mnóstwo bieli na brzegu. Myślę, że to kra, ale podchodzę bliżej i widzę górę plastiku zamiast lodu. Marcin Węślawski opowiadał, że znalazł w Arktyce jedną z tych gumowych kaczek, które wypadły kiedyś z kontenerowca w okolicach Hongkongu.

Oprócz plastiku do Arktyki przybyli też turyści, i to w dużych ilościach. W Puszczy Białowieskiej turystyka stała się sojusznikiem ochrony przyrody. Przyjezdni są bardzo świadomi miejsca, w którym się znaleźli. W Arktyce chyba niekoniecznie?

Są dwa rodzaje turystyki. Kiedy do stolicy Svalbardu, Longyearbyen, które ma dwa i pół tysiąca mieszkańców, przypływa statek z trzema i pół tysiącami pasażerów, i oni schodzą na ląd, to coś jest nie tak. Co innego turystyka kwalifikowana, szczególnie rejsowa, na małych łodziach i jachtach. Ci ludzie widzą dużo, a robią niewiele szkód, bo funkcjonują w czymś na kształt bańki. I druga sprawa – przewodnikami w Arktyce są bardzo często wysokiej klasy specjaliści albo naukowcy. Przekazują przyjezdnym ogromną dawkę fachowej wiedzy. Więc podobnie jak w Puszczy, również tam, w europejskiej części Arktyki, turystyka robi sporo dobrego. Na kontynent wraca się mądrzejszym.

Czy będąc tam, zdarza się tęsknić za Puszczą? Fotograf Włodzimierz Puchalski płynąc do Antarktyki notował w dzienniku, że tak naprawdę chciałby być wtedy na rozlewiskach nad Narwią...

Nigdy w życiu! Odwrotnie! Jestem alergikiem, kiedy tu startuje wiosna, a ja zaczynam kichać, tęsknię za Arktyką. Tam nie ma pyłków, komarów, kleszczy. Powiem ci coś innego – najfajniejsza pora w Puszczy zaczyna się teraz, w listopadzie, i potrwa do połowy kwietnia.

Simona Kossak, inna znana mieszkanka Białowieży, mówiła kiedyś, że listopad to najgorsza pora w nizinnym lesie!

Najlepsza! Dopiero teraz, kiedy nie ma liści, widzisz, jak wspaniałe są te drzewa, czyli kręgosłup lasu. Wszystko tonie w wilgoci. Późna jesień nie jest tak rozpraszająca jak wiosna, nie atakuje cię na każdym kroku masą wrażeń. Robi się przejrzyste, jak na pustej kartce, na której widać wszystko, co ważne.

A więc w listopadzie Puszcza upodabnia się do Arktyki.

Dokładnie tak. To mój ulubiony czas.

JACEK

Podsiadło: Potępiam Szopena



OTRZYMAŁEM KORESPONDENCJĘ ELEKTRO-
niczną z Państwowego Instytutu, kon-
kretnie z jego Redakcji Literackiej. Taki
List do Siedemnastu. Redaktor prowa-
dząca píše do mnie i szesnaściora in-
nych poetów, iż Państwowy Instytut

chciałby „zamówić” u nas po dwa wiersze związane z Powsta-
niem Styczniowym. Do antologii, która ma powstać z oka-
zji rocznicy. I że jakbyśmy dali radę machnąć te wiersze do
końca lutego, tobyśmy dostali po trzy tysiące na łeb. A na-
wet na rękę, bo netto, co red. prow. Piwkowska podkreśla.
W dodatku wydawca idzie poetom na rękę do tego stopnia,
że dopuszcza możliwość, iż wiersze związane będą „z tym
zrywem narodowym” luźno, mogą dotyczyć nie Powstania
samego, ale załedwie jego mitu, a nawet – tu wydawca praw-
dziwie mnie zaskoczył – mogą się odnosić do dekonstrukcji
tego mitu!

Zaproszenie w ogóle mnie nie zdziwiło, gdyż jestem auto-
rem szeroko znanym z zainteresowania Powstaniem Stycz-
niowym i w zasadzie całokształt mojej poezji w ten czy inny
sposób Powstania Styczniowego dotyczy. Dość będzie przy-
pomnieć w tym miejscu takie szczytowe osiągnięcia mego
talentu jak „Wyzwę lenie”, „Potępiam Szopena” czy „Rozdra-
pią nas suki szpony”.

W odróżnieniu od poety współczesnego, trzy tysiące pie-
choł nie chodzi. Po podzieleniu przez dwa mamy tysiąc
pięćset od jednego utworu lirycznego. Toż to trzykrotna
przebitka w stosunku do pięćset plus, które się płaci za jeden
sztukawiersz w gazetce innego państwowego instytutu! Listę
adresatów tak szczęśliwego zawiadomienia przestudiowa-
łem z zainteresowaniem tym większym, iż nie była ukryta.
Znalazłem tu większość tych kolegów po powstańczym pió-
rze, których się spodziewałem: Jana Polkowskiego, Wojcie-
cha Kassa, Tadzia Dąbrowskiego... Kilka nazwisk było dla
odmiany miłym zaskoczeniem... Musi jednak niepokoić
nieobecność Krzyśka Koehlera, wicedyrektora drugiego in-
stytutu, tego od gazetki. Krzychu!!! Tutaj trzy tysiące netto
przechodzą Ci koło nosa!! Napisz do Anki Piwkowskiej, ona
Ci wszystko wyjaśni, chodzi o prostą powstaniówkę, dwie
sztuki do końca lutego, mnie to zajęło pięć minut, więc Ty
w trzy miechy spokojnie sobie poradzisz!

Właśnie, moje pięć minut, czy one nie były stracone...
Prawdziwe koszty uzyskania przychodu przez poetę znam
aż nadto dobrze i wiem, że rezygnując z netto, brutto wyjdę
na swoje. Nie wyślę zatem swoich wierszy okolo powstań-
czych do państwowego *florilegium*. Ale wyobraźnia raz za-
podniona – nic to, że gwałtem – wyrwała się spod kontroli,
ugryzła mnie w rękę i na szybkości ułożyła dwa bliźniaczo
genialne wiersze. Trochę mi szkoda, że ich nie wyślę, bo ni-
gdy jeszcze nie zarobiłem trzech tysięcy netto w pięć minut.

Ale podzielę się tymi wierszami z Wami, gdyż nie wolno mi
dopuścić, aby dwa znakomite utwory pozostały całkowicie
niezagospodarowane w dobie tak ogromnego zapotrzebo-
wania na poezję patriotyczną w kształcie i narodową w treści.

Pierwszy wiersz zatytułowałem „Powstanie Styczniowe”,
albowiem poświęcony jest wielkiemu zrywowi narodo-
wemu, jakim było Powstanie Styczniowe.

*Powstanie Styczniowe,
Styczniowe Powstanie,
dwa wiersze gotowe,
płacić mi tu za nie!*

Wiersz drugi nosi tytuł „Dekonstrukcja mitu”. Dokonuję
w nim dekonstrukcji mitu, jakim Powstanie Styczniowe ob-
rosło w zbiorowej świadomości narodu polskiego przez wieki
najpierw niewoli, a następnie niedoli.

*Dekonstrukcja mitu,
mitu dekonstrukcja,
szybko płacić mi tu,
żeby tworzyć mógł ja!*

Nie wiem, czy do antologii potrzebna by była refleksja od-
autorska na temat, co poeta miał na myśli, w jakich w ogóle
okolicznościach doszło do napisania za jednym zamachem
dwóch tak wybitnych utworów i czy nagły przypływ weny
twórczej nie uszkodził wodowskazu na Odrze. W każdym ra-
zie chcę zaznaczyć, że dla mnie kształt artystyczny wiersza
odgrywa o wiele większą rolę niż wysokość wynagrodzenia
za jedną roboczogodzinę, która w moim przypadku oznacza
raczej roboczominutę. A gdyby nie to, że się zawniłem, żeby
znaleźć inny od obstrukcji rym do dekonstrukcji, tobym się
w minutę uwinął.

PS. Otworzywszy pocztę, aby wysłać niniejszy felieton do
druku, znalazłem w niej List do Pozostałych K. Koehlera,
który jednak był na liście adresatów, ale bez nazwiska. Kol.
wicedyr. wyraża radosne zadziwienie zaproszeniem do an-
tologii i krótko informuje, że „jest za”, możemy zatem ode-
tchnąć z ulgą. ©

OGŁOSZENIE

Sąd Rejonowy w Brzesku Wydział I Cywilny pod sygn.
I Ns 217/21 prowadzi postępowanie w wniosku Intrum
Justitia Debt Fund 1 Fundusz Inwestycyjny Zamknięty
Niestandaryzowany Fundusz Sekurytyzacyjny z siedzibą
w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Kazimierzu
Piotrze Migdale, s. Ludwika i Heleny z d. Bagińskiej,
zm. 7 października 2020 r. w Tarnowie, mającym ostatnie
miejsce zwykłego pobytu w miejscowości Stróże
gm. Zakliczyn.

Sąd wzywa spadkobierców Kazimierza Migdała do
zgłoszenia się do tut. Sądu i udowodnienia swych praw
do spadku w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego
ogłoszenia, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci
w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

STANISŁAW

Mancewicz: Sobiepaństwo



CHCIAŁOBY SIĘ POWIEDZIEĆ: ZDRASTWUJTIĘ! No bo jak inaczej, jeśli nie po francusku, można się dziś przywitać i z nowym dniem, i z obecnym prezydentem RP, i z rozdętym do granic aparatem bezpieczeństwa państwa, na który codziennie

placimy grubą forszę.

Dodzwonienie się do p. Andrzeja Dudy, długa z nim rozmowa, a właściwie wywołanie monologu, nagranie go, a wszystko to zrealizowane przez Rosjan bez żadnego wysiłku, bez żadnych trudności, bez silenia się na maskowanie rosyjskiego akcentu, a więc na skrajnym luzie, musi skłaniać każdego, jak tu ponuro siedzimy, do namysłu. Do – za przeproszeniem – refleksji i zadumy, a niektórych zapewne do modlitwy.

Nieśledzących wydarzeń w stolicy Międzymorza od morza do morza wypada oświecić: parę dni temu prezydentowi RP wydawało się, że rozmawia z prezydentem Francji. Można by rzec, że było to zdarzenie i smutne, i straszne, i śmieszne, i oczywiście kompletnie nieśmieszne. Polecamy zwrócenie uwagi na niesłychaną celność określenia, że coś jest i śmieszne, i nieśmieszne. Jest to efekt możliwy do uzyskania tylko tu i nie tylko teraz.

Jest coś szalenie intrygującego w polskim obcowaniu z nowoczesnością, ale i w polskim stosunku do procedur, regulaminów, zasad, bezpieczeństwa i higieny pracy. Wydarzenia z wielu ostatnich lat dowodzą, że mamy do czynienia nie z pechem, nieszczeniwością, zbiegami okoliczności, ale z systematyczną, totalną opozycją wobec wszystkiego, co ma w sobie choćby drobinę przymusu. Po prostu wszystko, każda regulacja wydaje się tu bez sensu, a regulator, gdy wyprodu-

kuje regulamin, natychmiast puszcza do nas oko, a my do niego. Wszystko to razem tworzy coś, co błyskotliwie nazwalibyśmy sobiepaństwem. Termin ten ukuliśmy *ad hoc* i uznaliśmy, że znakomicie oddaje model uprawianej tu państwowości, czy może raczej czegoś w tym rodzaju. Nie państwo, a sobiepaństwo, ogromnie suwerenne i niepodległe od rozumu, powstałe co prawda z kolan, ale generalnie odurzone własnym wyziewem.

Zaiste, można by wymieniać godzinami elementy sobiepaństwa. Wystarczy podać przykład funkcjonowania polskiego parlamentu. Jakimś cudem przegrane przez partię rządzącą głosowanie jest natychmiast uważane za niebyłe i powtarzane aż do wygranej. Ktoś widział gdzieś na świecie taki parlament? Nie. Nie ma takich instytucji i nie ma takich państw. Ktoś powie, że to jest nudne, że oczywiście, że oklepane, że każdy wie i widział, i co z tego. Wydaje się nam jednak, że warto się co jakiś czas zastanowić, gdzie człowiek żyje, żeby nie tracić kontaktu choćby z galaktyką, skoro utraciliśmy kontakt z rzeczywistością w konstruowaniu sobiepaństwa.

Taką utratą i owym elementem konstrukcji jest niewątpliwie kompulsywny monolog Andrzeja Dudy myślącego, że prezentuje swą polityczną myśl Francuzowi. Warto się w to wsłuchać, ale raczej w wolnej chwili, najlepiej w kolejce do dentysty bądź dermatologa, chcemy tu dać do zrozumienia, by nie poświęcać temu wydarzeniu chwil, które można spędzić z bliskimi, zwłaszcza lubianymi. No więc ktoś jednak powinien pilnować tego człowieka cierpiącego na daleko posunięty deficyt ważności i politycznego znaczenia, tęskniącego, jak wszyscy wiemy, za pierwszym śniegiem. Nie mówiąc – to chyba zbędne – że ci sami ludzie powinni pilnować p. Dudy przed oszustami. Po prostu. Taką utratą i elementem konstruowania sobiepaństwa jest także reakcja dużego prawniczego medium, które wyraziło zachwyt, że prezydent RP dawał się robić w bambuko tylko przez nieco ponad siedem minut. Że gdy się zorientował, iż jest oszukiwany, skończył mówić. Brawo. Jesteśmy wzruszeni i dumni. Niestety nie bardzo wiadomo, dzięki jakim cechom Duda dał się nagrywać tylko tak krótko. Ale chyba nie musimy już tego wiedzieć, skoro wiemy, co myśli i jak myśli. ©

BARTOSZ MINKIEWICZ



Zamów prenumeratę wydania drukowanego „TP”!

nie zużywa prądu!

pachnie! ...szeleści

* można czytać wspólnie

możę kolekcjonować i zabrać do lasu

możę po nim kreslić!

przyciąga wzrok

czytam — bez dostępu do internetu

nie zbiera ciasteczek

w ogóle ładnie wygląda!



ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TP”

Prenumeratę wydania drukowanego można zamówić przez:

- internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków
Nr konta Bank Pekao SA
49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Szczegółowych informacji udziela
Agnieszka Dyrz w godz. 11.00–15.00
od poniedziałku do piątku
pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail:
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

W sprawie prenumeraty elektronicznej
informacji oraz wsparcia technicznego udziela
Mateusz Gawron w godz. 10.00–14.00
pod nr. tel. 668 475 263 lub adresem e-mail:
kontakt@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić
przez internet na TygodnikPowszechny.pl/wykup-dostep

Cennik ważny od 3 listopada 2022 r.

RODZAJ PRENUMERATY	OKRES	CENA	
		Z WYSYŁKĄ EKONOMICZNĄ	Z WYSYŁKĄ PRIORYTETOWĄ
13 wydań	3 m-ce	160 zł	200 zł
52 wydania	rok	550 zł	680 zł
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne	rok	640 zł	770 zł
4 Wydania Specjalne – kwartalniki	rok	90 zł	
52 wydania – w ofercie POKOLENIA*	rok	480 zł	
52 wydania oraz 4 Wydania Specjalne – w ofercie POKOLENIA	rok	570 zł	

* POKOLENIA – oferta dla studentów, seniorów oraz posiadaczy
Karty Dużej Rodziny

Zapraszamy na stronę: TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate



PARTNER MARKETINGOWY

SALESmanago
marketing automation



Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

Teatr w Krakowie